

ZARQA NAWAZ



Śmiejąc się w drodze do meczetu

Przygody muzułmanki w zachodnim społeczeństwie



ZARQA
NAWAZ




PRZEŁOŻYŁA
Urszula Gardner



Dedykację niechaj przyjmie mój mąż, Samiul Haque, który wiecznie pociesza mnie słowami „Czasem determinacja jest ważniejsza od talentu”.

Książkę dedykuję też swoim rodzicom, Parveen i Alemu Nawazom, którzy zaszczepili mi determinację w bardzo młodym wieku i dzięki którym uwierzyłam, że to talent.





Cytaty ze świętej księgi islamu
zaczerpnięto z Koranu w przekładzie
Józefa Bielawskiego, Państwowy
Instytut Wydawniczy,
Warszawa 1986.



Wstęp

Gdy miałam siedem lat, podeszłam do pewnego chłopczyka na szkolnym podwórku. Siedział samotnie na huśtawce, ssąc mordoklejkę. Miał czarne, faliste włosy i był grubawy.

– Davy, wierzysz w Boga?

Wzruszył ramionami.

– Bo wiesz, wiara w Boga jest bardzo, ale to bardzo ważna.

Widząc napalone muzułmańskie dziecko, Davy odpowiedział:

– Uwierzę w Boga, jak będziesz mnie huśtała, dopóki mi się nie znudzi.

Ręce mi odpadały, a przerwa zamieniła się w torturę, jednakże chętnie płaciłam cenę za ocalenie duszy Davy’ego.



Jakiś czas potem matka Davy’ego zaprosiła mnie na jego urodziny. Byłam zachwycona. Siedząc przy ich stole i pogryzając przekąski, zauważyłam, że kobieta przygląda mi się zmartwiona.

– Nie jedz tego – powiedziała.

– Ale to pyszne. – Wepchnęłam sobie jeszcze więcej jedzenia do buzi.

– To jest szynka – oznajmiła, marszcząc czoło. – A ty, zdaje się, jesteś muzułmanką.

Zjadłam resztę tak szybko, jak mi pozwalało na to nieczyste sumienie. Niebo w gębie... Później powiodłam smutnym wzrokiem za tacą, którą matka Davy’ego usunęła sprzed moich rozanielonych oczu.

Kiedy przyszła po mnie mama, matka Davy’ego złożyła przeprosiny:

– Sądziłam, że wie, co to szynka.

Mama spojrzała na swoje żarłoczne muzułmańskie dziecko i westchnęła.

– Posyłamy ją do meczetu, ale ma kłopoty z koncentracją.

Poczułam się odrobinę urażona. Przecież udało mi się zrozumieć to o Bogu. Kto mógł wiedzieć, że rysunki różowych świnek przekreślonych dużym iksem oznaczają smakowite kąski na talerzu?

Davy popatrzył na mnie z nagłym zainteresowaniem.

– Pójdiesz przez to do piekła?

– Skądże – zaprzeczyła jego matka, wstrząśnięta. – Twoja koleżanka popełniła błąd, a jak

uczają nas w kościele, Bóg przebacza wiernym.

– Davy chodzi do kościoła? – zapytałam.

– Oczywiście. Jesteśmy katolikami. A Davy śpiewa nawet w chórze.

W późniejszym czasie nadal huśtałam Davy’ego na szkolnym podwórku, ponieważ tak było trzeba, nawet jeśli pierwszy raz uczyniłam to z niewłaściwych pobudek. Ale postanowiłam pilniej nadstawiać uszu w meczecie. Bóg chyba dał mi lekcję: martw się o własną duszę, która jest w wiecznym niebezpieczeństwie. Religia to – jak się okazało – trudna sprawa.



Kiedy człowiek dorasta na Zachodzie, wiele rzeczy mu umyka. Zaledwie przed miesiącem poproszono mnie o zorganizowanie w meczecie imprezy, na którą każdy miał przynieść coś do jedzenia. Razem z moją przyjaciółką Faeezą przyglądałyśmy się, jak ludzie kładą na stół deser po deserze, za to nigdzie nie dostrzegałyśmy drugiego dania.

– Jak to zorganizowałaś? – zapytała mnie Faeeza.

– Osoby, których imiona zaczynają się na litery od A do K, poprosiłam o przyniesienie deseru, a te, których imiona zaczynają się od L do Z, o przyniesienie drugiego dania.

– To ty nie wiesz, że większość muzułmańskich imion zamyka się w pierwszej połowie alfabetu? Ahmed, Abdullah, Ali...

Blat uginał się pod tacami z baklawą i pudełkami pączków; musiałyśmy poupychać słodczyce pod stołami i po kątach. Narastało niezadowolenie. Słyszałam odgłosy burczenia w brzuchu. Popatrzyłam na dwie nędzne potrawy z kurczaka na drugim stole.

– Zamów pizzę – poradziła mi Faeeza.

Gdy czekaliśmy na dostawę, paru spóźnialskich Yusufów i Zakariahów przyniosło jeszcze kilka potraw z kurczaka. Chociaż co roku pościmy w ramadanie, moi wygłodniali muzułmanie stracili w końcu cierpliwość. Tłum rzucił się na kurczaki i poprawił słodkościami, nie żałując sobie deserów i herbaty. Jeszcze przed pojawieniem się dwudziestu pizz wszyscy najedli się po uszy i wpadli w letarg wywołany przez nadmiar glukozy.

– Co zrobimy z tymi wszystkimi pizzami? – zapytałam Faeezę.

– Może je sprzedamy?

Złapałam za mikrofon.

– Zbieramy pieniądze na nowy meczet! Każdy, kto kupi pizzę, przyczyni się do zwiększenia funduszy! Cena za sztukę wynosi dziesięć dolarów!

Po zejściu z podium zapytałam Faeezę:

– Tak à propos, po ile były te pizze?

– Po dwanaście dolarów.

Na pizze nie było chętnych. Podeszłam do miejsca, gdzie siedzieli mężczyźni. Pomyślałam, że mogą być wciąż głodni.

– Zapytaj moją żonę – odparł Wael. – To ona podejmuje wszystkie decyzje w rodzinie.

Faheem, Abdul-Rahman i Gamal powiedzieli to samo. Dałam sobie spokój z mężczyznami i uderzyłam do kobiet. Które oczywiście wyczuły naszą desperację, pożałowały nas i kupiły pizzę.

Tydzień później dowiedziałam się od męża, że do Stowarzyszenia Islamskiego wpłynęła e-mailem skarga.

– O nie, komuś się nie podoba, że było za mało jedzenia?

– W żadnym razie – odpowiedział Samiul. – Jeden z uczestników doniósł, że pewna kobieta zbyt się spoufalala z mężczyznami: „Poziom imprezy znacznie się obniżył z chwilą, gdy między obiema płciami zaczęły padać pożądliwe spojrzenia. Nie do przyjęcia jest, że nazywamy takie spotkania islamskimi”.

I tak zorganizowana przeze mnie impreza przeszła do historii nie jako parodia kulinarna, lecz jako skandal seksualny.

Duża przerwa

– *Ummi*, nie mogłabyś mi zrobić takiej kanapki, jaką jedzą inne dzieci? – zapytałam Mamę, widząc, że zawija w folię aluminiową zaprawione curry udka kurczaka na moje drugie śniadanie.

To przez Mamę byłam społecznym pariasem. Mogłam się tylko przyglądać, jak koleżanki konsumują zgrabne kanapeczki, podczas gdy moje drugie śniadanie roztaczało woń naszpikowanej cebulą bomby atomowej. Po posiłku regeneracyjnym wszyscy uczniowie mojej szkoły udawali się na dużą przerwę. Koleżanki skakały na skakance, a ja snułam się pod ceglana ścianą. To przez te tłuste udka kurczaka nie mogłam się zasymilować z grupą. Nikt się do mnie nie zbliżał, nie chcąc ryzykować zarażenia. Tymczasem ja chciałam być taka jak Kathleen, chciałam mieć długie, lśniące, jasne włosy, nosić zwiewne letnie sukienki i jeść drugie śniadanie, które by pachniało wanilią. Zazdrościłam jej włosów, ubrań i kanapek. Pragnęłam choć jednej z tych rzeczy.

Biedna Mama westchnęła, przysłuchując się, jak narzekam.

– Dzieci dziwnie na mnie patrzą, kiedy to jem. – Pokazałam na kurczące udka. – Nikt nie chce się ze mną bawić przez moje drugie śniadanie...

Byłam niezdatnym mięsożercą wśród zgrabnych roślinożerców.

Nazajutrz maszerowałam do szkoły z upragnioną kanapką, która pachniała słodyczami, a nie kminkiem. W chlebaku miałam białe pieczywo z masłem orzechowym i marmoladą. Nareszcie roztaczałam woń triumfu. Z niecierpliwością wypatrywałam pory drugiego śniadania, a gdy ta w końcu nadeszła, spojrzałam w stronę Kathleen, która zatapiała zęby w pączku z czekoladą. A więc to już. Zaraz się stanie. Otworzę chlebak, wyciągnę kanapkę zapakowaną w pergamin i nagle wszystko się zmieni. Kathleen zaprosi mnie do domu, pozwoli sobie chesać długie, jasne włosy i będzie się mnie radzić w sprawie przyjęcia z okazji swoich dziewiątych urodzin.

– Co sprawiło, że mnie zauważyłaś? – zapytam.

– Kanapka – odpowie.

Kiedy rozwijałam folię aluminiową – czy Mama nigdy się nie nauczy? – Kathleen odwróciła się i popatrzyła prosto na moją kanapkę. To działa! – pomyślałam. Tymczasem Kathleen pomachała najprzystojniejszemu chłopcu w klasie, który siedział za mną, i z powrotem skupiła uwagę na swoich ślicznych przyjaciółkach. Na całym świecie nie było dość białego pieczywa, żebym mogła się wkupić w łaski białych dzieci.

Odrzucona i głodna (jak się okazuje, kurczak jest znacznie bardziej sycący od masła

orzechowego) rozważałam wszystkie opcje. Kanapka nie zadziałała. Na złociste włosy nie miałam co liczyć. Może jednak uda mi się zmienić sposób ubierania.

Różniłam się wyglądem od innych dziewczynek. I chodziło nie o to, że mam śniadą cerę i noszę warkocze, ale głównie o strój. Mama ubierała mnie dziwnie. Zerknęłam na Kathleen, która miała na sobie krótką spódniczkę i bluzeczkę na ramiączkach. Ja nosiłam brązowe sztruksy i bluzkę tego samego koloru. Ona była księżniczką z bajki, a ja jej brzydką siostrą przyrodnią. Niemniej nawet brzydkie siostry przyrodnie chadzają na zakupy. Skoro przekonałam Mamę, żeby zrobiła mi kanapkę, powinno mi się też udać ją namówić, aby pozwoliła mi włożyć sukienkę. Zaciągnęłam więc znękaną rodzicielkę do dyskontu, gdzie wynalazłam białą sukieneczkę do kolan. Była idealna.

Nazajutrz rano wzgardziłam sztruksami, włożyłam swoją cudną białą sukieneczkę i przejrzałam się w lustrze. Nogi mi trochę marzły, bo nie przywykłam do ich odsłaniania, ale poza tym prezentowałam się jak egzotyczna księżniczka. Mama przedzierzgnęła się w dobrą wróżkę. Wychodząc z domu, porwałam kanapkę na drugie śniadanie, czując, że moja metamorfoza jest pełna.

– Tak ubrana nigdzie nie pójdziesz – oświadczyła Mama, spoglądając na moje gołe nogi.

Miała na sobie tradycyjny pakistański strój: salwar kamiz, czyli długą tunikę z workowatymi spodniami. W jej oczach ktoś ubrany tylko w sukienkę, bez spodni, był na wpół nagi, zupełnie jakby zapomniał włożyć bluzkę i chciał iść do szkoły topless.

Posłusznie wróciłam na górę i naciągnęłam na siebie spodnie pod sukienką. Przejrzaawszy się ponownie w lustrze, doszłam do wniosku, że Mama wcale nie jest dobrą wróżką, tylko złą czarownicą, która rzuciła na mnie urok.

Kiedy miałam pięć lat i ganiałam po ulicach Liverpoolu z wielką czerwoną, gumową piłką, zawołał mnie do siebie Tata.

– Przeprowadzamy się do Kanady – oznajmił.

Teraz miałam osiem lat. Chciałam powiedzieć swoim rodzicom, że się nie wpasowałam, lecz zdawałam sobie sprawę z tego, że i oni się nie wpasowali. Zostawili za sobą dawne życie, żeby polepszyć byt swoich dzieci. Ponieważ Kanada otwierała przed nimi możliwości, o jakie trudno na pakistańskiej wsi, a nawet w Liverpoolu, byli wdzięczni. Ale mnie, ich jedynej córce, która nie miała nic do gadania i musiała zostawić wszystko, wielkiej czerwonej piłki nie wyłączając, wdzięczność była obca. Czułam się brzydka, co moim zdaniem było losem gorszym od losu głodującego, kalekiego dziecka w Karaczi. W szkole podstawowej w Brompton w kanadyjskim Ontario poza mną nie było śniadych dzieci.

Gdy przyszłam do domu na drugie śniadanie, szeleszcząc sztruksami pod sukienką, musiałam mieć wyjątkowo niezadowoloną minę.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała Mama.

Wyciągnęłam kanapkę, która wbrew moim nadziejom niczego nie poprawiła, i zaczęłam smutno przeżuwać.

– Wolę jeść w domu.

– Co się stało?

– Nikt mnie nie lubi. Nie mam koleżanek.

– Ktoś tak powiedział?

– Nikt się do mnie nie odzywa, *ummi* – odparłam. – Zupełnie jakbym była niewidzialna.

– Powinnaś bardziej się starać – poradziła mi Mama.

Przecież się staram – pomyślałam. – Ale ktoś kazał mi włożyć spodnie pod sukienkę.

Wiedziałam, że dzieciństwo Mamy w Pakistanie było szczęśliwe. Dzięki zamożności rodziców zawsze nosiła najmodniejsze stroje i zaliczała się do najbardziej lubianych dziewcząt w klasie. Jeśli ktokolwiek mógł tyranizować koleżanki i kolegów, to właśnie Mama. Tata opowiadał mi, że miała służących, którzy prali i prasowali jej ubrania i co rano szykowali ją do szkoły. Mama zażarcie temu zaprzeczała, twierdząc, że to wszystko przesada, lecz ja zauważyłam, że każdy wełniany sweterek wyprany mi przez Mamę skurczył się do granic.

Teraz Mama obrzuciła wzrokiem swoje brzydkie kaczątko.

– Idę z tobą do szkoły.

Uniosłam oczy do nieba, gdzie według mnie mieszkał Bóg, i pomyślałam: – Mało ci moich cierpień?

Przecież skoro Bóg stworzył cały wszechświat w siedem epok, wzniósł góry i nappełnił morza, powinien móc sprawić, żebym nosiła sukienkę bez spodni. Tymczasem on w swojej nieskończonej chwale postanowił wysłać ze mną do szkoły moją rodzicielkę. Mama była uosobieniem niefajności, a ja ją spuściłam ze smyczy. Uznałam, że spotkała mnie kara za moje narzekanie.

Na placu zabaw roilo się od dzieci, głównie dziewczynek ubranych w koszulki na cienkich ramiączkach i w krótkie spódniczki, spod których podczas skakania na skakance migała barwna bielizna. Mama była wstrząśnięta. Zrozumiałam, że to nie pomoże mi się pozbyć spodni spod sukienki.

Mama przystanęła na środku placu zabaw i rozejrzała się wzrokiem generała planującego bitwę. Wyłuskała wzrokiem przywódczynię, Kathleen – moją Kathleen, dzierżącą w ręce jeden koniec skakanki – i odezwała się do niej:

– Przepraszam. Czy moja córka może się z tobą pobawić?

Kathleen spojrzała najpierw na Mamę, potem na mnie. Musiał ją zdumieć widok ponurej, nadąsanej dziewczynki w letniej sukience, noszonych pomimo upału brązowych sztruksach i z warkoczykami, które wyszły z mody jakieś sto lat temu, stojącej obok pokaźnej Pakistanki w długiej bluzce i workowatych pantalonach, nadymających się na wietrze niczym żagle. Mama przypominała pirata, ja zaś prześladowanego przez nią bosmana. Bezgłośnie się pomodliłam: – Boże, traf mnie piorunem!

– Jasne – odpowiedziała Kathleen, przekazując mi skakankę.

Mama poszła do domu. Ja odkryłam, że dopóki jakaś dziewczynka nie skusi, trzeba trzymać skakankę w ręce i kręcić nią bez końca. Tamtego dnia jakoś nikomu nie powinęła się noga. Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności Kathleen została uwolniona z pęt.

Wychodzi na to, że skakanie na skakance to swego rodzaju merytokracja. Wtedy na placu zabaw pozostałam w kręgu wtajemniczonych, dopóki nadgarstki nie odmówiły mi posłuszeństwa, i to nic, że wyglądałam jak przebieraniec. Najwyraźniej wystarczyło poprosić. Zaiste niezbadane są ścieżki Pana.

Za tydzień, kiedy Mama pakowała mi drugie śniadanie, wbiłam w nią wzrok.

– Co się stało? – zapytała. – Wolałabyś tuńczyka zamiast masła orzechowego?

– A nie mogłabyś mi dać udek kurczaka? – poprosiłam. – Stęskniłam się za nimi.

Owłosione nogi

Mój ósmioletni brat Muzammal zaniósł do łazienki naszego najmłodszego braciszka, którego wołaliśmy Holender, mimo że tak naprawdę nazywał się Muddaththir – obydwaj dostali takie imiona, ponieważ rodzice nie byli w stanie wymyślić trudniejszych do wymówienia – zamknął za sobą drzwi na klucz i wyciągnął golarkę ojca. Przyłożywszy ostrze do twarzy niemowlęcia, ciął skórę, tak że wkrótce wszędzie było pełno krwi i krzyku.

- Co ty wyprawiasz? – wrzasnęła biedna Mama, kiedy w końcu udało jej się otworzyć drzwi.
- Golę Holendra – odparł Muzammal, jakby to była najlogiczniejsza rzecz pod słońcem.

Schowałam się, ponieważ nie chciałam, żeby wina spadła tam, gdzie trzeba – to znaczy na moje świeżo ogolone nogi.



Żeby ogolić sobie nogi, musiałam się wykazać podstępnością i samozaparciem wyszkolonego szpiega. W naszym domu bowiem golił się tylko Tata.

A wszystko z powodu lekcji wuefu. Mama, dorastając w Islamabadzie, nie słyszała o wuefie. Aby zachować formę, skakała z koleżankami na skakance podczas przerw, ale jej ręce i nogi bezpiecznie okrywał bawełniany salwar kamiz. Dopóki nie znalazła się w Kanadzie, nigdy nawet nie widziała kobiety w szortach. Wychodziła z założenia, że dobra muzułmanka nie nosi krótkich spodenek. Skoro jednak taki był wymóg na tajemniczych lekcjach wuefu, uległa. Ja nie miałam z tym kłopotu. Martwiło mnie jednak to, co odsłaniały: owłosione nogi! Jako że Bóg poskąpił Mamie owłosienia na ciele, łatwo jej było uderzać w moralizatorski ton i mówić, że golenie nóg urąga zasadom islamu. Jej zdaniem tylko biali ludzie robili takie rzeczy.

- Na wuefie wszyscy się na mnie gapią.
- Nie zwracaj na nich uwagi.

Jednakże oni zwracali uwagę na mnie, za co nie mogłam ich winić, ponieważ paskudna prawda była taka, że odziedziczyłam owłosienie po Tacie.

Pewnego razu, jeszcze w Anglii, Tata poszedł na basen. Kiedy się zanurzył, jego gęste, kręcone, czarne włoski, które porastały mu całe ciało, stanęły na sztorc i zgęstniały jeszcze bardziej. Wszystkie dzieci z piskiem uciekły z wody. Myślały, że do basenu wskoczył niedźwiedź.

Odziedziczyłam po nim gen owłosienia, z tym że nie potrzebowałam basenu, aby mnie pomyłono ze zwierzęciem z zoo. Włosy na nogach miałam długie, gęste i czarne. Żaliłam się Mamie z goryczą – w końcu to była jej wina, że ten gen się u mnie ujawnił.

– Twoje małżeństwo było aranżowane. Dlaczego nie kazałaś swatce podciągnąć Tacie nogawki?

– Twój ojciec miał dobrą pracę – odparła.

Okazywałyśmy sobie współczucie z Jasminder, moją sikhijską przyjaciółką, której matka także nie należała do zwolenniczek golenia nóg.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że tarantula to Marilyn Monroe wśród bezkręgowców – oświadczyła Jasminder.

– Mnie jakoś nikt nie bierze za blondwłosą piękność – wyznałam ze smutkiem.

Czepiałam się każdej wymówki, byle nie ćwiczyć na wuefie. Miałam grypę, miałam ból żołądka, miałam grypę żołądkową. Nauczycielka nie miała pojęcia, co mi jest, lecz cokolwiek to było, było zaraźliwe – Jasminder również twierdziła, że jest niedysponowana. Zrozpaczone przeczytałyśmy regulamin szkoły od deski do deski, szukając zastępnika przepisowego stroju do ćwiczeń. Niczym fatamorgana na pustyni ukazało nam się zbawcze słowo „trykot”. Obydwie z ulgą przymknęłyśmy oczy; nasza męka dobiegła końca. Po powrocie do domu przekonałam Tatę, żeby kupił mi czarne rajstopy i takie samo jednoczęściowe body do kompletu.

Oczekiwanie na najbliższy wuef oznaczało katusze, jednakże w końcu, po dużej przerwie, nadeszła jego pora. Kiedy pozostałe dziewczęta przebierały się otwarcie w szatni, ja i moje owłosione nogi schowałyśmy się w kabinie WC. Po tym jak reszta uczennic, Jasminder nie wyłączając, udała się na salę gimnastyczną, wyłoniłam się z piszczących drzwi boksu niczym motyl z kokonu. Triumfalnie popatrzyłam w lustro. Ani włoska na wierzchu. Zawiązałam sznurówki białych tenisówek i potruczałam na salę gimnastyczną, gotowa wpaść w objęcia koleżanek.

Na mój widok wszyscy zamarli. Byłam wysoka i tyczkowata jak na swój wiek – w trykocie przypominałam przerośniętego, czarnego pająka.

Ktoś parsknął. Ktoś inny gwizdnął. W panice powiodłam spojrzeniem w poszukiwaniu Jasminder, która z pewnością też zrobiła się na pająka. Gdy zawiesiłam na niej oko, minę miała nie mniej zdumioną od reszty. Jej obszerny czarny podkoszulek zasłaniał górę legginsów. Spowijając się cała w lycrę, wyszłam na głupią.

Była to kropla, która przepełniła czarę goryczy. Zakradłam się do sypialni rodziców po golarzkę Taty. Był to staromodny sprzęt, w którym należało odkręcić metalowy fragment na górze, nałożyć żyłkę i całość zmontować z powrotem. Zamknęłam drzwi. Nie miałam pojęcia o posługiwaniu się golarzką ani nie słyszałam o kremie do golenia. Zaczęłam więc siec na sucho, przedzierając się przez owłosienie niczym przez dżunglę. Było to zajęcie tyleż czasochłonne co bolesne, ale efekt okazał się zadowalający. Po raz pierwszy w życiu pozbyłam się zniechęconego owłosienia.

Tata musiał się zastanawiać, dlaczego jego golarzka jest wiecznie tępa, jednak ani on, ani Mama niczego nie podejrzewali. Mając dwóch synów poniżej dziesiątego roku życia, nie poświęcali mi wiele uwagi – w przeciwieństwie do Muzammala. Muzammal był ode mnie o rok młodszy. Naoglądał się, jak walczę z golarzką, i zaciekawiał, o co chodzi w tym całym goleniu, a jak lepiej to sprawdzić, jak nie na naszym rocznym braciszku?

Jak już Holendra pozszywano na pogotowiu, Tata postanowił schować przed nami żyłki.

Z dziećmi działo się coś dziwnego, aczkolwiek rodzice nie mieli pojęcia co takiego.

Włosy na nogach mi odrosły.

Któregoś dnia podczas lekcji religii w meczecie zadałam nauczycielce, siostrze Maryam, nurtujące mnie od dłuższego czasu pytanie. Koniec końców nie chciałam się smażyć w piekle za golenie nóg, które stało w jednym szeregu z morderstwem i jedzeniem bekonu, aczkolwiek z drugiej strony lekcje wuefu były dla mnie czystą udręką.

– Czy golenie nóg jest wbrew zasadom islamu?

– Pokaż mi swoje nogi – poprosiła w odpowiedzi. Zadarłam nogawki. – W twoim wypadku wbrew zasadom islamu byłoby, gdybyś nic z tym nie zrobiła.

Opowiedziałam jej swoją smutną historię o golarce. Siostra Maryam była wstrząśnięta, że w ogóle pomyślałam o goleniu nóg.

– To sprawa, że włosy odrastają jeszcze gęstsze – powiedziała.

Byłam przerażona. Coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Włoski trzeba wyrywać z cebulką, wtedy kiedyś przestaną rosnąć.

Wyrywanie włosków z cebulką musiało być bardzo bolesne. Ale na pewno nie tak bardzo jak spojrzenia kolegów i koleżanek na wuefie.

Siostra Maryam nauczyła mnie robić „chałwę”. Wymagało to wiele czasu i cierpliwości. Nieomal się poddałam, jednak życie było za krótkie, a moje włosy za długie.

Gotowałam więc wodę, cukier i sok cytrynowy, aż powstała klejąca, złocista masa. Następnie formowałam z niej kulę, po czym pokrywałam nią całe nogi, a w końcu po paru minutach zrywałam ją. Przypominało to traktowanie kończyn napalmem. Cierpiałam, lecz nie dałam się odwieść i gotowałam chałwę, jakby zależało od tego moje życie.

Mama przyglądała mi się z niedowierzaniem, ale nie protestowała. Jej zdaniem Arabowie przewyższali mieszkańców Azji Południowej, gdy idzie o sprawy islamu, ponieważ mówili po arabsku, czyli w języku Koranu. A skoro Arabowie, tacy jak siostra Maryam, mieli fioła na punkcie depilacji, depilacja nie mogła być wbrew zasadom islamu. Chodzenie do meczetu nareszcie się opłaciło. Dołączyłam do grupy sprinterek. Koleżanki ignorowały moje dziwnie wyglądające ciało – za sprawą przeoczonych kępek włosów przypominałam lamparta – i udało nam się pobić szkolny rekord w sztafecie na sto metrów.

Mama z pewnością się dziwiła, jak różny może być islam w ojczyźnie i za granicą. Depilacja z grzechu zamieniła się w wymóg religijny.

Hidzab

Odrzucenie tradycji, w jakiej wychowali nas rodzice, pomaga nam wybić się na niezależność. Ja zamierzałam się rozprawić ze światopoglądem rodziców za pomocą krótkich włosów.

Ciotka Firoza powiodła spojrzeniem po czarnych lokach, które opadały mi aż za talię, sięgając pupy.

– Zetnij je na krótko! – poleciłam.

– To dość dramatyczne, nie uważasz?

– Właśnie.

– Jak zapatrują się na to twoi rodzice? – zapytała ciotka Firoza, powoli przesuując w górę wielkie nożyce krawieckie Mamy.

– Nie mają nic przeciwko – odparłam.

Technicznie biorąc, była to prawda. Mama zaakceptowała moją decyzję, chociaż odmówiła wzięcia do ręki nożyczek, przez co musiałam zwrócić się po pomoc do jej znajomej. Tata był zdecydowanie przeciwny. Ilekroć wspominałam o ścięciu włosów, wyciągał Koran i mówił, że to zabronione. Jednakże był w stanie wskazać tylko werset o słuchaniu proroka. Tata twierdził, że prorok Mahomet nie pochwalaby mojego pomysłu i że w takim razie on też go nie pochwała. Zdaniem mojego ojca długie włosy przynosiły kobiecie chwałę. Moim zdaniem były upierdliwe.

– Dlaczego nie mogę ich ściąć? – zapytałam raz Mamę.

– Tylko nowoczesne muzulmanki robią tego typu rzeczy – odparła.

„Nowoczesne” muzulmanki zachowywały się jak białe kobiety. Ścinały włosy, wkładały minispódniczki oraz – największa herezja ze wszystkich – rozmawiały z chłopcami przez telefon.

Islam nie zabrania kobietom noszenia krótkich włosów. Po prostu stanęłam oko w oko z resztkami staromodnej mentalności moich rodziców. Uznałam, że oboje są beznadziejnymi muzulmanami, skoro powołują się na nieistniejące wersety Koranu, byle podeprzeć swoje arbitralne zasady. Miałam dość. Postanowiłam skończyć z długimi włosami – po części dlatego, że nie chciałam dłużej wyglądać jak postać z *Domku na prerii*, ale głównie po to, by zaleźć rodzicom za skórę.

Gdy ciotka Firoza skończyła ciachać nożyczkami, na głowie pozostał mi w miarę przyzwoity paż. Ostatnio tak wyglądałam, kiedy miałam pięć lat. Poczułam się wyzwolona. Wygrałam kolejną bitwę przeciwko rodzicielskim ograniczeniom stylu życia. Tata był wściekły, lecz nie mógł nakrzyczeć na żonę innego mężczyzny. Poza tym nie miał się czym podeprzeć, gdy idzie o religię. Ciotka Firoza unikała jego wzroku i szybko wróciła do domu. Mama zabrała się do

pocieszania męża: byli w nowym kraju, wiele musiało się zmienić.

Aby jednak nie zmieniło się zbyt wiele, rodzice rokrocznie posyłali mnie i Muzammala na muzułmański obóz letni. Tego roku było nie inaczej, z tym że pojechałam triumfująca, z krótkimi włosami.

Triumfowałam dlatego, że większość obozowiczów stanowiły nowoczesne muzułmanki z miasta, noszące krótkie fryzury i obcisłe dżinsy. Człowiek czuł się tam jak na obozie dla białych dzieci, z tą różnicą, że wszyscy byli śniadzi. W porównaniu z mieszcuchami mój brat i ja wypadaliśmy jak zacofani, niepiśmienni wsiowi muzułmanie. Nasi rodzice najwyraźniej nie mieli o niczym pojęcia, a nas tak to rajcowało, że trzymaliśmy buzie zamknięte na kłódkę. Obóz letni stanowił dla nas ucieczkę od rodziców, którzy chyba zapatrywali się na to podobnie.

Tego lata zauważyłam wśród personelu nową osobę, lekarkę Egipcjankę. Kobieta była piękna, świetlista, lecz pod jednym względem różniła się od innych: włosy zasłaniała szczelnie chustą noszoną na głowie – hidżabem.

Wcześniej w życiu nie słyszałam o hidżabie. Ilekroć Tata zawoził mnie i mojego brata do meczetu, nakrywałam głowę kawałkiem materiału, który ześlizgiwał mi się z włosów. Ściągałam go, ledwie wychodziliśmy na zewnątrz, i nigdy nie poświęcałam mu na tyle uwagi, by nadać mu jakąś nazwę. Moje pakistańskie ciotki nosiły burkę, a moja matka na czas modlitwy narzucała na głowę dupattę, czyli coś w rodzaju szyfonowego szala wzorem Benazir Bhutto. Chodziło głównie o zakrycie głowy; nawet „nowoczesne” muzułmanki kładły sobie na ciemieniu papierowe serwetki, kiedy ktoś na domowym przyjęciu odzywał się po arabsku.

Jednakże hidżab to była dla mnie nowość. Wiązały się z nim surowe zasady skromności – musiał kryć włosy, szyję i uszy. Nawet Mama, która chciała uchodzić za konserwatywną muzułmankę, nie zasłaniała się do tego stopnia. Wszystko wskazywało na to, że ktoś nie dopatrzył mojej edukacji religijnej.

Lekarka poskarżyła się organizatorom obozu, że uczestnicy nie przestrzegają muzułmańskiego sposobu ubierania.

– Dlaczego wszystkie dziewczynki noszą koszulki i dżinsy? – dopytywała.

Dla mnie islamski strój oznaczał długie i luźne bluzki oraz spodnie. Nie przestrzegałam żadnych konkretnych zasad, po prostu ubierałam się straszliwie niemodnie i brzydko. Nosząca hidżab lekarka była dla mnie objawieniem. Jej nakrycie głowy nie przypominało w niczym dupatty, która łatwo się ześlizgiwała. Hidżab przypominał część munduru, a był przytwierdzony do głowy za pomocą spinek i węzełków. Nawet huragan nie zerwałby go z głowy bogobojnej muzułmanki. Czyżby tędy prowadziła droga, aby stać się bardziej muzułmańską od rodziców? Ciekawe...

Po tegorocznym obozie hidżaby stały się modne w naszym meczecie. Moja przyjaciółka Aliya postanowiła nosić hidżab na okrągło, to znaczy do szkoły, do sklepu, wszędzie. Dwa tygodnie później Sameena poszła w jej ślady. Przypominało to wirus rozprzestrzeniający się wśród dziewcząt. Co tydzień któraś wkładała hidżab. Z wolna zaczęłyśmy rozumieć kazania, których wysłuchiwałyśmy w meczecie – te o tyranii przemysłu kosmetycznego – i jak to islam nas wyzwala, przywracając nam godność.

– Kobięce ciało winno być chronione przed nieprzyzwoitym wzrokiem mężczyzny – grzmiał imam.

Nieprzyzwoity wzrok mężczyzny nigdy jeszcze na mnie nie spoczął, ale podobała mi się sama perspektywa.

– Nikt nie obnosiłby się z diamentowym naszyjnikiem w Harlemie, a przecież kobieta jest cenniejsza od brylantów, dlaczego więc miałyby chodzić odsłonięta?

Z jakiegoś powodu ten rasistowski, seksistowski komentarz trafił do mojego nic niepodejrzewającego, podatnego młodego umysłu. Byłam cenniejsza od brylantów! Nawet w Biblii napisano, że kobieta powinna zakrywać włosy. Każdy obraz Marii, matki Jezusa, ukazuje ją z zasłoniętą głową. Zakonnice również noszą welony.

Lecz najlepsze w hidżabie było to, że odkryłam go na własną rękę – moi rodzice nie mieli z tym nic wspólnego. Byłam zdolna pobić ich w ich własnej grze, która nazywała się „religia”. Niektórzy sądzą, że hidżab wymyślono, aby uciskać kobiety. Ja użyłam go jako narzędzia ucisku swoich rodziców.

– Będę nosić do szkoły hidżab – oznajmiłam Mamie i Tacie, spowijając głowę w błękitną żorzetę, bardzo dumna ze swojej wyższości religijnej nad nimi.

Z początku oboje byli zdumieni, ale bardzo szybko Tata uznał, że hidżab pomoże mi się skupić na nauce zamiast na chłopcach, i dał swoje przyzwolenie. Rozczarował mnie brak jego gniewu (i zachwyliły jego wyobrażenia o mnie i o chłopcach), jednakże to Mama wprowadziła mnie w prawdziwe zdziwienie. Z otwartymi ustami wpatrywała się w moją niezgrabnie przyozdobioną błękitem głowę. Jakże może chodzić ubrana mniej skromnie od swojej córki? Nie mając wyboru, także zaczęła nosić hidżab. Byłam wściekła – to ja odkryłam hidżab! Jakim prawem Mama mi go podbiera? Wkrótce jednak wściekłość przeszła w drugie z czysto nastoletnich uczuć: upokorzenie. Do tej pory Mama zawsze nosiła elegancki salwar kamiz z prześwitującą dupatą. Różniła się od innych matek, ale była piękna na swój własny sposób. Niestety nie miała pojęcia, jak się nosi hidżab. Jej zgrzebna bawełniana chustka na głowę upodobiła ją do puszki ryb. Wstydziałam się z nią wychodzić do sklepu.

– Zdejmij to! – krzyczałam przed wyjściem.

Nie mogła spełnić mojej prośby. Uważała, że skoro noszenie hidżabu nakazuje jej religia, nie ma innego wyjścia.

Ponieważ rodzice pokrzyżowali mi szyki w odniesieniu do hidżabowej rewolty, postanowiłam, że nie poprzestanę na sprawach ubioru. Zaczęłam traktować hidżab jak magiczną różdżkę. Wystarczyło, że pokręciłam przyobleczoną w żorzetę głowę, i już mogłam utyskiwać, na co tylko chciałam. Nie było mi to dane, dopóki chodziłam z gołą głową.

– Co to, dostajecie odsetki? – zapytałam Mamę. Po czym poinformowałam zszokowaną pracownicę banku, że w przeciwieństwie do swoich niedbałych rodziców nie będę czerpać zysków z lichwy.

– Skubanie brwi jest zabronione – obwieściłam przyjaciółkom Mamy.

– W tym olejku waniliowym jest alkohol. Od jak dawna go używasz? – zapytałam, ciskając buteleczkę Mamy do śmieci.

– Jak śmiesz słuchać tych melodii? – rzuciłam, wyłączając Tacie bollywoodzkie nagrania.

– Zachowujecie się jak nowoczesni muzułmanie, którzy nie mają pojęcia o swojej religii!

Zaczytywałam się hadisami, które opowiadały o życiu siedmiowiecznych muzułmanów. Kiedy zepsuło mi się łóżko, nie pozwoliłam rodzicom kupić mi nowego, tylko spałam w śpiworze na dywanie. Wyjaśniłam, że prawdziwi muzułmanie nie używają sprężyn.

– Islam nie zabrania łóżek – stwierdził Tata, tracąc pewność siebie w obliczu mojego czepiałstwa.

– Przekonasz się, że Bóg jest za mną – powiedziałam.

Gdy Mama zabrała mnie do krawcowej, która miała mi uszyć salwar kamiz z okazji Święta Ofiar, trajkotałam jak najęta.

– Chcę długą, luźną tunikę – powiedziałam krawcowej, gdy mierzyła mi obwód w talii.

– Zbiorę ją trochę w pasie, żeby nadać jej jakiś kształt – odparła niewinnie krawcowa.

– Żadnych kształtów – rzekłam.

– Ależ to będzie brzydko wyglądać – zaoponowała. – Jakbyś miała na sobie worek.

– Właśnie na tym mi zależy.

Krawcowa spojrzała błagalnie na Mamę, lecz ta nauczona doświadczeniem milczała. Nie potrafiła na mnie wpłynąć. W Święto Ofiar wyglądałam, jakbym miała na sobie wielką papierową torbę. Byłam zachwycona.

Zabierając dzieci na Zachód, rodzice pragnęli polepszyć nasz standard życia. Tymczasem skończyło się na tym, że córka zarzucała im, iż nie są dobrymi muzułmanami. A do tego przekreślała udogodnienia współczesności – takie jak łóżka. Cierpliwie wysłuchiwali mojego marudzenia. Aż wreszcie ich cierpliwość popłaciła.

Pod koniec maja wuj Mahmood, jeden z najstarszych przyjaciół Taty, zorganizował spotkanie obu rodzin. Rok wcześniej byłam na obozie z jego córką Zareeną. Świetnie się wtedy bawiłyśmy. Nie mogłam się doczekać, by z nią porozmawiać o naszych planach na ten rok. Miałam wielgachną walizkę, którą ledwie byłam w stanie domknąć. Czy dziesięć kompletów strojów to za dużo?

Kiedyśmy się zgromadzili w salonie wuja Mahmooda, wyszło na jaw jego zdenerwowanie. Moja wybujała nastoletnia wyobraźnia podsunęła mi najgorsze wytłumaczenie: zaraz każe nam zważyć walizki i ustanowi limit wagi w wysokości dziesięciu kilogramów. Jednakże było znacznie gorzej...

– Na tym tak zwanym obozie muzułmańskim pozwalają jeść kurczakowe nuggety. Nie możemy znowu tam wysłać naszych dzieci.

Halal to poważna sprawa dla muzułmanów z Azji Południowej, takich jak my. Dlatego zawsze zaopatrywaliśmy się w mięso u zaufanych rzeźników. Jednakże Arabowie wierzyli, iż można jeść mięso pozyskiwane przez chrześcijan i żydów, i zakładali w ciemno, że to, co kupują w lokalnym sklepiku, zginęło z ręki prawowiernego. Przecież nikt nie będzie pytał rzeźnika, jak często chodzi do kościoła czy synagogi.

Nie wierzyłam własnym uszom. Uwielbiałam obozy letnie nad życie.

– To niesprawiedliwe – odezwałam się, zanim zdążyłam pomyśleć. – Obóz jest fajny i zamierzam na niego pojechać.

Tata przysłuchiwał się tej wymianie zdań z zainteresowaniem.

– W sprawie mięsa panuje podział opinii – dodałam, bezskutecznie przeszukując pamięć za argumentami natury religijnej.

– Jest tylko jedna prawdziwa opinia i tę powinni wyznawać wszyscy muzułmanie – oznajmił wuj Mahmood.

Zamieniłam wiarę w zbiór zasad. To one nadały mi tożsamość. To one pozwoliły mi gnębić moich rodziców. A teraz ktoś rzucał mi je prosto w twarz.

Tata włączył się do rozmowy. Patrząc na mnie spokojnie, powiedział:

– Moja córka ma rację. Należy być elastycznym, gdy chodzi o sprawy wiary. Nie możemy

być ekstremistami islamskimi, prawda?

Za jednym zamachem przerwał rodzinne spotkanie i stwierdził, że mogę pojechać na obóz, jeśli tego chcę. W tamtej chwili postanowiłam traktować religię mniej dosłownie. Może te kurczakowe nuggety były znakiem od Boga? Chociaż miałam dziwną fryzurę i paradowałam w hidżabie niczym papież, Tata wstawił się za mną, ponieważ byłam jego córeczką i ponieważ wiedział, ile dla mnie znaczy obóz letni. Moi rodzice okazali się jednak dobrymi muzułmanami – pomyślałam – a ja mogłabym się do nich trochę upodobnić.

– Chyba zapuszczę włosy – szepnęłam.

– Ładnie ci w krótkich – odparł Tata. – Ale może tak byś spała znowu w łóżku?

Przystałam na jego propozycję.

Muzułmański obóz letni

Potrzebowałam znaku od Boga. Moja przyszłość stanęła pod znakiem zapytania.

Pierwszy rok w college'u zaczął się fatalnie. W szkole średniej, gdzie wszystko było łatwe, brylowałam. Na wyższej uczelni jednak nic nie było proste. Matematyka i chemia mnie dołowały, a fizyka dobijała. Najgorsze były trzy zasady dynamiki Newtona. Spadałam ruchem jednostajnym.

Częściowo z rozpaczy, a częściowo z kunktatorstwa postanowiłam się urwać z biblioteki i wziąć udział w piątkowej modlitwie. Radośnie przyciągało mnie pole grawitacyjne meczetu. Newton z pewnością by to pochwalał. Zapakowałam swoje dwadzieścia kilo podręczników i pojechałam do świątyni – pierwotnie kościoła prezbiteriańskiego wzniesionego w centrum Toronto w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku i zaadaptowanego na meczet w latach sześćdziesiątych. W krajach muzułmańskich meczety są ozdobione kolorowymi, malowanymi ręcznie płytkami, które układają się we wzory geometryczne, aby oddać jedność boskiego stworzenia. Te niesamowite dzieła sztuki powstają nieraz przez dziesięciolecia. Elewacja torontyjskiego meczetu również była ozdobiona płytkami – łazienkowymi, gwoli precyzji. Pełni dobrych intencji muzułmanie zarządzający świątynią dzielili chyba moje zrozumienie prawideł geometrii. Całą fasadę wyściełały równiutkie rzędy kafelków, na których wymalowano arabskie napisy. W efekcie budynek – przynajmniej w moich oczach – jawił się bliskowschodnim domkiem z piernika. W normalnych okolicznościach doprowadziłoby mnie to do śmiechu, tego dnia jednak pozostałam obojętna na urok architektoniczny. Szłam do meczetu z piernika w nadziei, że Bóg ześle mi jakiś znak. Jakkolwiek patrzeć, świątynia to miejsce kultu, w którym oddaje się cześć Bogu, gdzie więc jak nie tam Bóg się ukazuje wiernym? Byłam przekonana, że tak stanowi pierwsza zasada dynamiki Newtona.

Z poważną miną wspiełam się do kobiecej części, umiejscowionej na dawnym chórze, i zasiadłam wśród obecnych kobiet. Przeszłam taki kawał, aby usłyszeć boskie przesłanie. Zamiast niego wysłuchiwałam kazania, w którym imam głądził o konieczności ładnego zachowywania się względem sąsiadów. Trochę podupałam na duchu. Gnębił mnie dylemat, co powinnam zrobić ze swoim życiem, toteż rada, by zanieść sąsiadom świeżo upieczone babeczki, nie stanowiło wskazówki, jakiej szukałam.

Po kazaniu przyszła pora na obwieszczenia lokalne.

– Szukamy ochotników do zorganizowania muzułmańskiego obozu letniego – powiedział Abdullah, przysadzisty mężczyzna, który głosem przypominał nieco Boba Marleya i swoim

spokojnym basem ukoił mój skołatany umysł.

Wszystko wskazywało na to, że dostałam znak, na który liczyłam.



– Dokąd się wybierasz? – zapytała mnie Mama, gdy włożyłam chustkę na głowę i ruszyłam do wyjścia.

– Do meczetu – odparłam. – Będę organizować muzułmański obóz letni.

– A nie powinnaś raczej się uczyć do egzaminów? Musisz mieć jak najlepsze oceny, żeby dostać się na medycynę.

– Nie tylko oceny się liczą – powiedziałam. – Liczy się też wolontariat. Być może jest nawet ważniejszy od ocen.

Mama przyjrzała mi się sceptycznie.

– Bóg mnie do tego wzywa – dodałam, odwołując się do jej religijności.

– Słyszałaś, jak to mówi? – zapytała, ściągając brwi i robiąc mocno zafrasowaną minę.

– Nie, oczywiście, że nie – odparłam, robiąc mocno obrażoną minę.

– Bo wiesz, jeśli słyszysz głosy, możemy się postarać o pomoc dla ciebie...

– Nie słyszę żadnych głosów – powiedziałam, obrażona teraz nie na żarty. – Czuję, że Bóg chciałby, abym zorganizowała muzułmański obóz letni.

– A ja czuję, że chcesz się tym zająć, aby uniknąć nauki.

– Błagam. – Owinęłam szyję szalikiem. – W sprawach religii nie jestem aż tak płytką.

Spotkanie odbywało się w jednym z licznych pomieszczeń na zapleczu meczetu. Zasiadłam w staromodnej metalowej ławce, która służyła też za schowek. Pełno tam było połamanych kredek i zeszytów z dziecięcym pismem arabskim. Nie gdzie indziej sama się uczyłam czytać Koran podczas szkółki weekendowej. Dopadły mnie niemiłe wspomnienia wkuwania na pamięć modlitw po arabsku; osobiście wolę rozmawiać z Bogiem po angielsku, żeby nic nie umknęło w tłumaczeniu. Oprócz mnie stało się paru siedemnastolatków, którzy mieli pełnić funkcję wychowawców na obozie. Jako dwudziestolatka byłam najstarsza w tym gronie. Abdullah stał przy tablicy, notując sprawy do załatwienia: zapisy, transport, żywność, program i zajęcia dodatkowe.

Podeszłam do niego.

– Zgłaszam się na ochotnika do zorganizowania zajęć dodatkowych.

– To mnóstwo pracy – powiedział Abdullah. – A ty, zdaje się, studiujesz?

– Czuję, że Bóg mnie do tego wzywa – oznajmiłam.

– Chyba nie słyszysz głosów, co? – Abdullah się zaniepokoił. – Osoby w twoim wieku bywają nadmiernie entuzjastyczne w stosunku do religii.

– Nie jestem fanatyczką – odparłam, myśląc sobie przy tym, że wolontariat powinien być jednak prostszy. – Po prostu chcę spełnić swój muzułmański obowiązek.

– Co studiujesz?

– Nauki przyrodnicze – poinformowałam zgodnie z prawdą. – Wybieram się na medycynę.

– Aha. – Abdullah skinął głową. – Teraz już rozumiem. Fizyka daje ci w kość. Osoby niespełnione od strony twórczej zawsze angażują się w zajęcia dodatkowe.

– Ależ fizyka jest bardzo twórcza – zaproponowałam słabo. – Wszystkie te równania o wielkich kulach unoszących się w przestrzeni...

– Chodzi ci o planety?

Skierowałam rozmowę ponownie na temat obozu.

– Mam naprawdę świetne pomysły na zajęcia dodatkowe – oświadczyłam.

Abdullah podrapał się po brodzie.

– Dawaj.

Wróciłam pamięcią do lekcji religii, których wysłuchałam jako dziecko, siedząc w metalowej ławce. Głównie dotyczyły one tego, jak uniknąć ognia piekielnego i siarki. Nie pyskuj, bądź grzeczny dla matki, wspomagaj biednych, nie kłam – zwłaszcza matce. (Wszystkie te przykazania wzbudziły w mojej sześcioletniej duszy wyrzuty sumienia). No i oczywiście czystość relacji przedmażeńskich. (Zastanawialiśmy się wszyscy, czym są te relacje przedmażeńskie i o czym traktują). Tak to najczęściej wyglądało w naszej szkółce weekendowej.

– Moglibyśmy dzieciom opowiadać, jak stać się lepszym muzułmaninem – rzuciłam. – Nie pyskuj, nie kłam...

– Równie dobrze moglibyśmy wyłożyć to pomieszczenie fototapetą przedstawiającą las i zaoszczędzić sobie wycieczki – przerwał mi Abdullah. – Wolałbym, żebyś myślała niesztańpowo.

A mnie podobała się islamska sztampa. Czułam się wygodnie w oparach siarki i w ciepłe ognia.

– Mój brat organizuje obozy Czerwonego Krzyża. – Spróbowałam ponownie. – Mogę go podpytać.

– Doskonale.

Muzammal od lat prowadził międzynarodowe obozy edukacyjne Czerwonego Krzyża. Uczestnicy brali udział w symulacjach: udawali, że są kimś innym, i dyskutowali na ciekawe tematy. Było to dość ekscytujące. Może zbyt ekscytujące jak dla muzułmanów. Spisałam pomysły i w następnym weekend zabrałam kartkę do meczetu.

– O, to nazywam myśleniem niesztańpowym – stwierdził Abdullah.

Ulżyło mi. Poświęciłam się organizacji zajęć dodatkowych, spychając naukę w kąt.

– W lipcu jadę na wycieczkę do Pakistanu – powiedziała Mama. – Chcesz pojechać ze mną?

– W tym samym czasie jest obóz letni – odparłam. – Wiesz, że nie dam rady. Cięży na mnie wielka odpowiedzialność.

– To tylko obóz. – Mama wzruszyła ramionami. – Możesz zrezygnować, jeśli chcesz.

– Moja rola jest kluczowa – skłamałam, wiedząc dobrze, że to Abdullah wszystkim zawiaduje. Niemniej po raz pierwszy od szkoły średniej świetnie się bawiłam. Wzrosła moja pewność siebie, podkopana przez uczelnię. Nareszcie znów byłam w czymś dobra.



W dzień poprzedzający rozpoczęcie obozu zadzwonił do mnie Abdullah.

– Zarqa, złamałem nogę w kostce – powiedział.

– Jak to?

– Tak to, że będziesz za mnie kierowniczką muzułmańskiego obozu letniego.

– Ale ja nie mam pojęcia, co robić – zaprotestowałam. – To ty miałeś być kierownikiem.

– Musisz mnie zastąpić – oznajmił. – Uczestników będzie trzydzieścioro. Wychowawcy się nimi zaopiekują. Ty tylko będziesz musiała zapewnić zajęcia dodatkowe.

Zastanowiłam się, czy Bóg mnie przypadkiem nie karze. Imam miał rację: nie wolno okłamywać matki.

Tamtej nocy bardzo źle spałam i obudziłam się wykończona. Abdullaha nie będzie. Wszystko spocznie na mojej głowie. To było gorsze niż fizyka. Rano udałam się do meczetu. Wsiadłam do autokaru razem z trzydzieścioro dzieci poniżej piętnastego roku życia.

– Gdzie brat Abdullah? – zapytał Ibrahim, główny wychowawca chłopców.

– Nie przyjdzie – odparłam i zobaczyłam panikę w jego oczach.

– Kto w takim razie będzie kierownikiem? – zapytała Lumya, główna wychowawczyni dziewcząt.

– Ja – powiedziałam z taką dozą pewności siebie, na jaką było mnie stać.

Lumya i Ibrahim popatrzyli na siebie. Z ich twarzy wyczytałam, że zastanawiają się, jak Bóg mógł im to zrobić. Nie oni jedni...

– Podróż potrwa siedem godzin. Przez cały ten czas będziemy śpiewali piosenki – zdecydowałam.

– Lepiej się módlmy, żeby Bóg miał nas w swojej opiece – zaproponował z poważną miną Ibrahim.

Na miejscu wszyscy wysiedli z autokaru i zajęli domki. Podczas obiadu planowałam zajęcia na następny dzień. Odszukałam Dwayne'a, kucharza obozowego, i zapytałam go, czy ma może kartonowe pudła. Dwayne był mężczyzną tuż po trzydziestce, który najwyraźniej nigdy wcześniej nie miał kontaktu z muzułmanami. Jawiliśmy mu się grupą Marsjan, którzy właśnie wylądowali w jego świecie, co niezmiernie go ekscytowało.

– Po co ci pudła? – zapytał. – Mają jakiś związek z islamem? Uzywacie ich do swoich rytuałów?

– Nie, chcę je wykorzystać jutro podczas zajęć dodatkowych – wyjaśniłam.

Dwayne wyglądał na rozczarowanego, ale znalazł dla mnie parę kartonów.

Nazajutrz po śniadaniu odszukali mnie główni wychowawcy.

– Co będziemy robić? – zapytał nerwowo Ibrahim. – Urządzimy pogadankę religijną tak jak na zeszłorocznym obozie?

– Słyszałeś, co mówił brat Abdullah – powiedziałam. – Nie zależało mu na tradycyjnym obozie muzułmańskim, tylko na czymś niesztaampowym.

– Muzułmanie są sztaampowi – zaproponował Ibrahim.

– Muzułmanie urządzają pogadanki o tym, jak stać się lepszym muzułmaninem – dodała Lumya, kiwając znacząco głową.

– Tak, cóż. Ten obóz będzie inny – rzekłam, sama nie rozumiejąc, dlaczego tak musi być.

Zwołałam uczestników na plac i wymieszałam grupy, żeby w każdej było trochę dziewcząt i trochę chłopców.

– Czemu to robisz? – zapytał nerwowo Ibrahim.

– Na obozie ma być jak w rodzinie – powiedziałam. – A w rodzinie są obie płcie.

– Ale takie przemieszanie jest niebezpieczne – zauważył Ibrahim. – Może się wydarzyć coś niewłaściwego.

– Masz na myśli seks? – zapytałam z irytacją. – Możesz mi wierzyć, to nie takie proste.

Do tej pory zdążyłam rozwikłać, czym są relacje przedmałżeńskie. I na mojej warcie nikt nawet nie osiągnie pierwszej bazy.

Rozdałam kartony i wytłumaczyłam zasady zabawy.

– W większości krajów rozwijających się ludzie nie mają z czego budować domów – oznajmiłam, jakbym wiedziała, o czym mówię. Osobiście wychowałam się na przedmieściach Toronto i znałam tylko aluminiowy siding. – Dzisiaj waszym zadaniem będzie zbudowanie domu z tych materiałów, które macie przed sobą.

Dzieciaki były podekscytowane. Po jakichś dwudziestu minutach patrzyłam na sześć prowizorycznych budynków.

– Co dalej? – zapytał Ibrahim, na którym nie zrobiło to wrażenia. – Dzieci nauczyły się, że z pudeł można zrobić większe pudła.

Główny wychowawca chłopców zaczynał mi działać na nerwy.

– No dobrze. A teraz każda grupa zajmie miejsce w swoim domu – rzuciłam. – W złą pogodę nasze domy dają nam schronienie. Przekonajmy się, czy wasze budynki wytrzymają nawałnicę.

– Jak zamierzasz to zrobić? – zapytała Lumya.

– Na każdy dom wyleję wiadro wody – odparłam.

– A nie mógłbym ja lać? – zapytał Ibrahim, mięknąc nieco.

– Proszę bardzo – zgodziłam się wspaniałomyślnie.

Ibrahim złapał wiadro i zmoczył kolejno wszystkie domy. Tylko jeden z sześciu się nie zawalił.

– To było niemal zabawne – stwierdził Ibrahim.

Podeszła do nas dwunastolatka imieniem Maria, zapłakana.

– Moja babcia mieszka w Pakistanie – powiedziała. – Czy Pakistan to kraj rozwijający się?

– W niektórych częściach tak – odparłam.

– To dom mojej babci się zawali, kiedy spadnie deszcz?

Zastanowiłam się, czy organizatorzy obozu Czerwonego Krzyża natknęli się kiedyś na podobny problem.

– Nie – zapewniłam. – Moja babcia też mieszka w Pakistanie i jej dom jest zbudowany z... aluminiowego sidingu. – No właśnie, z czego był zbudowany dom mojej babci? Chyba jednak powinnam była pojechać razem z Mamą.

– Chcę zadzwonić do babuni i sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku.

– Stąd można się dodzwonić tylko do Toronto. Może pójdziemy teraz popływać, a jutro zatelefonujemy do twoich rodziców?

To ją spacyfikowało.

Wieczorem uczestnicy zebrali się w świetlicy na modlitwę. Ponieważ byliśmy w podróży, mogliśmy za jednym zamachem odmawiać magrib, modlitwę po zachodzie słońca, i iszę, modlitwę nocną. Na ziemi rozłożyliśmy rozprostowane kartonowe pudła, które zdążyły wyschnąć na słońcu.

– Czyli jednak używacie pudeł do swoich rytuałów – powiedział Dwayne, nie kryjąc swojego entuzjazmu.

– Nie – odparłam z westchnieniem. – Karton po prostu chroni nasze kolana, gdy klęczymy.

Dwayne zrobił rozczarowaną minę, a ja poczułam wyrzuty sumienia, jakbyśmy powinni być dziwniejsi, żeby tylko go uszczęśliwić.

– O co będziesz się modlić? – zapytał.

– Żeby ktoś zdjął mnie z funkcji kierowniczkii obozu – odparłam. – I żeby kiedyś w końcu wyrosła mi druga głowa.

– Na niej też musiałabyś nosić chustkę? – zapytał Dwayne, spoglądając na mnie z nadzieją. Ibrahim chciał wiedzieć, co nas czeka po modlitwie.

– Pogadanka, tak? – zapytał z nadzieją.

– Nie – zaprzeczyłam. – Dyskusja na temat wyższości szkół państwowych nad medresami.

– Ja chodziłem do medresy i uważam, że była lepsza od szkoły państwowej – oświadczył Ibrahim.

– A ja chodziłam do szkoły państwowej i uważam, że państwowa jest lepsza.

– To oczywiście, że masz zaburzone postrzeganie islamu – powiedział Ibrahim. – Gdybyś chodziła do medresy, obowiązywałyby tu teraz odpowiednia etykieta między chłopcami i dziewczętami.

– Przepraszam – wtrąciła Lumya. – Czy to już początek dyskusji?

Podzieliłam dzieci tak jak wcześniej na grupy mieszane i kazałam im dyskutować we własnym gronie. Ibrahim był wyraźnie zaniepokojony takim obrotem spraw.

– Wątpię, żeby zaczęli uprawiać seks w trakcie dyskusji – pocieszyłam go.

– Nie wyśmiewaj się ze mnie! – Zagotował się.

Byłam dla niego zbyt surowa. Gdyby coś się stało, rodzice byliby wściekli. Na mnie. Dzieciaki jednak były zachwycone.

– W meczecie nigdy nie sprzeczamy się o takie rzeczy – powiedział piętnastoletni Musa. – Po powrocie do domu przedstawię rodzicom argumenty, dlaczego powinni mnie zabrać z medresy.

Postanowiłam przejść do części rozrywkowej. Zgodnie z tradycją muzułmanie odgrywali scenki, które zazwyczaj były przeraźliwie nudne – na przykład dziewczynka przebrana za Koran płakała, że wszyscy chcą oglądać telewizję i nikt nie chce jej czytać. Mnie zależało, żebyśmy zrobili coś, czego nikt nigdy nie robił na obozie muzułmańskim. W telewizji leciał cieszący się popularnością teleturniej *Nowożeńcy*, w którym pary rywalizują ze sobą, odpowiadając na podchwytliwe pytania o współmałżonka. Patrząc z perspektywy czasu, może jednak powinnam była postawić na sztampę...

– Ale nikt tutaj nie jest po ślubie – zauważył Ibrahim ze zmieszaną miną.

– Tym lepsza będzie zabawa – stwierdziłam.

– Nie możemy pozwolić, żeby dziewczęta i chłopcy dobrali się w pary!

– Wiem. – Poczułam się obrażona, że ktoś kwestionuje moje islamskie wyczucie. – Pary będą jednopłciowe.

– To znaczy drugi chłopiec będzie musiał udawać żonę?

– Skoro pierwszy nie może mieć za żonę dziewczynki, bo to grozi relacjami przedmażeńskimi... – burknęłam.

– Dobrze. – Ibrahim przystał na moją propozycję. – Daj mi pytania.

Zaprowadził swoją grupę w przeciwległy kąt świetlicy.

Pierwsze pytanie było łatwe: Jakie zwierzę najlepiej oddaje odwagę twojego męża?

Możliwe odpowiedzi: lew, wilk, królik.

– Już wiem! – wyrwała się Lumya. – To wszystko są metafory odwagi!

– Tak – potwierdziłam.

Pytanie drugie brzmiało: O jakim filmie myślisz, kiedy całuje cię mąż?

Możliwe odpowiedzi: *Szczęki*, *Nagłe zderzenie*, *Plusk*.

– Już wiem! – Lumya podniecała się dalej. – Tytuły stanowią eufemizmy na technikę całowania!

Bystra była.

Pytanie trzecie: Jaki brytyjski zespół rockowy najlepiej opisuje zachowanie twojego męża w noc poślubną?

Ponieważ zabawa dotyczyła małżeństw, sądziłam, że seks przejdzie... Myliłam się. Możliwe odpowiedzi były następujące: *Orchestral Manoeuvres in the Dark*; *Half Man, Half Biscuit*; *Throbbing Gristle*.

Lumya nachyliła się do mnie. Drżała lekko.

– To pytanie wiąże się z seksem, prawda? – szepnęła.

Ibrahim podszedł z przeciwległego krańca świetlicy.

– Nie jestem takim sztywniakiem, za jakiego mnie bierzesz – powiedział, zaskakując mnie – ale dla chłopców to trochę...

– Krępujące – dokończyłam za niego. – Dobra, łapię. W takim razie zrobmy ognisko i poopowiadajmy historie o dzinnach!

Dzieciaki zareagowały entuzjastycznie. Dwayne przyniósł z kuchni pianki do pieczenia.

– Mogę się do was przyłączyć? – zapytał. – Uwielbiam ogniska.

– Jasne – odpowiedziałam.

– To też część waszej religii?

– Raczej tradycja obozów muzułmańskich – wyjaśniłam, biorąc od niego piankę. – Odpowiednik opowieści o duchach na obozach dla białych dzieci.

Kiedy dzieci wokół mnie skandowały „Pianki! Pianki! Pianki!”, uświadomiłam sobie, że torba nie ma napisu *halal*. Zwykłe pianki potrafią być bardzo kontrowersyjne wśród muzułmanów, ponieważ zawierają żelatynę, która czasem pozyskiwana jest ze świńskich nóżek. Pianki *halal* mają w swoim składzie żelatynę roślinną.

Pociągnęłam Ibrahima na stronę.

– Nie możemy ich piec – syknęłam.

– Nie da rady zrobić ogniska bez pianek – oświadczył Ibrahim, zdecydowanie zbyt głośno.

– Ciii! Te pianki są podejrzane – kontynuowałam. – Nie wiemy, jaka to żelatyna. Może być świńska!

Puls mi przyśpieszył.

Ibrahim zachował wyjątkowy spokój.

– Słuchaj, Bóg zabrania jeść wieprzowinę. To pianka, nie kotlet. Żelatyna w niej jest tak przetworzona, że trudno w ogóle mówić w jej kontekście o wieprzowinie.

Zdębiałam. Facet, który przez cały dzień zgrywał stuprocentowego muzułmanina, nagle nie widzi nic złego w podejrzanych piankach?

– Ale czy wolno nam to ukryć przed dziećmi? – zapytałam, czując się tak, jakbym pozwoliła podopiecznym dojść do trzeciej bazy i patrzyła na to z założonymi rękoma. Czy nie brukałam ich ciał? Czy nie podsuwałam im diabelnych smakołyków? Małych, słodkich świnek?

– Nie podoba mi się, gdy muzułmanie roztrzásają takie drobiazgi – oświadczył Ibrahim.

– No dobrze – zgodziłam się niechętnie. – Lecz tajemnicę tych pianek zabierzemy ze sobą do grobu.

– Do grobu – potwierdził uroczyście.

– Przysięgasz? – zapytałam, wyciągając rękę do uścisku.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Mogę opowiedzieć pierwszą historyjkę? – odezwał się Musa.

Ibrahim przejechał palcem po gardle. Nie wiedziałam, czy każe mi uciszyć Musę, czy po prostu się drapie. W jego wypadku trudno to było stwierdzić z całą pewnością. Ponieważ na ogół był nerwowy, uznałam, że coś go zaswędziało.

– Jasne – odparłam. – Im bardziej przerażająca, tym lepsza.

– W wiosce mojej babci w Pakistanie – zaczął Musa – mieszka džinn, który nocami zakrada się do domów, kiedy dzieci śpią w łóžeczkach...

– Łatwiej mu się zakraść, bo domy zrobione są z kartonu? – wtrąciła Maria.

– Pewnie tak – przyznał Musa, nie dając się zbić z pantafyku. – Poza tym ten džinn ma zdolność przeistaczania się w psa, dzięki czemu nikt nie wie, że jest džinnem.

– To skąd wiadomo, że to nie jest zwykły pies? – zapytała Maria.

Pytanie było bardzo na miejscu. Nawet ono jednak nie wytrąciło Musy z równowagi.

– Stąd, że jego jedna stopa wciąż wygląda jak ludzka. Po tym poznać, że to nie jest prawdziwy pies.

Zaczynało do mnie docierać, że być może Ibrahim jednak się nie drapał...

– Nadchodzenie džinna słychać z daleka po jego krokach, bo szura ludzką nogą.

Dzieci wstrzymały oddech.

– I co ten džinn robi dzieciom? – zainteresowała się Maria.

– Nawiedza je, przez co stają się takie jak on.

– Co to znaczy „nawiedza”? – zapytała przerażona dziewczynka.

– Tyle, że przejmuje władzę nad ich ciałami i umysłami – odparł Musa. – Lecz może to zrobić tylko nocą, kiedy dzieci śpią.

– To ja nie chcę spać – oświadczyła Maria. Inne dzieci też zaczęły szemrać.

– Nie martwcie się, džinny żyją wyłącznie na odludnych terenach – zapewnił Musa.

– Ten obóz znajduje się na dość odludnym terenie – zauważyła Lumya.

– Ale džinny wolą okolice cmentarzy – dorzucił Musa.

Wszyscy wyraźnie się uspokoili.

– Jakies półtora kilometra stąd jest cmentarz – podsunął usłużnie Dwayne.

Wszyscy zdrętwieli ze strachu. Nawet Ibrahim miał niewyraźną minę. Dziecięca paranoja dosięgnęła także mnie. My, muzułmanie, wierzymy w džinny. Nagle zapragnęłam być gdziekolwiek indziej, byle nie tu, a tymczasem żeby dojść do domku, trzeba było przejść przez

las. Ogarnął mnie paraliż. Dostrzegłam, że uczestnicy myślą o tym samym co ja.

Nie mogliśmy przecież zostać przy ognisku przez całą noc. A może jednak?...

Doleciał nas jakiś dźwięk. Kroki, a potem szuranie.

– Bardzo zabawne, Ibrahimie – powiedziałam, starając się zmniejszyć napięcie. W czasie opowiadania historyjek przy ognisku zawsze znalazł się jakiś dowcipniś.

– To nie byłem ja – odparł Ibrahim i szybko przeliczył uczestników.

– Wszyscy są – zapewniła go Lumya.

Dziwne odgłosy nasiliły się.

Łup, szur. Łup, szur.

– Jak się pozbyć dzinna? – odezwał się Dwayne, który nagle zrobił się na twarzy bielszy niż normalnie.

– Trzeba zmówić modlitwę – odpowiedział Ibrahim. – Która to będzie?

– Chyba sura „Al-Bakara” – rzekła niepewnie Lumya.

– Nie, ona trwa bite dwie godziny. W tym czasie dzinn zdążyłby nas nawiedzić.

– Salam alejkum, dziewczęta i chłopcy – zagrzmiął głos Boba Marleya.

Na obozie pojawił się brat Abdullah o kulach, powłóczący jedną stopą.

Ibrahim skoczył ku niemu z ulgą. Strach ostatnich kilku minut całkiem ze mnie wyparował. Jednakże dalej trzęsłam się jak galareta.

– Dzięki Bogu, że przyjechałeś – powiedział Ibrahim.

– Niesamowite – rzucił Dwayne. – Muzułmanie potrafią przemieniać psy w ludzi.

– Nie. Muzułmanie są wyjątkowo strachliwi – powiedziałam Dwayne’owi, ponownie go rozczarowując.

Wraz z pojawieniem się Abdullaha historyjki o dzinnach odeszły w zapomnienie, a my znaleźliśmy w sobie odwagę, aby wrócić do świetlicy na gorącą czekoladę.

– Myślałam, że złamałeś nogę w kostce?

– Okazało się, że tylko ją sobie skręciłem.

– Twoje przybycie to znak od Boga – odezwał się Ibrahim.

– Tak – zgodziłam się z nim. – Niezbadane są ścieżki Pana.

– Nie takie znów niezbadane – odparł Abdullah. – Zadzwoił do mnie zaniepokojony rodzic, którego dziecko chciało koniecznie wiedzieć, czy jego babcia spłynie w nawałnicy, i który następnie spytał mnie, co to jest „throbbing gristle”.

– W każdym razie dobrze, że jesteś – zapewnił Ibrahim.

Poczułam się urażona.

– Bóg dał nam znak, pokazując, że przydałaby nam się pomoc – stwierdziłam.

Nie ma to jak odwołać się do Boga.

– Uspokójcie się oboje, ale to już – rzekł Abdullah. – Tylko Bóg wie, co jest znakiem od Niego.

Wychowawcy zapędzili dzieci do domków.

– I jak, dobrze się bawicie? – zapytał Abdullah.

– Nie bardzo, ale chyba przynajmniej zrozumiałam, co chcę robić w życiu.

– Co takiego?

– Zastanawiałam się, czyby nie przerwać studiów, które są dla mnie za trudne, lecz uznałam,

że powinnam dokończyć to, co zaczęłam.

– Brzmi poważnie – stwierdził Abdullah.

– Właśnie dlatego Bóg wysłał mnie na ten obóz.

– Zgłosiłaś się na ochotnika – przypomniał mi Abdullah.

Zapragnęłam wrócić do rozkminiania zasad dynamiki Newtona. Uczelnia to bułka z masłem w porównaniu z prawdziwym życiem, na które nie byłam jeszcze gotowa. Ten obóz natomiast nie tyle był znakiem, ile otworzył mi szeroko oczy.

Abdullah uśmiechnął się do mnie.

– Wszystko jest dobrze, pod warunkiem że nie słyszysz głosów.

Spad z medycyny

– Jak to: ma tylko jedno oko? – Wchodząc do salonu, usłyszałam słowa Mamy. – A hobby? Hmm... Przypuszczam, że jeśli wyciągnie się wędkę z wody za szybko... O tak, to wygląda na naprawdę przyzwoitą pensję.

– *Ummi*, co robisz? – syknęłam, nie wierząc własnym uszom.

– Szukam ci męża – odparła Mama, zakrywając głośnik jedną ręką.

– Ale...

– Tylko mi nie mów, że masz uprzedzenia do jednoocznych mężczyzn, bo to niezbyt muzułmańska postawa, sama chyba przyznasz?

– Nie, ale...

– Jedno oko, dwoje oczu, jakie to ma znaczenie, skoro mężczyzna ma dobrą pracę? Nie musisz z nim chodzić na ryby. Właściwie najlepiej by było, gdybyś po ślubie trzymała go na łądzie. Księgowemu jest potrzebne co najmniej jedno oko. – I wróciła do rozmowy przez telefon.

To, że w ogóle zaczęła mi szukać męża, było moją winą. Wszystko zaczęło się wraz z nadejściem listu z Akademii Medycznej w Toronto. Przeczytałam pierwsze zdanie – „Z przykrością informujemy...” – i poczułam, że moje życie się skończyło. Od chwili mojego urodzenia plan zakładała, że zostanę lekarzem. Odkąd zaczęłam rozważać przyszły zawód, uczono mnie myśleć o sobie per doktor Nawaz. Od pierwszej klasy moim celem było dostanie się na medycynę. Nieważne, że mdlałam, kiedyśmy pobierali krew pipetką, żeby oznaczyć grupę. Wmawiałam sobie, że pokocham hemoglobinę niczym jakiś medyczny wampir. To, czego nie byłam w stanie znieść, to nauki ścisłe. Chemia, fizyka i matematyka były moją piętą achillesową, przyczyniając się do beznadziejnych wyników, które nie zrobiły wrażenia na komisji egzaminacyjnej akademii – jak się okazuje, do przejścia procesu rekrutacyjnego nie wystarczy długoletnie marzenie ojca imigranta, aby jego córka została lekarzem. Kiedy więc otworzyłam ten list, moje życie legło w gruzach. Plan A nie wypalił.

Mama miała jednak plan B.

– Wydamy cię za mąż – oznajmiła ucieszona, że nareszcie może wtrącić się w moje życie.

Jej największa obawa była taka, że wykształcenie zaowocuje starymi, wysuszonymi jajnikami. Tata jak dotąd hamował matrymonialne zapędy Mamy, wychodząc z założenia, że małżeństwo jest dla tych kobiet, które poległy na egzaminach do Akademii Medycznej.

Teraz oficjalnie dołączyłam do ich grona.

Mama spiskowała, podczas gdy Tata się dąsał. Po paru dniach jej rozmów telefonicznych zdecydowałam się na niewyobrażalne i postanowiłam poruszyć temat swoich uczuć. Wkroczyłam do kuchni akurat wtedy, gdy dodawała wody do mąki pełnoziarnistej, żeby zarobić ciasto na *roti*. Kiedy zaczęła fachowo miesić składniki rękoma, pochyliłam się nad blatem.

- *Ummi*, nie mogę na razie wyjść za mąż – powiedziałam.
- Dlaczego? – zapytała, formując z ciasta kulę.
- Najpierw muszę się odnaleźć.
- Przecież stoisz tutaj. Wcale się nie zgubiłaś.
- Muszę zdobyć zawód – ciągnęłam.
- Przecież możesz zdobyć zawód po ślubie.
- Ty ze wszystkich ludzi na świecie powinnaś najlepiej wiedzieć, jakie to trudne.

Ręce Mamy utknęły na chwilę w cieście. Gdy była w moim wieku, Tata nie chciał jej pozwolić na dalszą naukę. Jego zdaniem tylko mężczyzna potrzebował wykształcenia, ponieważ to on utrzymywał rodzinę. Kobieta siedziała w domu i wychowywała dzieci, w związku z czym była jej potrzebna minimalna edukacja. Mama chciała się uczyć. Jej siostry, wydane wcześniej za mąż, popierały jej pragnienia. Oczekiwały, aż ich rodzice wybiorą się na pielgrzymkę, po czym zapisały Mamę do szkoły z internatem w Murree, sześćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Islamabadu. Po dwuletnim studium nauczycielskim została szybko wydana za mąż i wysłana do Anglii.

Jej życie kręciło się odtąd wokół nowej ojczyzny i nowo narodzonego dziecka. Gdy oboje jej rodzice zginęli w drodze na wesele, zostaliśmy jej tylko my. Nigdy nawet nie zaczęła pracować w szkole.

- Moje małżeństwo ułożyli rodzice – oświadczyła. – Było to ostatnie, co dla mnie zrobili.
- Ciężko było rywalizować z taką tragedią.
- Proszę, daj mi więcej czasu – powiedziałam. – To dla mnie naprawdę ważne.

Mama znowu przestała zagniatać ciasto.

– Zgoda. Dam ci kilka miesięcy, żebyś doszła ze sobą do ładu, lecz potem wyjdiesz za jednookiego księgowego wędkarza.

Zawsze było to jakieś odroczenie.

Mówi się, że nauka nigdy nie idzie w las – ja stanowię wyjątek od tej reguły. Zdobycie licencjatu było najnudniejszą i najbardziej ogłupiającą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam. Usiłowałam uważać na zajęciach, lecz wzory jakoś do mnie nie przemawiały. Na egzaminie z fizyki na przedostatnie pytanie – o moment bezwładności sześcianu względem jednej jego krawędzi – odpowiedziałam następująco:

Drodzy Fizycy!

Jestem pewna, że istnieje absolutnie logiczny wzór na obliczenie tego, o co mnie pytacie. Rzecz jednak w tym, że nie pamiętam, abym się go kiedykolwiek uczyła. Nie bierzcie tego do siebie. Jestem pewna, że próbowaliście mnie go nauczyć. Niestety z trudem przyswajam rzeczy, w których nie widzę sensu. Nie wolicie patrzeć w gwiazdy i podziwiać ich? Wiem, że tak naprawdę są to kule spalającego się gazu, ale przecież nie brak im poezji: spoglądając w nie, ludzie zakochują się i rozmyślają o życiu. Dlatego zastanawiam się, czy nie dałoby się uczynić tego momentu bezwładności bardziej romantycznym. Myślę, że wtedy byłabym

w stanie udzielić poprawnej odpowiedzi.

Z wyrazami szacunku

Zarqa Nawaz

Nie dostałam ani jednego punktu. Obok oceny widniał dopisek: „Jesteś beznadziejna z fizyki. Myślałaś o tym, żeby zostać pisarką?”. Jednakże dla mnie, córki konserwatywnych pakistańskich imigrantów, zawód pisarki, dziennikarki czy scenarzystki był zbyt błyskotliwy – coś jak noszenie siatkowych pończoch albo lśniącego cienia do powiek. Przyzwoita muzułmanka po prostu tego nie robi.

Jednakże rozpaczliwe czasy wymagają niemuzułmańskich środków. Przeglądałam almanachy uniwersyteckie w poszukiwaniu uczelni zawodowych. Minęły już terminy składania papierów do szkół nauczycielskich, które byłyby rozwiązaniem do zaakceptowania przez moich rodziców. Nabór wciąż ogłaszała szkoła dziennikarska w Toronto, kusząc niczym błyszcząca zakazana kula dyskotekowa na końcu ciemnego tunelu.

Usłyszałam, jak Mama mówi przez telefon:

– Jak stracił kciuk? Doprawdy, szkoły powinny zakazać zajęć zet-pe-te... Nie, nie miałam pojęcia, że można użyć w to miejsce palucha. Chirurgia poczyniła ogromne postępy. A jak u niego z chodzeniem?

Prędko wypełniłam formularz i nadałam list.



Kilka tygodni później dostałam odpowiedź. „Z radością informujemy...”.

– Co to? – zapytała Mama.

– Wezwanie na rozmowę kwalifikacyjną do szkoły dziennikarskiej – odparłam.

– Ile trwa nauka?

– Dwa lata. – Widziałam, jak pośpiesznie oblicza w myślach mój wiek. – Nie martw się, moje jajniki nadal będą w pełni sił.

– Najpierw musiałabyś się dostać – powiedziała i wróciła do notesu z numerami telefonicznymi.



– Co się stało, moja droga? Nie wyglądasz najlepiej – stwierdziła pełna dobrych intencji sekretarka.

Siedziałam w poczekalni szkoły dziennikarskiej w Toronto z sińcami pod oczyma. Przez całą noc śniło mi się wędkowanie z księgowym. Niechcący pociągnęłam żyłkę za mocno i wbiłam haczyk w jego jedyne oko.

– Trudno się tutaj dostać, prawda? – zapytałam.

– O tak, to najlepsza szkoła w kraju – odparła. – Kandydaci składają papiery rok po roku.

Przez głowę przemknął mi obraz mnie samej w jaskrawym hinduskim stroju u boku

roześmianej, triumfującej Mamy. Zerknęłam na czekającego razem ze mną kandydata na studenta.

– Wiesz, o co pytają na rozmowie? – zapytałam.

– O to, co nowego możesz wnieść do dziennikarstwa – odparł.

Desperację – pomyślałam. Wiedziałam jednak, że taka odpowiedź nie zrobi furory wśród członków komisji.

– Ja kiedyś przeprowadziłem wywiad z premierem do gazetki harcerskiej. – Pokazał mi zdjęcie ośmiolatka z premierem Clarkiem, wyciągnąwszy je z obszernego portfolio, na które składały się wycinki z różnych gazet.

Spuściłam wzrok na brązową kopertę na swoich kolanach. Miałam w niej plakat, który zrobiłam przy okazji muzułmańskiego obozu letniego. Był kolorowy. Do tego przyniosłam artykuł, który napisałam na temat ablucji bez wody – *Kurz jest niedoceniany*.

Miałam przechlapane. Przekartkowałam nerwowo magazyn dla kobiet.

– Zarqa Nawaz – wyczytała sekretarka. – Jesteś następna.

Weszłam do gabinetu zastawionego ciemnymi drewnianymi regałami i wyłożonego skrzypiącą podłogą. Za starym metalowym biurkiem zasiadał szpakowaty mężczyzna w podeszłym wieku. Wstał na powitanie.

– Zauważyłem, że masz licencjat z nauk ścisłych – powiedział, zajmując z powrotem swoje miejsce.

– Czy to jakiś problem? – zapytałam. Miałam totalnie przechlapane.

– Startują do nas zazwyczaj kandydaci z licencjatem z nauk humanistycznych – wyjaśnił.

– Staram się być oryginalna...

– To wspaniale. Bo już się bałem, że ubiegałaś się o przyjęcie na medycynę, nie dostałaś się i z braku laku twój wybór padł na naszą szkołę.

Ba, szkoła dziennikarska była moją jedyną opcją.

– Pomyślałam, że wszyscy studiują anglistykę. Czemu nie miałabym zrobić czegoś wyjątkowego? Zależy mi, żeby wnieść do dziennikarstwa świeży powiew.

– Tego właśnie szukamy – odparł zadowolony.

– Naprawdę?

– Opowiedz, co twój licencjat może wnieść wyjątkowego.

Przez głowę przeleciały mi bezużyteczne informacje, takie jak moment bezwładności sześcianu względem jednej jego krawędzi – jak to możliwe, że nagle zaczęło to mieć dla mnie sens?

– Większość studentów chce tylko przeprowadzić wywiad z premierem.

– Typowe – powiedziałam. – Ja wolę przekazywać wiedzę, która przyda się ludziom, uczyni różnicę w ich życiu. Pragnę zmienić oblicze dziennikarstwa.

– Możesz wymienić jedną rzecz, której nauczyłaś się w szkole i która przyniesie pożytek społeczeństwu?

Przypomniałam sobie magazyn dla kobiet, który przeglądałam w poczekalni.

– Wie pan, że na rynku jest nowy środek antykoncepcyjny o nazwie Norplant?

– Nie. Na czym to polega?

– To urządzenie, które zawiera hormony i jest wszczepiane w ramię kobiety. Uwalnia środek

antykonceptyjny przez pięć lat, tak że kobieta nie musi pamiętać o zażywaniu pigułki dzień w dzień. – W duchu modliłam się, żeby jego żona była już po menopauzie.

– Niesamowite. Nigdy o tym nie słyszałem.

– Świetnie. Chciałam powiedzieć: to zrozumiałe. Informacje na ten temat jeszcze nie zostały opublikowane – dodałam. – Dowiedziałam się o tym na zajęciach z fizyki.

– Naprawdę? Zdumiewające. Znaczący... czy to nie ironia, że mało kto o tym słyszał? Kobięce czasopisma powinny być bardzo zainteresowane.

– O, tak. Czy jest pan... eee... miłośnikiem czasopism dla kobiet?

– Nie. Czytuję magazyny łowieckie. Moja żona zmarła przed rokiem, po czym zrezygnowałem z większości prenumeraty.

– Dzięki Bogu... to jest, odeszła do Boga. Jestem raczej religijna, na wypadek gdyby pan nie zauważył – powiedziałam, wskazując chustkę na głowie. – W gruncie rzeczy powinnam się niedługo pomodlić. W którym kierunku leży południowy wschód?

Właśnie przyszło mi na myśl, że skoro nie ma żony, nie musi być ignorantem w sprawach antykonceptji. Co będzie, jeśli spotyka się z młodszą od siebie kobietą? Mogłaby mnie wydać...

– Nie spotyka się pan z nikim, co? – zapytałam.

Popatrzył na mnie dziwnie.

– Nie, odkąd zmarła moja żona, staram się zachować ją w żywej pamięci.

– Rzecz w tym, że moja matka jest samotna i zastanawiam się, czy nie byłby pan zainteresowany – powiedziałam szybko, zdawszy sobie sprawę, jak mogło zabrzmieć moje pytanie. Chcąc zatrzeć złe wrażenie, że do niego uderzam, wymyśliłam coś jeszcze głupszego, bo Mama ani nie jest samotna, ani nawet gdyby była, nigdy by się nie umówiła z białym mężczyzną.

– Dziękuję, ale nie trzeba – odparł. – Moim zdaniem okażesz się cennym nabytkiem dla naszej szkoły, zwłaszcza że tak świetnie się orientujesz w najnowszych trendach technologii reprodukcyjnej.



Zostałam przyjęta! Zaraz jednak usłyszałam od opiekuna roku, że muszę sobie załatwić posadę w jakiejś gazecie poza miastem.

– Nie ma mowy – oświadczyła Mama. – Nigdzie nie pojedziesz.

– Ale dlaczego? – nalegałam. – Praktyka to część studiów.

– Załatw sobie praktykę w Toronto.

– Tutaj nie sposób znaleźć pracy podczas studiów. Wszystkie gazety szukają osób z doświadczeniem w prowincjach. Muszę się gdzieś zaczepić.

– Islam zabrania pannom opuszczania domu – powiedziała Mama.

– Nieprawda. Gdzie tak jest napisane?

– W Koranie.

– Wcale nie. Pokaż mi, skoro jesteś taka pewna.

– No dobrze, przeczytałam to gdzie indziej.

– Gdzie?

– Nieważne. Nie wyjedziesz z domu, dopóki nie wyjdiesz za mąż. Ludzie by gadali. „Wyjechała z domu i Bóg wie, co robiła, jak jej nie było”.

Aha, więc o to naprawdę chodziło.

– Ty przecież wyjechałaś z domu.

– Co niemal złamało moich rodziców – powiedziała Mama. – Martwili się o moją reputację. Dziewczynie trudno jest znaleźć męża, jeśli jej reputacja nie jest nieskazitelna.

– Dlaczego małżeństwo musi być moim nadrzędnym celem?

– Dlatego że po mojej śmierci zostałabyś sama.

– Miałabym przynajmniej pracę.

Mama nie chciała ustąpić.

Zatelefonowałam do redakcji miejscowej gazety, licząc na cud.

– „Oakville Beaver” – odezwał się niezadowolony głos.

– Dzień dobry, jestem studentką dziennikarstwa i dzwonię z pytaniem, czy nie potrzebujecie stażystów.

– Nie bardzo – usłyszałam w odpowiedzi. – Mamy za mały budżet.

– Mogłabym wnieść do waszej gazety wiedzę, jakiej nie ma nikt inny – rzuciłam zrozpaczona.

– Na przykład? – zapytał mężczyzna.

– Słyszał pan o Norplancie?

– Tak, moja dziewczyna go używa.

– Wie pan, jak obliczyć moment bezwładności sześcianu względem jednej jego krawędzi?

Mężczyzna się rozłączył.

Moje życie legło w gruzach. Znowu.

Ukryłam twarz w dłoniach. Gdy zadzwonił telefon, odebrała Mama.

– No wiesz, powiedz mu, żeby wyłamał sobie kciuki i zdjął kajdanki! – zawołała. – Nie, dziękuję. Nawet my mamy pewne standardy.

A potem Saddam Husajn najechał Kuwejt i wszystko znów było dobrze. Wraz z wojną w Zatoce Perskiej uświadomiłam sobie, że mam przewagę w szkole. Ponieważ muzułmanie bili się o przyjęcie na studia medyczne, byłam jedyną przedstawicielką swojego ludu na roku.

Postawiłam na zagranie strategiczne i napisałam artykuł o tym, jak stacja CBS przedstawia wojnę w Zatoce Perskiej w swoim sztandarowym programie.

Wykorzystując dobre nastawienie społeczności dziennikarskiej do studentów reporterów, umówiłam się na wywiad z Davidem Bazayem, producentem programu.

– Jesteś studentką dziennikarstwa? – zapytał David, kiedy rozgaszczałam się w jego gabinecie, mając za przepierzeniem dział wiadomości.

– Tak – odparłam, robiąc ważną minę. – Niepokoi mnie sposób, w jaki pana reporterzy relacjonują wojnę w Zatoce Perskiej.

– Co konkretnie budzi twój niepokój? – zapytał zmartwiony.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Chciałam tylko dostać pracę.

– Myśli pan, że muzułmanka w hidżabie mogłaby zostać zatrudniona jako prezenterka wiadomości? – zapytałam. – Wtedy przynajmniej nikt by was nie mógł posądzić o dyskryminację.

Przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

– Raz włożyłem na antenę myckę. Mój producent kazał mi ją zdjąć, żeby nie został posądzony o subiektywizm – poinformował mnie rzeczowo.

Domyśliłam się, że właśnie spotkała mnie odmowa.

– A nie mogłabym chociaż zrobić reportażu na weekend?

– Pracowałeś w prowincjach? – zapytał. – Bo często przesuwamy pracowników z naszych placówek. Może rozważysz przeprowadzkę na północ?

Nie mogłam mu powiedzieć, że Mama mi nie pozwala. Musiałam zmienić taktykę.

– Czy ten reporter właśnie powiedział „muzułmanin”? – Odwróciłam się do jedyne go monitora w gabinecie.

– A nie tak to się mówi?

– On przeciągnął pierwsze „u”, jakby muczała krowa – odparłam z taką pewnością siebie, na jaką było mnie stać – a tymczasem to się wymawia krótko.

– Fascynujące – powiedział David. – Nie miałem pojęcia, że przekręcamy te wyrażenia.

– Wymawiacie też błędnie Tariq Aziz. – Tariq Aziz był prawą ręką Saddama Husajna. – W drugiej sylabie imienia powinno być słycać nie „i”, tylko „y”, jak w Rick Astley.

Rozejrzałam się po dziale wiadomości. Nie było tam wielkiej różnorodności rasowej, zatem nie musiałam się martwić, że ktoś podważy moje kompetencje. David przywołał sekretarkę.

– Yvette jest arabską chrześcijanką – wyjaśnił. – Powie mi, czy masz rację.

Wymówiłam dla niej słowa „muzułmanin” i „Tariq Aziz”.

– Wie, jak się to wymawia – stwierdziła Yvette. – I co z tego?

David usiadł i podrapał się po głowie.

– Co powiesz na pracę w niepełnym wymiarze godzin?

– Umowa stoi. Czy mam nosić czerwoną chustkę? Pomogłaby mi się wyróżnić na wizji.

– Nie trafisz na wizję, ale mam dla ciebie zadanie – oznajmił David. – Ta wojna trochę potrwa i przydadzą nam się informacje o społeczności muzułmańskiej w Kanadzie.

Miałam się pojawić ze szczegółowym raportem, większość świąt Bożego Narodzenia spędziłam więc na przekopywaniu się przez źródła. Nie była to fascynująca reporterska praca, o jakiej marzyłam, lecz wmawiałam sobie, że nawet Bob Woodward i Carl Bernstein musieli od czegoś zacząć.

– Jak wam idzie zdobywanie posad? – zapytał opiekun roku, kiedy wróciliśmy do szkoły po świątach. Reszta studentów załatwiła sobie pracę reporterów w odległych prowincjach Kanady. – To nie jest prawdziwa posada dziennikarska – stwierdził, gdy mu się pochwaliłam. – Reporter to nie jest ktoś, kto pisze raporty. Poszukaj sobie czegoś innego albo zobaczysz.

Wróciłam do Davida.

– Przydał nam się twój raport – powiedział. – Bardzo użyteczny dla reporterów.

– Którym nie wolno mi być.

– Chyba że jesteś chętna przenieść się na terytorium Nunavut.

– Mam uczulenie na niedźwiedzie polarne – stwierdziłam. – Ich futro wywołuje u mnie wstrząs anafilaktyczny. Nie ma pan dla mnie jakiegoś zajęcia w dziale wiadomości?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Mamy wakacje na weekendowej nocnej zmianie programu informacyjnego – rzekł w końcu.

- Nikt nigdy nie jest zainteresowany.
- Na czym polega ta praca?
- Trzeba śledzić pojawiające się wiadomości i streszczać najważniejsze dla dyżurnego reportera.
- Czyli pisałabym newsy? – upewniłam się.
- Tak.
- Byłam uratowana.



- Będziesz pracować w nocy? – zapytała Mama.
- *Ummi*, zaczynam o ósmej wieczorem i kończę o ósmej rano. Nic mi nie grozi.
- Zgoda – powiedziała. – Tylko nie łaż po centrum o drugiej nad ranem. Ludzie mogliby zacząć gadać.
- Na nocnej zmianie pracowała ze mną moja koleżanka ze szkoły, Janice. Razem śledziłyśmy napływające wiadomości i streszczałyśmy te najważniejsze. Jednak naszym najważniejszym zadaniem było obudzenie Davida w razie, gdyby na świecie wydarzyło się coś przełomowego. Po CBS krążyła plotka, że w noc, gdy Saddam Husajn zaatakował Kuwejt, dyżurni zbagatelizowali newsa i nie obudzili przełożonych. Wylecieli po tym z pracy. Jak łatwo się domyślić, obydwie bardzo się bałyśmy, żeby nie przeoczyć prawdziwej bomby.
- Korea Północna właśnie przesunęła armię na granicę z Koreą Południową – oznajmiła Janice.
- Co by było, gdyby Korea Północna zaatakowała Południową? – zapytałam ją.
- Wybuchłaby trzecia wojna światowa – odparła. – Albo nic by się nie stało.
- Nie mogłam sobie pozwolić na utratę tej pracy. Zadzwoiłam do Davida.
- Słucham. – Po drugiej stronie rozległ się zaspiany głos.
- Proszę pana, Korea Północna przesunęła armię na granicę z Koreą Południową – poinformowałam.
- Doszło do ataku? – zapytał.
- Nie, wojsko tylko gromadzi się na granicy – odpowiedziałam.
- Czyli normalka – skwitował David. – Nie dzwoń do mnie, póki nie dojdzie do ataku.
- I jeszcze jedno...
- Tak, proszę pana? – zapytałam przestraszona jego tonem głosu.
- Ta plotka, którą słyszałaś, to tylko plotka. Jeśli wydarzy się coś poważnego, dostaniemy cynk od naszego korespondenta zagranicznego. Nie bądź więc taka przewrażliwiona i więcej do mnie nie dzwoń.
- Jak się łatwo domyślić, w poniedziałkowe ranki byłam mocno niewyspana. Pierwsze zajęcia wymagały koncentracji, a ja byłam nieprzytomna po całej nocy na nogach i zamartwianiu się o mieszkańców Korei Północnej. Opiekun roku wziął mnie kiedyś na stronę.
- Masz kiepskie oceny – zauważył.
- Tak, bywam zmęczona na zajęciach – odparłam.
- Obawiam się, że nie zaliczysz u mnie.

- Jak to? Wylecę ze szkoły?
- Na razie poddamy cię obserwacji. Zobaczymy, jak sobie radzisz na innych zajęciach.
- To znaczy, że jak zaliczę wszystko inne, nic mi nie grozi?
- Będziesz musiała powtarzać zajęcia z edytorstwa – oznajmił. – Musimy się trzymać pewnych standardów.

Po powrocie do domu musiałam mieć skruszoną minę.

- Co się stało? – zapytała Mama, siekając cebulę.
- Nie zaliczyłam zajęć z edytorstwa.
- Ale nie wylecisz ze szkoły?
- Pod warunkiem że zaliczę przy drugim podejściu.
- No to lepiej się postaraj.

Zaskoczyła mnie. Spodziewałam się, że raczej wyciągnie swoją starą suknię ślubną, aby sprawdzić, czy będzie na mnie pasowała.

– Moi rodzice przyjechali do mnie w odwiedzin, kiedy uczyłam się w studium nauczycielskim – powiedziała, przekładając posiekaną cebulę na patelnię. – Ojciec chciał mnie stamtąd zabrać. Lecz kiedy matka zobaczyła, jaka jestem tam szczęśliwa, uparła się, żebym ukończyła naukę. – Chyba jeszcze nigdy Mama nie okazała mi tyle zrozumienia. – Ta szkoła ci służy – stwierdziła. – Wydajesz się znacznie szczęśliwsza niż w college’u.

– Czy ten jednooki księgowy zaczeka?

- Już się ożenił. Atrakcyjni kandydaci rozchodzą się jak ciepłe bułeczki.
- Cóż, tego kwiatu jest pół świata – powiedziałam, chcąc rozluźnić atmosferę.

– Zapamiętaj sobie: praca nie zastąpi ci bliskości z drugim człowiekiem – rzuciła, dodając kminku do skwierczącej cebuli. – Modłę się tylko, żebym zdążyła cię wydać za mąż, zanim umrę.

Obowiązkowe czarnowidztwo.

Za drugim razem zaliczyłam edytorstwo śpiewająco i nareszcie dobrze się poczułam w szkole. Moje oceny skoczyły z poziomu trójek na piątki. I nawet zdobyłam nagrodę za jeden z tekstów.

Gdy się pochwaliłam dziekanowi, usłyszałam:

- To dobrze, nie będziemy musieli cię wylać.

Któregoś razu natknęłam się na mężczyznę, który przeprowadzał ze mną rozmowę kwalifikacyjną.

– Ja ciebie pamiętam – powiedział. – Ponoć nieźle sobie radzisz.

– Dziękuję – odparłam trochę zdenerwowana.

– Tak nawiasem mówiąc, ktoś inny też powiedział mi o Norplancie – dodał.

– Och, czyżby zaczął się pan umawiać z młodszą od siebie kobietą?

– Nie. Mam córkę, która go używa – wyjaśnił. – Uśmieła się, kiedy jej opowiedziałem o twoim „przełomowym” odkryciu. Stosuje Norplant od około roku.

– Przepraszam pana za tamto – rzekłam z głupią miną. – Nie wiedziałam, jak inaczej wywrzeć na pana wrażenie. Dorastając, nie miałam okazji przeprowadzić wywiadu z premierem.

– Ty naprawdę chciałaś zostać lekarzem, prawda?

– Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie – przyznałam się. – Ale kiedy nie dostałam

się na medycynę, moja matka uparła się wydać mnie za męża. Jest trochę staroświecka. Wierzy, że małżeństwo to najważniejsza sprawa w życiu. Moim zdaniem jest szalona.

– Nie. Twoja matka ma rację – odparł profesor. – To dzięki żonie moje życie nabrało sensu. Nie podważaj rad matki.

– Nie gniewa się pan na mnie za to, że pana okłamałam?

– Połowa dziennikarzy kłamie, żeby rozpowszechnić newsa – oznajmił. – W tym biznesie, żeby coś osiągnąć, trzeba być kreatywnym.

– Dziękuję, że mnie pan nie uwalił – powiedziałam.

– Nie ma za co. Ale chciałbym cię prosić o przysługę.

– Słucham. – Zadrżałam w oczekiwaniu.

– Chyba zacznę się znowu umawiać z kobietami. Dasz mi numer do swojej matki?

Zrobiłam wstrząśniętą minę.

– Mama nie umawia się z białymi mężczyznami. Nie uważa ich za odpowiedni materiał na męża.

– Jestem pewien, że zdołam sprawić, by zmieniła zdanie.

– Do tego musiałby pan zmienić wyznanie i zostać muzułmaninem.

– Islam to interesująca religia – powiedział. – Wprawdzie jestem agnostykiem, ale co mi szkodzi spróbować. Mogę do niej zadzwonić?

– Mama tak naprawdę nie jest wdową – wyznałam. – Moi rodzice są małżeństwem od ponad dwudziestu, mniej lub bardziej szczęśliwych, lat. Nie sądzę, żeby Tacie spodobało się, że pan wydzwaniania do jego żony. Ona też nie byłaby zachwycona. Bez obrazu.

– Spokojnie – zapewnił mnie. – Tylko cię naciągam. Teraz chyba jesteście kwita po twoim numerze z Norplantem. No więc, jak ci się podoba dziennikarstwo?

– Uwielbiam je. Aż do tej pory nie wyobrażałam sobie swojej przyszłości.

– To najbardziej podniecający zawód na świecie, mam rację?

– Całkiem jak siatkowe pończochy – potwierdziłam.

Samiul

Muzammal zapragnął ożenić się z Suzanne. Mój brat równie dobrze mógłby ogłosić, że chce poślubić lemura.

- Swoj powinien ciągnąć do swego – skwitował osłupiały Tata.
- Ale „swoj” to pojęcie względne – odparł Muzammal.

W świecie moich rodziców nie mogło być mowy o małżeństwie poza klanem pendzabskim. Małżeństwo klanowe było święte. Suzanne, jako Szkotka, też miała coś wspólnego z klanami, jednakże to nie liczyło się dla moich rodziców. Muzammal natomiast postanowił, że dojdzie do zbliżenia szkockich i pendzabskich korzeni, choćby się waliło i paliło.

No i świat runął nam na głowy.

Mama natychmiast wypatrzyła okazję. Latami załamywała ręce, obserwując moją obsesję na punkcie telewizji, szczególne upodobanie do wiadomości i chęć zostania prezenterką na antenie. Uważała, że nie dość poważnie podchodzę do jej zapędów swatki. Potrzebowała sojusznika – a kto nadawał się do tej roli lepiej niż Muzammal?

- Najpierw powinna wyjść za mąż twoja siostra, przecież wiesz.

Muzammal nie wiedział.

W Pakistanie zawsze siostra bierze ślub przed bratem, nawet jeśli to on jest starszy, w przeciwnym razie bowiem ludzie zaczynają gadać. Że z siostrą jest coś nie tak. Z pewnością ma szósty palec u jednej stopy albo owłosione plecy, albo – co gorsze – genetyczną przypadłość „co w głowie, to na języku”.

– Ale my mieszkamy w Oakville, nie w Fajsalabadzie. Tutaj nikt tak nie myśli – argumentował Muzammal.

Nikt oprócz Mamy i jej przyjaciółek, a to wystarczyło. Dopóki nie wyjdę za mąż, nie będzie żadnego innego ślubu bez względu na kolor skóry wybranki.

Nawet mój najmłodszy brat Muddaththtir, który właśnie kończył osiemnastkę, okazał zaniepokojenie.

- Ja też będę musiał czekać? – zapytał.
- Tak – odpowiedziała Mama.
- Tylko że jej to może trochę zabrać – stwierdził. – Dziwaczka z niej.
- Gdzieś tam jest człowiek, który uzna jej dziwność za zaletę – oznajmiła Mama. Po czym pieczętując los nas wszystkich, dodała: – Znajdźcie go.

Zostałam zapędzona w róg przez konserwatywną matkę i dwóch zdesperowanych braci

kawalerów.

Nie chodziło o to, że nie chciałam wyjść za mąż, bo chciałam. Przemawiała do mnie idea męża, który będzie mnie kochać za to, kim jestem. Wyobrażałam sobie, że poznam go, pracując jako dziennikarka, i przekonam do siebie własną osobowością. Właśnie ukończyłam szkołę i aby nabyć doświadczenia, musiałam wyjechać z Toronto, jednakże Mama nie chciała mnie nigdzie puścić, póki nie wyjdę za mąż. Obawiała się, iż kariera tak mnie zaabsorbuje, że przestanę rozglądać się za kandydatem na męża. Ani myślała mi pozwolić na jedno bez drugiego.

– *Ummi*, co mam mówić potencjalnym pracodawcom? – zapytałam sfrustrowana jej uporem.

– Zapytaj ich, czy znają jakichś przyzwoitych młodych muzułmanów – odparła. – Mogłabyś też trochę poflirtować.

Nie wierzyłam własnym uszom. Mama zawsze utrzymywała, że islam zabrania flirtu, traktując go na równi z gwałtem, morderstwem i grabieżą. Osobiście nigdy nie natrafiłam na stosowny ustęp w Koranie, lecz Mama twierdziła, że trzeba czytać między wierszami. Rada zachęcająca do uwodzenia, dawana przez kobietę, która wyszła za mąż w wyniku aranżowanego małżeństwa i uważała flirt za haniebny, najlepiej ukazywała desperację Mamy.

– I uśmiechaj się nieco więcej – dodała. – Popracuj również nad niezobowiązującą rozmową.

– Na przykład?

– Pytaj ich, gdzie kupują maty modlitewne.



Moi rodzice byli zwolennikami aranżowanego małżeństwa. Najlepiej świadczył o tym fakt, że po dwudziestu pięciu latach wspólnego życia wciąż byli razem.

– Całe to spotykanie się i poznawanie, żeby wyjść za mąż z miłości. I co się dzieje? Tak czy owak, jesteś rozczarowana. A kiedy ktoś zaaranżuje małżeństwo za ciebie, nie ma mowy o rozczarowaniu. Masz męża i już.

– Jak można wyjść za kogoś, kogo nie widziało się nigdy wcześniej? – zapytałam. To naprawdę nie dawało mi spokoju.

– Tak się kiedyś robiło – odparła. – Miłość przychodzi z czasem.

– A dlaczego nie zacząć od niej?

– Biali się w sobie zakochują, a i tak potem się rozwodzą. To pokazuje, że jedna metoda nie jest lepsza od drugiej.

Z jakiegoś powodu podejrzewałam, że jej zdaniem małżeństwo aranżowane jest jednak lepsze.

Nie mogłam znaleźć stałej pracy, Muzammal nie mógł się ożenić, a Mama nie mogła spać. Słynni prezenterzy nie mieli podobnych kłopotów.

Rodzice gorączkowo odnawiali kontakty przyjacielskie, aby znaleźć dla mnie idealnego męża. Uparli się, że musi on pochodzić z konkretnej prowincji Pakistanu, Pendżabu. Zamierzali scementować więzi z krajem rodzinnym, a ja miałam im posłużyć za zaprawę. Wtem natrafili na bogate źródło Pendżabczyków, którzy mieszkali w USA, kończyli doktoraty i potrzebowali statusu legalnego imigranta, który mogła zapewnić tylko kanadyjska panna młoda. Przedzierzgnęłam się w obywatelstwo z bonusami.

Pewnego dnia wróciłam do domu z CBS, gdzie jako wolny strzelec pracowałam nad programem radiowym, i opadłam na krzesło w kuchni. Na stole leżała *samosa*, mój ulubiony smakołyk. Co za miła niespodzianka! Częstując się ukradkiem, zobaczyłam, że Mama lustruje mnie od stóp do głów.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Chyba powinnaś się przebrać – rzuciła.

– Żeby zjeść? – zdziwiłam się. – Jedzeniu jest wszystko jedno, jak wyglądam.

Mama poprawiła się niespokojnie na krześle.

– W salonie czeka miły mężczyzna.

– W salonie? Teraz? – Zasadzka! Zerwałam się na nogi, szukając wyjścia.

– To syn przyjaciela siostrzeńca mojego wuja. Jeszcze ze studiów – wyjaśniła. – Wpadł na herbatę.

Wepchnęła mi w ręce tacę i posłała do salonu. Najwyraźniej strój nie był przeszkodą.

Na utrzymanej w brązowej tonacji kwiecistej sofie siedział śniady mężczyzna ubrany w czarny garnitur. Wyglądał na nie mniej zdenerwowanego ode mnie. Uśmiechnęłam się do niego niezręcznie, nalewając mu herbaty. Potem siedzieliśmy w milczeniu i popijaliśmy każde ze swojej filiżanki. Było to bardzo męczące.

– No więc... Gdzie kupujesz maty modlitewne?

– W Pakistanie – odparł. – Tak samo jak wszyscy.

Uśmiechnęłam się szerzej. Flirtowałam!

– Co studiowałaś? – zapytał.

– Dziennikarstwo.

– Fajnie. Rodzice powiedzieli ci o warunku?

– Jakim znowu warunku?

– Przez kilka lat po ukończeniu doktoratu będę musiał mieszkać w Pakistanie.

– A co to ma wspólnego ze mną? – zapytałam, nie widząc związku.

– Ty też przeprowadzisz się do Karaczi.

Och!

Usiłowałam sobie wyobrazić pracę w pakistańskim „Heraldzie”. Czy to by się liczyło jako praktyka z dala od dużych ośrodków miejskich?

Przysłuchując się szumowi wentylacji, zastanawiałam się, czy między nami zaiskrzyło. Może jest dla mnie stworzony, tylko ja o tym nie wiem? Małżeństwo rozwiązałoby większość moich problemów. Wróciwszy do kuchni, oznajmiłam Mamie, że być może to się uda. W końcu skoro ona musiała się wyprowadzić z ukochanego kraju, czemu ja nie miałabym zrobić tego samego? Mama była zachwycona. Wróciłam do salonu, niosąc tacę z ciasteczkami.

– Zatem nie widzisz przeszkód, żeby przenieść się do Pakistanu?

– Idziemy tam, dokąd skieruje nas Bóg – odparłam.

– Właściwie to nie wierzę w Boga – powiedział.

Jedną chwileczkę...

– Jak to?

– To znaczy islam jest wiekową i szacowną religią, lecz ja przedkładam naukę nad wiarę.

Przeprosiłam go, poszłam do kuchni i powiedziałam Mamie, że ze ślubu jednak nici.

– Dlaczego? – zapytała Mama. – Z początku tak dobrze wam szło.

– Twierdzi, że nie wierzy w Boga.

Mama zamilkła. Chociaż miałyśmy odmienne zapatrywania na naszą wiarę, w jednej sprawie byłyśmy zgodne.

– No dobrze. – Mama westchnęła. – Potrzebny nam ktoś, kto wierzy w siłę wyższą. Następnym razem zachowam większą ostrożność. Kto mógł przypuszczać, że muzułmanin okaże się ateistą?

Od tej pory przez nasz dom przewijał się nieskończony korowód młodych Pakistańczyków z amerykańskich uczelni. Pojawiali się tak często i tak szybko znikali, że nie zwracałam sobie głowy ich imionami. Wystarczały mi nazwy stanów. Ohio nie chciał mieć dzieci. Wisconsinowi nie odpowiadała żona, która by miała pracę. Luizjana sam nie chciał pracować. Utah był polecany przez kuzyna rzeźnika przyjaciółki Mamy, ale okazało się, że zalatuje od niego whisky.

Sporadycznie wyglądało to obiecująco. Gdy pewnego sobotniego popołudnia wróciłam do domu, w salonie siedział Kalifornia. Miał na imię Adil i był przystojny – przypominał młodego, śniadego Paula McCartneya. Wychował się w Pakistanie i robił doktorat z nauk ścisłych na Uniwersytecie Stanforda.

– Mam cię przed oczyma od małego – powiedział.

W wieku pięciu lat pojechałam z rodzicami do Pakistanu i trafiłam na zdjęcie jego starszego brata, który właśnie skończył szkołę średnią. Fotografia zawisała na ścianie jego domu rodzinnego.

Zadurzyłam się w pięć minut. To musiał być znak od Boga. Spotkała mnie nagroda za to, że ze stoickim spokojem odbyłam podróż krajoznawczą po całych Stanach. W zamian dostałam podanego na tacy romantycznego przystojniaka z Kalifornii.

Rozmawialiśmy na rozmaite tematy, po czym zesłaliśmy na religię.

– Wierzę w Koran, ale nie w hadisy – rzekł.

Tylko nie to...

– Ależ w hadisy trzeba wierzyć – odparłam zmieszana.

– Ja nie wierzę – powtórzył. – Zamieniają wiarę w niekończące się reguły.

Mnie te reguły się podobały. Stanowiły dla mnie podporę. Dzięki nim miałam czym dręczyć rodziców.

– To szaleństwo – stwierdziłam. – Tak nie można.

Najwyraźniej był innego zdania.

Gdzie jest Bóg, gdy człowiek oczekuje cudu?



– Chyba kogoś znalazłem – oznajmił Muzammal.

Wyglądał na bardziej ucieszonego ode mnie. Zdążyłam zapomnieć, ile go kosztuje mój upór. Za pośrednictwem kręgu swoich przyjaciół Muzammal dowiedział się o młodym studentce medycyny nazwiskiem Samiul Haque.

Coś mi zaświtało. Gdy jeszcze byłam w college'u, czasami jeździłam w weekendy z Toronto do mojej najlepszej przyjaciółki Rahat, która studiowała w Kingston. Współ-lokatorka Rahat,

Sabreena, miała na tablicy korkowej przypięte zdjęcie swojego brata – Samiula. Przypomniałam sobie, że kiedy gapiłam się na tego przystojnego młodego mężczyznę, jakby odpowiadał mi spojrzeniem. Z tym że był już zaręczony.

Niedawno dowiedziałam się od Rahat, że zaręczyny zostały zerwane. Ale Samiul mieszkał w Saskatchewan, czyli kilka prowincji – i kilka światów – ode mnie. Nie miałam pojęcia, jak się z nim skontaktować. Tymczasem to on znalazł sposób, by skontaktować się ze mną. Nadzieja powróciła – i to mimo iż usłyszałam od Muzammala, że Samiul właśnie kończy staż w La Ronge, miasteczku położonym trzynastu godzin jazdy od granicy kanadyjsko-amerykańskiej, w pobliżu sześćdziesiątego równoleżnika. Samiul przyszedł na świat w Montrealu w rodzinie Bengalczyków, którzy wyemigrowali do Kanady w latach sześćdziesiątych, i wychowywał się na prerii. Jego rodzice pozostawili wybór żony w jego rękach.

Uznałam, że to cud, o jaki się modliłam.

– Chcę za niego wyjść – powiedziałam, czując, że to ten jedyny.

Teraz tylko ktoś musiał przekonać Samiula.

Muzammal był lekko zdziwiony, lecz nie zamierzał kwestionować wyroków opatrności. Przesłał wiadomość pocztą pantoflową, informując, że Samiul może przyjechać z wizytą.

Mój wybranek zadzwonił któregoś wieczoru, gdy rodziców nie było w domu.

– Tu Samiul – powiedział bardzo głębokim głosem.

– Tu Zarqa – odparłam.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Chyba powinienem rozmawiać z twoim bratem.

– Nie ma go. W przeciwieństwie do mnie.

– Nie masz nic przeciwko rozmowie?

– Nie.

– Wiele o tobie słyszałem.

Te słowa przeszły mi serce niczym strzała. Żaden kandydat, z jakim się spotkałam w minionych straszliwych miesiącach, nie powiedział do mnie czegoś takiego. Poczułam, że się rumienię. Samiul o mnie słyszał. I mimo to zadzwonił.

– Naprawdę? – bąknęłam.

– Jesteś dziennikarką. To coś nowego. Ostatnio wszyscy chcą być lekarzami. Jak ja! – Zaśmiał się tym swoim basem. – Musisz być interesującą osobą.

– Jasne. – Bywałam interesująca. – Zatem mieszkasz w Saskatchewan? To jedna czy dwie prowincje nad Ontario?

Samiul milczał przez dłuższą chwilę.

– A więc to prawda, co mówią o mieszkańcach Toronto – powiedział w końcu. – Nie macie pojęcia o reszcie kraju.

Gdy znowu zapadła cisza, poważnie się zastanawiałam, czyby go nie zapytać o maty modlitewne. Na szczęście odezwał się pierwszy.

– Co porabiasz ostatnimi czasy?

– Szukam pracy. Wszystko wskazuje na to, że będę musiała na jakiś czas wyprowadzić się z miasta, co na razie jest trudne, bo wiesz... – Zdażyłam się ugryźć w język, zanim powiedziałam: „najpierw muszę wyjść za mąż”.

– Tu, gdzie mieszkam, jest filia stacji CBS – rzucił cicho.

– Tak, sprawdziłam to sobie. Mieści się nad sklepem ogólnobranżowym.

Oboje wiedzieliśmy, że nie mogę ot tak się spakować i przenieść. Wcześniej musieliśmy postanowić, co dalej z nami.

– Chciałbym cię odwiedzić – rzekł.

– Jak szybko mógłbyś przyjechać?

Zaśmiał się.

– Robię staż, więc nie jestem panem swojego czasu. Ale w Święto Dziękczynienia będę miał wolne. To zaledwie dziesięć tygodni...

– Dziesięć tygodni! – krzyknęłam. – To za długo!

Miałam szczęście, że się nie rozłączył.

– Naprawdę nie dam rady pojawić się wcześniej – zapewnił.

– No dobrze. – Byłam zarazem rozczarowana i podekscytowana. Tak, to na pewno był ten jedyny. Wcześniej zdarzyło mi się pomylić, ale tym razem wszystko się zgadzało.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – odezwał się ostrożnie.

– Wierzysz w Boga?

– Oczywiście. Jakżebym nie mógł, przecież jestem muzułmaninem.

– Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedziała.



Tego samego wieczoru po powrocie do domu Mama tryskała entuzjazmem.

– Wuj Mumtaz wynalazł młodego mężczyznę, który robi doktorat w Nebrasce. Będzie dla ciebie idealny. Ma dobrą pracę i nie przeszkadza mu żona z własnym zawodem. Być może zechce się osiedlić na północy Ameryki – opowiadała, rozpakowując zakupy. Tata, który siedział z nami w kuchni, unikał mnie wzrokiem. – Przyjedzie w odwiedziny za dwa tygodnie.

– Ja też mam dla was nowiny – powiedziałam. – Rozmawiałam z Samiulem, którego wynalazł Muzammal, i uważam, że to ten jedyny. Dlatego raczej nie spotkam się z Nebraską.

– Wuj Mumtaz poczuje się urażony po tym wszystkim, co dla nas zrobił – oświadczyła Mama. Ponieważ wuj Mumtaz tak naprawdę był tylko przyjacielem rodziny, a nie żadnym krewnym, nie martwiłam się zbytnio.

– Nie chcę się spotykać z Nebraską. Wiem, że Saskatchewan... znaczy Samiul... wypali.

– Posłuchaj mojej rady, co dwaj mężczyźni to nie jeden – zawołała przez ramię Mama, wychodząc z kuchni. – Spotkaj się z oboma i zobacz, który zechce się z tobą ożenić.

Wiedziałam, że muszę przeciągnąć Tatę na swoją stronę, jeśli nie chciałam spotykać się z Nebraską. Mogło to być trudne, Tata bowiem jakoś nie zdążył się zapalić do pomysłu małżeństwa. Dla niego chyba mogłam pozostać panną. Zdaje się, że nie miałby też większych wyrzutów sumienia, gdyby obaj moi bracia zostali zmuszeni do zachowania celibatu. Przypuściłam na niego atak o siódmej rano w sobotę, kiedy nikogo innego nie było jeszcze na nogach.

– Tato, wiem, że to na razie tylko rozmowa telefoniczna, ale czuję, że Samiul jest dla mnie stworzony.

– To ten, co mieszka za kołem podbiegunowym?

– Zawsze to bliżej niż Pakistan – zauważyłam.

– Racja. – Tata się zaśmiał. – Przekażę wujowi Mumtazowi, żeby Nebraska nie przyjeżdżał.

Już myślałam, że sprawa załatwiona, tymczasem nie powinnam była tracić czujności. Dla moich rodziców prawda to kwestia względna. Tata oznajmił wujowi Mumtazowi, że jego matka czuje się niedobrze i że musi do niej pojechać do Pakistanu. Mówiąc „czuje się niedobrze”, miał na myśli „nie żyje”, ale po co zaraz dzielić włos na czworo?

Niestety Nebraska zaopatrzył się w bezzwrotny bilet i nie mógł go oddać.

– Spotkaj się z nim – prosiła Mama. – Skąd możesz mieć pewność, że Saskatchewan wypali?

Stąd, że nie masz z nim nic wspólnego – chciałam odpowiedzieć, ale tak naprawdę odparłam:

– Czuję, że Bóg go dla mnie przeznaczył.

Zawsze powtarzam, że nie ma to jak odwołać się do Boga.

– A ja czuję, że Bóg przeznaczył ci Nebraskę. Spotkaj się z oboma i sama się przekonaj, czego naprawdę życzy sobie Bóg.

Ponieważ Mama nie chciała ustąpić, Muzammal wynegocjował dla mnie warunki spotkania. Miałam się widzieć z Nebraską przez jedyne pięć minut.

– Do tego pójde do domu wuja Mumtaza sama, bez ciebie – dodałam twardo.

O dziwo, Mama się zgodziła.



Dwa tygodnie później razem z Muzammalem wkroczyłam do nieskazitelnego domu wuja Mumtaza. Już przy drzwiach zauważyłam parę wypucowanych czarnych butów. Ich właściciel siedział na czarnej skórzanej kanapie, po której obu stronach stały identyczne stoliki z chińskimi wazonami. Nebraska okazał się szczupły, miał krótkie włosy z przedziałkiem po jednej stronie i miłą twarz – której unikałam wzrokiem, jak mogłam.

– Jak się masz? – zapytałam chińską wazę.

Zostały mi jeszcze cztery minuty i pięćdziesiąt dwie sekundy.

– Dobrze – odparł.

– To dobrze – powiedziałam do drugiej chińskiej wazy.

– Bardzo się cieszę z naszego spotkania – rzekł.

– No więc gdzie kupujesz maty modlitewne?

Cztery minuty i trzydzieści trzy sekundy.

– W dzisiejszych czasach wszystko i tak pochodzi z Chin – odparł.

– Mądry ruch. Chińskie są najlepsze.

NieZRęczne milczenie.

Zostały jeszcze cztery minuty i dziesięć sekund, ale ja postanowiłam skrócić sobie męki.

– Udanej podróży powrotnej! – rzuciłam.

Nebraska osłupiał.

– Co takiego? Już wychodzisz? Nie chcesz porozmawiać dłużej?

– Raczej nie – powiedziałam, opuszczając salon.

– Zjesz samosę? – zapytał skonfundowany wuj Mumtaz.

– Jasne – odparłam, porywając samosę i wkładając ją sobie do kieszeni. – Zabiorę na wynos. Żona wuja Mumtaza popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Ale herbata właśnie się...

Nie dowiedziałam się, co robi właśnie herbata, ponieważ wypadłam za drzwi.

Spotkanie trwało o trzy minuty i pięćdziesiąt sekund krócej, niż przewidywały ustalenia, lecz ja zapalałam uczuciem do kogoś innego i to spotkanie zakrawało na cudzołóstwo. Moi rodzice zaofiarowali się, że odwiozą Nebraskę na lotnisko (matka Taty cudownie ozdrowiała).

– Nie chodzi o pieniądze – Nebraska ponoć utyskiwał przez całą podróż – chodzi o mój czas!

Był w samym środku dysertacji i nie mógł sobie pozwolić na niepotrzebne przerwy. Mama wróciła do domu załamana.

– Wyjdz za kogokolwiek – powiedziała. – Wszystko nam jedno.



Poprosiłam rodziców, żeby wyszli z domu, kiedy Samiul miał przyjechać z pierwszą wizytą. Wyczerpani ostatnim publicznym upokorzeniem przystali na moją propozycję. Muzammal kupił szarlotkę w nadziei, że rozbudzi ona uczucia romantyczne, oraz dlatego, że od wyniku spotkania zależało jego małżeństwo z Suzanne. Zależało też od niego moje życie, zawieszona w czyścicu. Samiul nawet się nie domyślał, że jest osiłą naszej egzystencji.

Ktoś zadzwonił do drzwi i usłyszałam, jak Muzammal wprowadza Samiula do salonu. Serce mi zamarło. Brat znalazł mnie schowaną w kuchni.

– To dla ciebie żadna nowość – powiedział. – Jesteś starą wyjadaczką.

– Przeraza mnie myśl, że tym razem może się udać...

– I komu to mówisz – rzucił, wypychając mnie z kuchni.

Idąc do salonu, zobaczyłam na wycieraczce przy drzwiach wejściowych parę steranych, podniszczonych adidasów. Na mój widok Samiul odłożył gazetę, którą czytał. Miał okrągłą, pogodną twarz, przystrzyżoną krótko bródkę z rudymi nitkami, długie włosy opadające mu do ramion, sylwetkę gracza w rugby i wydatne usta. To one natychmiast przykuły moją uwagę. Ubrany w koszulkę z uśmiechniętą buźką i parę wytartych džinsów stanowił najbardziej egzotyczny obraz człowieka, jaki w życiu widziałam. Różnił się od innych śniadych kandydatów. Właściwie nie był nawet śniady. Ale nie zwracał uwagi na różnicę w odcieniu naszej cery. Podobnie jak większość kultur, zarówno Pakistańczycy, jak i Bengalczycy faworyzują jasną skórę u kobiet. Rzadko się zdarzało, aby mężczyzna akceptował ciemniejszy odcień cery u swojej żony.

– Nareszcie się spotykamy – powiedział basowo.

Oderwałam spojrzenie od jego ust, aby wbić je w jego oczy.

– Nareszcie – powtórzyłam, myśląc o dziesięciu tygodniach oczekiwania.

Pojawił się Muzammal z szarlotką na talerzu, po czym wychodząc, posłał mi filuterny uśmiech.

– Mój wujek pracuje w CBS – rzucił Samiul. – Naprawdę powiedziałaś producentowi, jak powinno się wymawiać słowo „muzułmanin”?

O Boże!

– Cóż, chciałam na nim zrobić dobre wrażenie, żeby dał mi pracę – zaczęłam się tłumaczyć.

– Mam nadzieję, że ta historia nie zatoczyła szerszych kręgów w świątku dziennikarskim.

Potem rozmawialiśmy o jego karierze, planach zawodowych i życiu na prerii.

Dość się nasłuchiwałam. Chciałam sfinalizować sprawę.

– A zatem co dalej? – zapytałam, jak mi się wydawało, taktownie.

– Powinniśmy się lepiej poznać, a na to trzeba czasu.

– Ile czasu? – Robiłam, co mogłam, żeby z mojego głosu nie przebijała desperacja.

– Następne wolne będę miał w grudniu – poinformował. – Wtedy znowu się spotkamy.

Zaczynałam pojmować matczyne punkty widzenia na aranżowane małżeństwa. Czyste piękno i szybkość. Całe to paplanie i lepsze poznawanie się było strasznie męczące.

W tym momencie do domu wrócili rodzice. Mama tylko rzuciła okiem na Samiula i zaciągnęła mnie do kuchni.

– Ma za długie włosy! – powiedziała zdenerwowana, zabierając się do parzenia herbaty, która by obniżyła poziom jej obaw.

Przywykła do gładko ogolonych i schludnie ostrzyżonych mężczyzn w trzyczęściowych garniturach, którzy stawali na głowie, aby jej się przypodobać. Jeszcze kilka lat temu Samiul nie dotarłby nawet do salonu. Ale miałam dwadzieścia pięć lat i tamci kandydaci byli już tylko pieśnią przeszłości. Na polu boju ostał się człowiek, który wyglądał jak bezdomny.

– Mam go wyprosić? – zapytałam, doskonale wiedząc, że w Mamie górę weźmie pragmatyzm. Samiul przynajmniej nie wyglądał na takiego, co będzie krzyczał przez całą drogę na lotnisko.

Chwilę później byłam z powrotem w salonie.



Rozmawialiśmy ze sobą dzień w dzień przez telefon do czasu jego wizyty w grudniu. Wtedy zaś udaliśmy się razem do CBS, gdzie pracowałam, abym mogła nagrać swój występ w programie radiowym. Później poszliśmy do Pizza Hut na lunch. Po raz pierwszy znaleźliśmy się sam na sam, bez Mamy i Taty wiszących nam nad głowami.

– Wiele mówiliśmy o twojej pracy, ale jak się zapatrujesz na założenie rodziny?

– Chciałabym mieć dzieci – powiedziałam.

– Ja też. Ile chcesz ich mieć?

– To zależy. A ty?

– Czwooro.

– Równa liczba – stwierdziłam. – Podoba mi się. Niech więc będzie czwooro.

Sprawy przybrały dobry obrót. Już słyszałam weselne dzwoneczki. W obecności Samiula czułam się swobodnie i dobrze.

– Jest coś jeszcze, co powinienem o tobie wiedzieć? – zapytał.

Zastanowiłam się.

– Mam lekki sen. Budzi mnie najcichszy dźwięk.

– A ja śpię bardzo głęboko – odparł. – I chrapię.

– Hmm... Łatwo się przeziębiam – dorzuciłam.

– A mnie jest wiecznie gorąco. Uwielbiam klimatyzację.

Popatrzyliśmy na siebie wzajemnie. Znienacka pojawił się problem. Zaczęłam szukać wspólnych mianowników.

– Piję mało wody – powiedziałam.

– A mnie jej nigdy dość.

– Chyba bardzo się różnimy – stwierdziłam.

– To najlepszy przepis na katastrofę – skwitował Samiul, wyjmując mi z ręki szklanę i dopijając moją wodę. Weselne dzwoneczki umilkły.

– Tak uważasz? – zapytałam przestraszona.

– Dziwna jesteś – rzekł. – I chuda.

– Tak mówią... – zgodziłam się ze smutkiem.

– W maju będę miał urlop. W okolicach Dnia Zwycięstwa.

– Znów będziemy rozmawiać? – zapytałam, czując znużenie na samą myśl.

Samiul podrapał zarost na brodzie.

– Nie – odparł.

To były oświadczenia jak nic.

Tylko że oświadczał się nie tej osobie co trzeba. Po powrocie do domu zapytał Tatę, czy może się ze mną ożenić.

– W naszej kulturze dzieci nie rozmawiają z rodzicami o małżeństwie – powiedział Tata.

– Kto w takim razie powinien z panem porozmawiać? – zainteresował się Samiul.

– Twój ojciec. Wiesz – dodał, pogrążając się we wspomnieniach – moi rodzice nawet mnie nie zapytali, czy chcę się żenić. – Pracował w Anglii jako inżynier i wysyłał do domu pieniądze, aż tu nagle zwabiono go z powrotem do Pakistanu. – Pognałem przekonany, że mój ojciec umiera, a na lotnisku powitała mnie muzyka.

– To był najszcześniejszy dzień jego życia – wtrąciła Mama. – Tylko nie zdawał sobie z tego sprawy.

Tata kontynuował:

– W dzisiejszych czasach młodzi mają łatwiej. Spotykacie się ze sobą przed ślubem. Czasami nawet poznajecie...

– Niespecjalnie – powiedział Samiul. – Czyli wszystko załatwione?

– Nie – odparł Tata.

– Słucham? – Mama się zdziwiła.

Tata popatrzył na mnie.

– Powinnaś ponownie złożyć papiery na medycynę. Wciąż mogłabyś się dostać.

Jak widać, niektóre marzenia nigdy nie umierają.

– To ja tu jestem lekarzem – odezwał się Samiul.

– W życiu nie widziałem takiego lekarza jak ty – rzekł Tata, który najwyraźniej nie poświęcił temu kandydatowi tyle uwagi, ile trzeba.

– Być może. Nie znam się na modzie, ale w maju kończę staż.

– Przynajmniej ma pracę – stwierdziła Mama, w dalszym ciągu lustrując jego fryzurę.

– I dwoje oczu – dodałam.

– Proszę? – zapytał Samiul.

– Nie, nic – powiedziałam.

Samiul wrócił na północ i poprosił swoich rodziców, żeby przylecieli do Toronto i spotkali się z moimi rodzicami. Spotkanie się udało. Pakistańczycy i Bengalczyki stoczyli wojnę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, lecz te gorzkie wspomnienia miały odejść w niepamięć dzięki naszemu związkowi. Ustalono datę ślubu: dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, siedem miesięcy od naszego pierwszego spotkania.



Pobraliśmy się w meczecie w Toronto. Ja włożyłam kremową suknię typu *lehenga*, zdobioną perłami i złotą nicią, a Samiul – czarny garnitur. Miałam mu kupić krawat, ale zapomniałam, więc jego wujek pożyczył mu czerwoną muchę, przez co Samiul wyglądał jak kelner.

Zgodnie z pakistańskim zwyczajem panna młoda powinna być smutna, ponieważ opuszcza dom rodzinny. Chociaż miałam płakać i zachowywać się jak na pogrzebie, nie byłam w stanie udawać. Wzorem zachodnich oblubienic promieniałam i uśmiechałam się do wszystkich, sprawiając, że zdaniem Mamy obrażałam naszą kulturę. Nieustannie mnie szczypała, żebym przestała się szczyrzyć, a ja odwzajemniałam się tym samym. Narobiłyśmy sobie mnóstwo siniaków. Pomiędzy uszczyplnięciami przyjrzałam się Mamie. Wydawała się zarazem zmęczona i szczęśliwa. To była długa podróż dla nas obu. Czasami miałam wrażenie, że rujnuje mi życie swoją obsesją na punkcie małżeństwa. Jednakże jej upór popłacił – wychodziłam za mąż za tego jedyne. Odwracając się do roześmianego Samiula, wiedziałam, że nie znalazłabym go bez Mamy.

Muzammal i Suzanne pobrali się cztery miesiące później.

Ściągnął swój do swego.

Jak wybrać imię dla muzułmańskiego dziecka

– Co sądzisz o imieniu Maysa? – zapytałam Mamę.

– Nie podoba mi się. Nazwij ją Munzal.

– Jak? Munzal? Co za okropne imię! – odparłam osłupiała. – Dlaczego Maysa ci się nie podoba?

– Nie jest dość muzulmańska.

Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży z pierwszym dzieckiem. Razem z Samiulem obeszliliśmy wszystkich rzeźników *halal* w okolicy w poszukiwaniu książeczek dla muzulmańskich dzieci. (W tamtych czasach można je było dostać tylko tam). Zaczęliśmy się zastanawiać nad idealnym imieniem z chwilą, gdy się dowiedziałam, że jestem przy nadziei. Nasz wybór padł na imię Maysa. Oznacza ono tyle, co „kobieta chodząca z dumą”. Nie wyobrażaliśmy sobie żadnego innego. W tamtej chwili nawet jeszcze nie wiedzieliśmy, że urodzi nam się dziewczynka. Gdyby urodził się chłopiec, cóż, też mógłby chodzić z dumą. Oświadczenie Mamy mnie załamało.

– A czy Zarqa jest w ogóle muzulmańska?

– Bardzo – odparła Mama. – Wielu muzulmanów nazywa tak swoje córki.

– Nie wydaje mi się... Nikt o żadnej nie słyszał, dopóki mnie tak nie nazwałaś.

Dorastając, nie cierpiałam swojego imienia. Było dziwne nawet jak na muzulmankę.

Jedyna inna Zarqa, na jaką się natknęłam, była moją rówieśniczką, kiedy miałam dziesięć lat. Miała smutną twarz i minę, jakby też nie mogła uwierzyć we własne nieszczęście. I to by było na tyle, nie licząc henny marki Zarqa, sprzedawanej u rzeźników *halal*. (Tak, znowu).

Mama nazwała mnie w ten sposób, ponieważ kiedy była ze mną w ciąży, przeczytała opowieść o kobiecie imieniem Zarqa al-Yamama, mitycznej Arabce, która podobno widziała na znaczną odległość. Ponieważ miała świetny wzrok, ostrzegała swoich współplemieńców przed zagrożeniami. Gdy wieść o jej zdolnościach rozeszła się po świecie, wrogowie plemienia schowali się za gałęziami drzew, ale kiedy Zarqa przestrzegła swój lud, że las się rusza, wszyscy ją wyśmiali. Wróg zwyciężył, na koniec zaś wyłupił jej oczy ówczesnym odpowiednikiem łyżki do lodów, żeby już nigdy nie wykorzystwała swoich umiejętności na polu bitwy. Była to dość okropna historia.

– Dlaczego Mamie spodobało się to imię? – zapytałam Tatę.

– Problem w tym, że twoja matka nosi takie zwyczajne imię. Parween... W każdej klasie, do której chodziła, było ich co najmniej cztery.

Mama postawiła na oryginalność, podobnie jak ja teraz.

– *Ummi*, Zarqa żyła w czasach przedmuzułmańskich, co oznacza, że nie była nawet muzulmanką. Jak możesz twierdzić, że to muzulmańskie imię?

– Zarqa nawet nie istniała – wtrącił Tata. – To tylko mit, do tego występujący w większości kultur.

– W Jordanii jest miasto, które tak się nazywa – odparowała Mama. – Czyli bardzo możliwe, że Zarqa istniała. To śliczne imię. Nawet nie wiesz, jaką jesteś szczęściarą, że kiedy dorastałaś, nie byłaś otoczona przez imienniczki.

Z jakiegoś powodu w dzieciństwie tak tego nie odbierałam.

– Moje imię nie przypominało imion koleżanek – poskarżyłam się – za to jak oglądałam telewizję, wечно natykałam się na stwora z kosmosu, który nazywał się jakoś podobnie, Zarkon albo Zirkonian.

– Nie mam wpływu na to, co robią biali ludzie – odparła Mama. – Potrafią wziąć doskonałe imię i zniszczyć je...

Nie tylko biali ludzie mieli kłopot z moim imieniem. Zarqa oznacza „niebieska”. Zarqa al-Yamama nazywała się tak, jak się nazywała, ponieważ miała niebieskie oczy. Dlatego dla Arabów „Zarqa” to synonim niebieskich oczu.

– Moja twarz stanowi rozczarowanie dla każdego Araba. To zupełnie jak z wprowadzającą w błąd reklamą... Przecież ja mam brązowe oczy.

– Nie miałam wtedy pojęcia, że to oznacza „niebieska” – powiedziała Mama. – Sądziłam, że raczej „dzielna”.

Pakistańczycy mają fatalny zwyczaj nadawania dzieciom arabskich imion, nie rozumiejąc ich znaczenia. Czasami wręcz otwierają Koran i na chybił trafił dźgają palcem stronę i wybierają dane słowo na imię dla swojego dziecka. Znałam osobiście Figę i Stół. Oboje byli uroczymi ludźmi, biorąc pod uwagę okoliczności.

Pewnego razu na obozie letnim spotkałam Ahmera. Ahmer oznacza po arabsku „czerwony”. Dzieci naigrawały się z nas, że się pobierzemy i będziemy mieli dziecko o imieniu Banafsaji, czyli „fioletowy”. Dowcipy opowiadane na muzulmańskich obozach letnich bywają bardzo wysublimowane.

Muzułmaninowi za imię może posłużyć każde słowo, byle nie miało złych konotacji, jak na przykład „śmieć”. W konsekwencji dostępna jest naprawdę szeroka paleta. Z jakiegoś powodu wśród Pakistańczyków furorę zaczęło robić imię Natasza, które oznacza „urodzona w dzień Bożego Narodzenia”. Byłam raz świadkiem wymiany zdań, w której na objaw dezaprobaty jakaś kobieta odparła, że tak naprawdę oznacza ono tyle co „dar od Boga”. Nie można jej było odmówić przytomności umysłu.

Przeniosłam spojrzenie na Tatę.

– Szkoda, że nie wybiłeś jej tego z głowy.

Moi rodzice mieszkali wtedy w Liverpoolu. W dniu, w którym się urodziłam, Tata jechał do pracy przy tunelu pod rzeką Mersey. Lało jak z cebra. Kiedy Tata zatrzymał się na czerwonym świetle, ciężarówka przemknęła przez skrzyżowanie, wpadła w poślizg i wyrznęła prosto

w niego.

Tata został ciężko ranny. Miał połamane kolana i żebra, a skóra i mięśnie z jego czoła uległy zerwaniu. Cudownym zrządzeniem losu czaszka pozostała w jednym kawałku. Za sprawą wyjątkowego, strasznego zbiegu okoliczności w tym samym momencie pół świata dalej, pod Fajsalabadem, rodzice Mamy zmierzali właśnie na wesele, gdy w ich auto wjechał samochód ciężarowy. Pan młody, który z nimi jechał, zginął na miejscu, podobnie jak mój dziadek. Moja babcia została śmiertelnie ranna i umarła kilka dni później.

Mama wydała mnie na świat pierwszego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku w liverpoolskim szpitalu, nie mając pojęcia, czy jej mąż wyliże się z ran, i nie wiedząc jeszcze, że jej rodzice też ulegli niebezpiecznemu wypadkowi w Pakistanie. Usłyszała prawdę o nich dopiero wtedy, gdy było już pewne, że Tata przeżyje. Niespodziewanie życie Mamy jako uprzywilejowanej młodej kobiety dobiegło końca, gdy za jednym zamachem została sierotą i niemalże wdową.

- Umierałem w szpitalu na drugim końcu miasta, kiedy twoja matka nadała ci imię.
- Nie dramatyzuj – powiedziała Mama. – Zawsze powtarzałeś, że mogę wybrać imię.

Co też uczyniła.

Moi bracia, Muzammal i Muddaththtir, nie mieli lepiej. Otrzymali imiona po dwóch rozdziałach Koranu. Wyłącznie muzułmanie potrafią wymówić oba imiona prawidłowo. Bardzo się starałam, żeby oszczędzić swojemu dziecku losu, którego doświadczyła cała nasza trójka. Chciałam, żeby imię było łatwe do wymówienia i żeby nosło pozytywne konotacje.

Leżałam w łóżku o szóstej nad ranem, przyglądając się swojemu monstualnemu brzuchowi i zastanawiając, czy przypadkiem nie zmarnowałam dziewięciu miesięcy, nie wymyślając imienia zapasowego, gdy nagle poczułam skurcze. Samiul natychmiast zawiózł mnie do szpitala. Już pierwsze skurcze następowały w odstępach pięciominutowych, a po godzinie szyjka macicy była całkowicie rozszerzona.

- Mogę prosić o znieczulenie zewnątrzoponowe? – błagałam.
- Za późno – odparł doktor McMaster.
- Nie! – wrzasnęłam. – Nie jest za późno!

Lekarz kazał mi przecz. Zaparłam się jeszcze raz i zupełnie jakbym wydalą kamień moczowy wielkości indyka, urodziłam dziecko. Nawet nie zdążyłam się przyjrzeć, co niemal rozdarło mi wnętrzności, ponieważ położna natychmiast porwała noworodka celem oględzin.

- Teraz jeszcze tylko łóżysko – powiedział rzeczowo doktor McMaster.
- Czy mogłabym najpierw dostać znieczulenie zewnątrzoponowe? – poprosiłam.

Samiul był zachwycony całym procesem.

– To było takie łatwe – stwierdził, wpatrując się z zachwytem w naszą nowo narodzoną córeczkę.

Na szczęście dla niego nie byłam w stanie dosięgnąć skalpeli, które znajdowały się za daleko od wąskiego stołu, na którym leżałam. Cała drżałam. Samiul wyszeptał naszej córce na ucho wezwanie do modlitwy, jak nakazuje tradycja. A ja sobie przypomniałam, że dziecko wciąż nie ma imienia.

- Co się stanie, jeśli nie nazwiemy jej od razu? – zapytałam Samiula. – Szpital nada jej imię?
- Wątpię. Na pewno mamy jeszcze czas.
- Myślisz, że to niewłaściwe nazwać muzułmańskie dziecko Krystian?

– To mogłoby być mylące dla niektórych ludzi – stwierdził Samiul, zakładając pieluszkę noworodkowi. – Podobnie jak nazwanie dziecka ateisty Mahomet.

Zapomniawszy na dobre o Maysie, nadal zastanawiałam się nad imieniem dla dziecka.

– Uważam, że powinniśmy unikać imion terrorystów – powiedziałam Samiulowi.

– Dobrze, dla bezpieczeństwa nie nazwiemy jej Osama ani Adolf – zgodził się ze mną.

– Potrzebne nam imię – rzekłam niespokojnie.

– Przecież mamy już imię – odparł.

Jednak obiekcje Mamy zrobiły swoje. Zatelefonowałam do dawnego nauczyciela z medresy, żeby zapytać, czy w imieniu Maysa jest coś, o czym powinnam wiedzieć. Na moją prośbę sprawdził listę imion z czasów proroka.

– Żyła wtedy Maysa, poetka – powiedział.

– O czym pisała? O miłości?

– O rolnictwie.

– Nikt nie wyłupił jej oczu? – dopytywałam.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Uznałam, że Mama dostała swoją szansę na nadawanie dzieciom imion, a teraz przyszła moja kolej.

– Nazwę ją Maysa.

– Będą ją przezywać Masajka – rzekła Mama w ostatniej próbie odwiedzenia mnie od tego pomysłu.

– To i tak lepsze od tego, jak mnie przezywano – stwierdziłam, postanawiając, że się nie ugnę.



Kiedy spacerowaliśmy z Maysą w wózku, wpadliśmy na sąsiadkę, która przeniosła się do Kanady z Chile.

– Jakie śliczne dziecko – powiedziała. – Mogę ją potrzymać?

Samiul podał jej małą.

– Ma piękne brązowe oczy – stwierdziła sąsiadka. – Jak się nazywa?

– Maysa – oznajmiłam z dumą.

– Och! – Kobieta zmarszczyła brwi. – Dziwne imię...

– Dlaczego? – Spanikowałam. – Chyba nie znaczy „niebieska” po hiszpańsku?

– Nie. Ale „mesa” to stół.

– A także „dar od Boga” – rzuciłam, nie zważając na spojrzenie Samiula.

Kobieta cmoknęła niemowlę, po czym oddała je ojcu.

– Oczywiście – zgodziła się potulnie.

Postanowiłam nic nie mówić Mamie.

Mekka

– Co byś powiedziała na Mekkę? – zapytał mój teść.

– Naprawdę nie powinnam. Karmię piersią. Chociaż może mała filizanka mi nie zaszkodzi...

– Pytam o Mekkę, nie mokkę – wyjaśnił cierpliwie. – Czy chciałabyś pojechać do Mekki?

Mekka i mokka nie mają ze sobą nic wspólnego, z tym wyjątkiem, że jedno jest wymogiem religijnym, a drugie smakołykiem, którym się delektuję, jakby zmuszało mnie do tego jakieś przykazanie. Poza tym te słowa są do siebie bardzo podobne.

Mekka, Mekka – rozlegało się echem w mojej głowie.

Każdy muzułmanin raz w życiu powinien odwiedzić Mekkę w Arabii Saudyjskiej, aby odprawić tam rytuały w najstarszym meczecie na świecie, okazując poddanie woli Boga. To jeden z pięciu filarów islamu: pojechać na pielgrzymkę, wierzyć w jedyne Boga, modlić się pięć razy dziennie, pościć w trakcie ramadanu, przekazywać dwa i pół procent oszczędności na działalność charytatywną. Pielgrzymkę można odbyć tylko podczas miesiąca Zu Al-Hidżdża, to jest ostatniego w islamskim kalendarzu.

Praktycznie wszyscy to robią. W przeszłości pielgrzymka była utrudniona w wypadku osób niepełnosprawnych, jednakże dzięki zakrojonej na szeroką skalę renowacji przeprowadzonej przez Saudyjczyków obecnie *hadżdż* może odbyć właściwie każdy. W dzisiejszych czasach muzułmanie zostawiają to sobie na starość i niedołęstwo, traktując jak ostatnią rzecz do zrobienia przed śmiercią.

Mgliście przypominałam sobie, że moi rodzice udali się na pielgrzymkę oddzielnie, kiedy byłam nastolatką. Tata pojechał pierwszy z krewnymi, podczas gdy Mama została, by opiekować się naszą trójką, po czym w kolejnym roku zamienili się rolami. Obecnie moim życiem rządziło dziecko, a najważniejszą sprawą do załatwienia była drzemka. Samiul i ja pobraliśmy się, urządziliśmy mieszkanie w Saskatchewan i dochowaliśmy się potomka w mniej niż rok. Ja właśnie zakończyłam kontrakt z CBS i nie byłam pewna, jak potoczy się moja kariera. Czułam, że trochę dryfuję. Nie miałam nic przeciwko małej odmianie. I wakacjom. Nieoczekiwanie *hadżdż* wydał mi się interesującą perspektywą.

Ale potem zaczęłam liczyć, ile będzie kosztować podróż z Ameryki Północnej na Bliski Wschód.

– Ja płacę za wszystkich – oznajmił mój teść, mając na myśli Sabreenę i Munira, rodzeństwo Samiula, oraz ich małżonków.

Natychmiast się zgodziłam.



– Zdajesz sobie sprawę, że to nie zwykły urlop, co? – zapytał Samiul, kiedy wrócił do domu i zastał mnie rozmarzoną nad gazetą.

Ściągnął mnie za nogi na ziemię. Rzeczywiście pochłonęły mnie wyobrażenia wakacji pełnych słońca i piasku. Zastanawiałam się, czy w Mekce mają (bezalkoholowe) drinki z malutkimi parasolkami.

W naszym mieszkaniu walały się plastikowe odbłaskowe zabawki i pluszaki. Na ścianach widniały plamy zaschniętego sosu pomidorowego. Źródło tych awantur przy stole wkroczyło właśnie chwiejnie do salonu, przyciskając do piersi swojego ulubionego pluszowego kotka, który mruczał, gdy nim potrząsnąć. Maysa miała dwanaście miesięcy i już mówiła. Podeszła do mnie, cisnęła kotkiem o ścianę, wywołując urwany w locie pomruk, i wycelowawszy palcem w moje piersi, wbiła w nie wzrok i powiedziała:

– Mniam.

Podniosłam gazetę, żeby zasłonić klatkę piersiową. Chociaż kochałam córkę z całych sił, chętnie bym zrobiła sobie przerwę w byciu świeżo upieczoną mamą.

Od urodzenia karmiłam ją piersią co dwie godziny, także w nocy. Sądziłam, że w końcu wyrośnie z tego, ale ona była nienasycona niczym heroinista. Moje sutki zamieniły się w dilerów, wydzielały upragniony narkotyk równo co dwie godziny, dając jej zapomnienie. Jeśli nie dostała tego, czego chciała, wrzeszczała i wyła niczym zranione zwierzę, dopóki się nie poddałam. Po roku takiej jazdy znalazłam się na skraju załamania nerwowego z braku snu. Samiul widział, że umieram.

– Skończ z nocnym karmieniem – radził mi. – Już półroczne dzieci są w stanie dotrwać do rana bez posiłku. Zastosujemy wobec niej metodę Ferbera.

Pomysł wydawał się dobry. Będziemy zaglądać do jej pokoju w coraz dłuższych odstępach czasu, pocieszając ją bez karmienia, aż wreszcie sama zaśnie. Jednakże Maysa, jak każdy narkoman godzin tej nazwy, nie przestawała ryczeć.

– Krzywdzicie mnie! – płakała, waląc w drzwi pokoju w środku nocy. – Niech mi ktoś pomoże!

Musieliśmy ją przenieść na materac na podłodze po tym, jak niemal wypadła z łóżeczka, sięgając do moich urojonych piersi.

– Trzeba było to zacząć, zanim nauczyła się mówić – zauważyłam. – Co powiedzą sąsiedzi?

– Będziemy musieli wyjaśnić pracownikom opieki społecznej, że odstawiamy dziecko od piersi – rzekł Samiul, spokojnie odsuwając mnie od drzwi pokoju dziecinnego.

Po paru dniach płacz ustał, a ja zaczęłam sobie przypominać, czym jest sen. Właśnie kiedy zasiadałam do stołu z George'em Clooneyem – „Tak, jestem wolna w ten weekend, ale być może wybiorę się na pielgrzymkę” – zaatakował mnie mały wściekły szop.

George Clooney spojrział na mnie wstrząśnięty, a ja wybudziłam się ze snu, mając na sobie siedzącą okraciem Maysę. Nauczyła się sięgać do klamki i otwierać drzwi.

– Czy skórka jest warta wyprawki? – zapytałam Samiula, gdy zakładał ochraniacz na klamkę w pokoju naszej córki.

– Trzeba było zacząć, kiedy miała pół roku – odparł. – Byłoby nam łatwiej.

– Myślisz, że okaleczymy ją na całe życie?

– Nawet nie będzie pamiętać.

– Czuję się okropnie – wyjęczałam.

– Chcesz się jeszcze kiedyś wyspać? – zapytał mnie Samiul. – Bo to może trwać całymi latami. A wtedy to ty zostaniesz okaleczona na całe życie.

– Sprawdź, czy ochraniacz jest dobrze założony.

Po dziesięciu dniach wrzasków Maysa w końcu się poddała. Mogłam znowu spać. Wygraliśmy batalię.

Nazajutrz zaczęłam ją odstawiać od piersi także za dnia.

Wręczyłam jej kubek z dzióbkiem pełen mleka, który odtrąciła z pogardą. Gapiła się na moje piersi jak sroka w gnat.

Zasady wychowawcze przegrywały w starciu z uzależnieniem. Musiałam przerwać jej wszelkie relacje z dilerem.

– Piersi mamusi jadą na wakacje – oznajmiłam.



Namówiłam Mamę, żeby wzięła Maysę pod swoje skrzydła, zapewniając, że mała przesypia całą noc i pije mleko z butelki.

– To nie ma nic wspólnego z twoją pracą, co? – zapytała Mama podejrzliwie.

– Nie. Jadę do Mekki.

Mama nie wierzyła własnym uszom.

– Ty? Naprawdę?

– Czemu tak trudno w to uwierzyć? – Poczułam się nieco dotknięta.

– *Hadźdź* to podróż duchowa. Trzeba być w odpowiednim stanie umysłu.

– Duchowość nie jest mi obca – odparłam, w myślach rozważając wybór między pantoflem z odkrytymi palcami a sandałem. Który typ obuwia lepiej się sprawdzi w piaszczystym terenie?

Samiul i ja spotkaliśmy się z moimi rodzicami na lotnisku w Toronto w drodze z Reginy. Kiedyśmy czekali, Maysa pchała pusty wózek bagażowy. Nie miałam pojęcia, jak się z nią pożegnać. Wiedziałam, że moje odejście ją zdenerwuje.

– Niech sobie pcha ten wózek – powiedział Tata, wabiąc małą w dół korytarza, gdzie mogła go ścigać.

Zadziałało. Lotniskowy wózek bagażowy zastąpił moje piersi. Przeszłam odprawę, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam drobną, szczęśliwą dziewczynkę, która nawet się nie domyślała, co się dzieje.

Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Mogłam mieć pewność, że rodzice dobrze się nią zaopiekują. Ale co pomyśli sobie Maysa, gdy w końcu znudzi jej się wózek bagażowy? Uzna, że ją porzuciłam? Samiul rozumiał moje rozterki.

– Nic jej nie będzie – rzekł. – Ostatni rok był dla ciebie trudny. Przyda ci się odmiana.

Ruszyłam korytarzem, czując, jak spływa na mnie ukojenie. Nareszcie przestałam być odpowiedzialna za wszystkie fizyczne i psychiczne potrzeby drugiej istoty i mogłam skupić się na sobie.

– To poważna sprawa – rzekł Samiul po starciu, gdy ja szukałam na ekraniku

najdoroższego filmu z oferty. Koniec ze śpiewającymi małpkami w kombinezonach.

- Wiem – odparłam podniecona.
- Na co liczysz?
- Że *Podejrzani* wyszli już na wideo – rzuciłam, nie przestając wciskać klawiszy.
- Nie pytałem o ofertę rozrywkową. – Samiul się zirytował.
- Eee... Na darmowe orzeszki?
- Mam na myśli pielgrzymkę.

Wiedziałam, że spodziewa się po mnie okazania duchowości, w której wyrażaniu nigdy nie byłam dobra.

– Mam nadzieję, że stanę się lepszą muzulmanką. Nawiążę kontakt z Bogiem i tego typu rzeczy.

Choć brzmiało to trochę jak hasło rzucone dla spacyfikowania nauczyciela religii w medresie, odniosło pożądany skutek. Wciąż jednak liczyłam na te orzeszki. I na urlop od bycia matką. Ale trzecie miejsce nie jest takie złe, prawda?

- A ty? – Zrewanżowałam się pytaniem.
- Na darmowy sok pomarańczowy.
- Bardzo zabawne – rzekłam. – A tak serio, na co liczysz?
- Nie jestem pewien. Chyba miło będzie pobyć znów parą.

A niech to! Czemu tego nie powiedziałam?

- To będzie nasz oficjalny miesiąc miodowy – oświadczyłam, ujmując Samiula za rękę.
- Przeczytałaś broszurę pielgrzymkową? – zapytał, oswobodzając się z uścisku i wciskając mi w dłoń książeczkę. Co za brak romantyzmu!

Zerknęłam na treść. Wiedziałam już co nieco o Mekce.

W pielgrzymce chodzi o odwiedzenie Kaaby, lecz broszura opisywała też milion innych miejsc i modlitw. Od nastoletnich czasów mój entuzjazm dla religii znacznie osłabł. Pragnęłam wiary czystej i nie tak sformalizowanej.

Nadeszła stewardesa z menu obiadowym.

- Jakże to skomplikowane – powiedziałam. – Tyle tu rzeczy...
- Nie martw się, pielgrzymka stanie się prostsza, gdy już wylądujemy i na własne oczy wszystko zobaczymy – zapewnił mnie Samiul. Nagle spostrzegł, że gapię się na menu. – Ty mówisz o obiedzie, tak?
- Nie, czytam broszurę. – Niechętnie przeniosłam znów spojrzenie na książeczkę z instrukcjami.

– Ten poradnik jest istotny, ponieważ w Mekce może przytłoczyć sama liczba ludzi. Ważne, aby dla celów bezpieczeństwa wiedzieć, co się wokół dzieje. Wiem, co mówię, bo byłam na pielgrzymce jako nastolatek.

Wyobraziłam go sobie w pelerynie i obcisłych rajstopach z wielkim „S” na piersi, od „superpielgrzym”. Stłumiłam śmiech.

- Tak, te informacje są naprawdę ciekawe – powiedziałam.
- Co na przykład?
- Ponoć w Mekce są fantastyczne sklepy.



Wylądowaliśmy na lotnisku w Dżuddzie z setkami innych wykończonych, lecz podekscytowanych pasażerów. Wszyscy musieliśmy się przebrać w strój *ihram*, w którym pozostaniemy do końca pielgrzymki. Samiul wraz z resztą mężczyzn włożył dwa kawałki pozbawionego szwów białego materiału wielkości ręczników kąpielowych, które stanowią męski mundurek na czas *hadżdżu*. Jednym kawałkiem owinął sobie biodra, a drugi narzucił na ramiona. Identyczne odzienie niweluje ślady zamożności i pozycji – królowie i żebracy wyglądają tak samo. Na ogół pielgrzymi przypominają uczestników balu przebierańców wystrojonych w togi, z tym że zabawa nie jest tak przednia. Kobiety ubierają się w uszyte, lecz proste stroje, nie wyłączając bardzo skromnej bielizny. Noszenie nikabu w czasie pielgrzymki jest zabronione. Ja zdecydowałam się na szary bawełniany salwar kamiz i białą bawełnianą chustkę na głowę.

Chociaż był dopiero maj, panowały nieznosne upały. Wokół kręcili się rozmodleni pielgrzymi ze sznurami modlitewnymi w rękach. Samo dotarcie tutaj wydawało się ogromnym osiągnięciem. Zauważyłam, że każdy ma broszurę we własnym języku, wyjaśniającą rytuały *hadżdżu*. Przypominało to trochę przygotowania do egzaminu. Pracownicy lotniska sprawnie zaganiali kolejne partie pasażerów do hal kontroli paszportowej i cła. Nie mogli sobie pozwolić na przestoje, ponieważ z całego świata nieustannie nadlatywały nowe samoloty. Mekka przyciąga największą liczbę pielgrzymów na całym świecie. Miasto, w którym normalnie mieszkają dwa miliony osób, w czasie *hadżdżu* puchnie o kolejne dwa do trzech razy tyle.

Po kontroli paszportowej otrzymaliśmy plastikowe bransoletki podobne do tych, jakie dostaje się w wesołym miasteczku na znak, że uiściło się opłatę. Widniał na nich arabski napis.

– Co to takiego? – zapytałam Samiula.

Odpowiedział, że kiedy przyjechał z pielgrzymką w latach siedemdziesiątych, nie było żadnych bransoletek. Potem zajrzał do broszury i wyjaśnił, że odkąd co roku do Mekki ściąga większa liczba osób mówiących w różnych językach, Saudyjczycy każdego oznaczają. Ktoś, kto odłączy się od grupy i zgubi, będzie mógł skorzystać z biura ludzi znalezionych na podstawie kraju pochodzenia.

Saudyjczycy stali przed prawdziwym logistycznym wyzwaniem, chcąc utrzymać pielgrzymów w ryzach i przy życiu, nakarmionych i nawodnionych. Rokrocznie wśród wiernych zdarzają się ofiary śmiertelne; ludzie giną od wypadków, ze starości i z powodu chorób. Jest nawet specjalna kostnica z setkami chłodni i cmentarz Jannat al Baqi niedaleko. Każdy, kto umrze w Mekce, zostaje pochowany w Mekce. Muzułmanie poczytują sobie za honor pochówek na tym samym cmentarzu, na którym spoczęli towarzysze i krewni proroka. Tajemnicą poliszynela był fakt, że niektóre osoby czekają z pielgrzymką do podeszłego wieku w nadziei, że trafią na tutejszy cmentarz. Ludzie ci z pewnością są bardzo rozczarowani, gdy jednak wracają do domu żywi.

Kontrola bezpieczeństwa także przebiegła sprawnie. Mężczyźni o poważnych minach przejrzel nasze bagaże. Gdy konfiskowali mi egzemplarz „Vanity Fair”, popatrzyłam na Samiula z wyrzutem.

– Mówiłem, żebyś przeczytała broszurę – odparł, nie okazując cienia współczucia. – Napisano w niej, że w Arabii Saudyjskiej panuje cenzura.

Nie miałam czasu się dąsać, ponieważ zaraz zapakowano nas do autokarów i wyprawiono

w godzinną podróż do Mekki. Jechaliśmy czteropasmową autostradą przez pustynię upstrzoną tylko niewysokimi wzgórzami i krzakami. Pasażerowie zaintonowali *talbiję*, oficjalną modlitwę pielgrzymkową: „Labajka allahumma, labajka”, co znaczy: „Oto przybyliśmy, o Boże, oto przybyliśmy. Oto naprawdę przybyliśmy, Ty nie masz partnerów, oto przybyliśmy. Modlitwy i błogosławieństwa są Twoje, Twoje też Królestwo”. Było to hipnotyzujące przeżycie, gdy tak wszyscy powtarzali słowa melodyjnej modlitwy, kołysząc się w autokarze. W powietrzu aż było czuć narastające oczekiwanie.

Kiedy dotarliśmy do klimatyzowanego pięciogwiazdkowego hotelu w Mekce, położyłam się na elegancko zaścielanym łóżku i rozkoszowałam się miękką pościelą. Podobało mi się na tej pielgrzymce.

– Powinniśmy tu przyjeżdżać co roku – powiedziałam Samiulowi, robiąc orła w białej pościeli.

Położył się obok mnie.

– Mmm, jak miło... – mruknęłam, przytulając się do niego. – Nie trzeba się przejmować tą małą przeszkadzalską istotką.

– Nie trzeba – potaknął. – Ale powiedz mi jedno.

– Tak?

– Przeczytałaś broszurę?

– Oczywiście – skłamałam, przesuwając się jeszcze bliżej.

– Wiesz zatem, że podczas pielgrzymki seks jest zabroniony.

– Co?! – Nieomal się zakrztusiłam. – Dlaczego Bóg to robi?

– Być może dlatego, że inaczej niektórzy niczym innym by się nie zajmowali.

– Serio? Zero seksu przez cały ten czas?

– No, może otworzy się okienko między *umrą* i *hadżdżem* – powiedział ze śmiechem. – Ale trzeba by to sprawdzić w broszurze.

Tym razem sięgnęłam po instrukcję z większym przejęciem. Pielgrzymka do Mekki składa się z dwu części. Wstępem do niej jest *umra*, mniejsza pielgrzymka, obejmująca dwa rytuały: *tawaf*, czyli siedmiokrotne okrążenie Kaaby w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, oraz *sa’i*, czyli przejście między wzgórzami Safa i Marwa. Następnie pielgrzymi zrzucają strój *ihram* i robią sobie przerwę, oddając się czynnościom wcześniej zakazanym, takim jak seks – trwa to do ósmego dnia Zu Al-Hidżdża, kiedy rozpoczyna się większa pielgrzymka, czyli *hadżdż*. Wszyscy pielgrzymi, obecnie znów odziani w stroje *ihram*, udają się do miasteczka namiotów w dolinie Mina i odwiedzają górę Arafat oraz wzgórze Al-Muzdalifa, gdzie między innymi odprawiają obrzęd *rami*, czyli symboliczne ukamienowanie szatana. Potem, z powrotem w Mekce, mężczyźni golą głowy, a kobiety skracają włosy o około centymetr. Zostaje też złożone zwierzę ofiarne dla uczczenia święta Id al-Adha, które upamiętnia dzień, w którym Abraham poświęcił barana zamiast syna.

W końcu ma miejsce kolejny *tawaf* i *sa’i*, po których wszyscy zrzucają stroje *ihram*, co wyznacza kres pielgrzymki. Równocześnie zostają uchylone wcześniejsze zakazy, w tym te dotyczące seksu. Nie miałam na co liczyć przez najbliższe cztery czy pięć dni, ale przynajmniej nie czekała mnie w najbliższym czasie nuda.

Do drzwi zapukała Sabreena, siostra Samiula.

– Przeszkadzam?

- Niestety nie – odparłam.
- Pójdziemy razem do Kaaby? – zapytała.
- Pewnie. – Sięgnęłam po najlepsze sandały, jakie ze sobą zabrałam.
- Powinienem pójść z wami – odezwał się Samiul. – Tam bywa naprawdę tłoczno.

Przeczytałaś uważnie rozdział o...

- Poradzimy sobie – rzuciłam, ujmując Sabreenę pod ramię.

Męczyło mnie teoretyzowanie na temat pielgrzymki. Chciałam rzucić się w wir wydarzeń.

Wyszliśmy z hotelu, skręciłyśmy za róg i wtem naszym oczom ukazała się Kaaba, sześcienna bryła pośrodku meczetu. Wstrzymałam oddech. Od dziecka, odkąd zrozumiałam, że jestem muzułmanką, oglądałam ją na zdjęciach, jednakże czymś zupełnie innym było zobaczyć Kaabę na żywo. Zdumiało mnie, jak bardzo się wzruszyłam. Kluczową zasadą islamu jest wierzyć w niewidzialnego, bezcielesnego Boga. Modląc się, muzułmanie przez całe swoje życie zwracają się ku Kaabie. „Kaaba” dosłownie oznacza po arabsku „kostka”. I oto ukazała się moim oczom: prosta konstrukcja przyobleczona w czarny jedwab z wyhaftowanymi złotą nicią wersetami Koranu u góry. Na widok tej budowli ścisnęło mnie w gardle i poczułam niesłychany związek z przeszłością. Muzułmanie wierzą, że pierwotną Kaabę wzniósł Abraham ze swoim synem Izmaelem, aby mieć gdzie oddawać cześć Bogu. Musiałam sobie przypominać, że na przestrzeni wieków Kaaba była po wielokroć przebudowywana i że to, co mam przed oczyma, nie pochodzi z czasów starożytnych.

Stałam tam, wpatrując się w symbol mojej wiary, aż rozległ się w mojej głowie werset z Koranu – „Oni przyjdą do Ciebie pieszo lub na wszelkiego rodzaju wysmukłych wierzchowcach; oni przybędą z każdego głębokiego jaru”¹ – który skojarzył mi się z cytatem z *Pola marzeń*: jeśli to zbudujesz, przyjdą. I przyszli. Wokół Kaaby krążyło mrowie ludzi. Gdy podeszłyśmy z Sabreeną bliżej, ogłuszył nas jednostajny szum. Z oddali ruch wydawał się uporządkowany i spokojny, lecz z bliska dostrzegłyśmy, że wierni się przepychają. Cierpliwość to jeden z warunków *hadżdzu*, jednakże dało się zobaczyć, że pielgrzymi ulegają emocjom. Najbardziej nerwowo było w bezpośredniej bliskości Kaaby, gdzie wszyscy chcieli jej dotknąć. Prawdziwym celem *hadżdzu* jest hadżar, Mona Lisa islamu, czarny kamień oprawiony w owalną srebrną konstrukcję, używany do odliczania okrążeń. Chociaż dotknięcie hadżaru nie jest częścią pielgrzymki, wszyscy bardzo się ekscytują, próbują się zatrzymać i ucałować kamień, ponieważ zrobił to prorok.

- To miejsce zakrawa na święte – rzekłam, obserwując ciżbę tłoczącą się wokół Kaaby.

Gdy w końcu zdołałam oderwać wzrok od Kaaby i rozejrzałam się dookoła, ujrzałam McDonalda, KFC i sklep z rolexami. Saudyjczycy w dziwny sposób okazują szacunek przeszłości. Starożytne zabytki, takie jak meczety, grobowce i siedziby założycieli islamu, zostały w Arabii Saudyjskiej zastąpione przez luksusowe hotele i sklepy. Oficjalne wytłumaczenie jest takie, że muzułmanie zaczęli czcić same miejsca zamiast Boga, trzeba więc je było zburzyć. W muzułmańskim świecie podniósł się krzyk, kiedy pod rządami Saudyjczyków w zapomnienie odeszło wspólne dziedzictwo. W Arabii Saudyjskiej obowiązuje wahabizm czy też salafizm, niezwykle surowy ruch religijny, który nakazuje wyplenić wszystko, co niemuzułmańskie.

- Czuję się tak, jakbyśmy pojechały do Las Vegas i jakby nagle zaczęła się pielgrzymka – powiedziała do Sabreeny, trochę zniesmaczona otaczającymi nas wspaniałymi budynkami.

Ziemia wokół Kaaby jest pokryta marmurem, żeby nie zniknęła pod naporem tysięcy par

stóp. Zostawiłyśmy sandały przy wejściu do meczetu i dołączyłyśmy do tłumu ludzi okrążających Kaabę. Poczułam się tak, jakby wciągnął mnie ludzki wir, co było na swój sposób piękne. Przebywałyśmy w otoczeniu tysięcy osób podzielających naszą wiarę i poruszających się zgodnie w akcie pielgrzymki. Starcy leżący na noszach byli wnoszeni przez krępych noszowych. Małe dzieci podskakiwały w tłumie na ramionach ojców. Robiłyśmy to, co przez tysiące lat robili nasi przodkowie. Sabreena i ja dałyśmy się ponieść chwili i w pewnym momencie zostałyśmy porwane przez tłum, który rzucił nas w pobliże Kaaby, gdzie było najgęściej. Splotłam z Sabreeną ręce, żeby nikt nas nie rozdzielił. Im bliżej byłyśmy hadżaru, tym częściej ludzie przystawali, żeby się pomodlić, podczas gdy tłum z tyłu napierał. Tak mnie ściśnięto, że oddychałam z najwyższym trudem. Czułam, jak wyginają mi się żebra, ale dalej stałam prosto, bo ze wszystkich stron otaczali mnie ludzie. Ogarnęła mnie panika i strach. Straciłam Sabreenę z oczu. Nie sposób było uciec przed tłumem. Kiedy już myślałam, że zemdleję, napór ciał ustąpił i Sabreena nagle znalazła się znów obok mnie.

– To było straszne – powiedziałam, oddychając głęboko. Cieszyłam się, że już po wszystkim. Wtem ktoś złapał mnie za pierś i ścisnął. – Sabreeno! – wrzasnęłam. – Ktoś mnie obmacuje!

Raczej czułam, niż widziałam, postać koło siebie. Wkrótce napastnik zniknął w tłumie. Choć się rozglądałyśmy, nie sposób było wypatrzeć winowajcy. Tak szybko, jak się dało, zaczęłyśmy przedzierać się przez tłum. Byłam tak wstrząśnięta, że brakowało mi słów. Cała świętość uleciała jak powietrze z przekłutego balonika. W życiu bym nie pomyślała, że coś takiego jest możliwe na pielgrzymce. Uczucie bliskości z wszystkimi tymi otaczającymi mnie muzułmanami, dzięki którym robiło mi się ciepło na sercu, przepadło w okamgnieniu. Tuż przy najświętszym symbolu islamu czaili się zbrojeńcy, którzy liczyli na macanko. Czułam się zbrukana i byłam wściekła na człowieka, który mi to zrobił. Pragnęłam, aby spotkała go kara. Nie mogło być jednak mowy o znalezieniu go w tym zalewie ludzkich ciał.

– Co się właśnie stało? – zapytałam.

– Chyba byłaś napastowana seksualnie pod Kaabą – odparła Sabreena.

– Coś nie tak? – zainteresował się Samiul, ledwie przekroczyłam próg naszego pokoju hotelowego.

Trzymał mnie w objęciach, kiedy mu opowiadałam, do czego doszło w meczecie. Jeszcze niedawno tak bardzo chciałam się wyrwać, uciec od Maysy, jednak teraz nagle zapragnęłam być w domu z moją córeczką. Nie wątpiłam, że Maysa byłaby oburzona nie mniej niż ja, zważywszy na jej przywiązanie do moich piersi.

– Nigdy więcej nie idź tam sama – poprosił stanowczo Samiul.

– Takie rzeczy nie powinny mieć tutaj miejsca – powiedziałam. – Ten meczet powinien być najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

– Muzułmanie to tylko ludzie, a ludzie popełniają występki.

– A co z pielgrzymką jako duchowym oświeceniem? W broszurze napisano, że wszyscy powinni się koncentrować na relacji z Bogiem. Nie wolno plotkować, nie wolno przeklinać, nie wolno zachowywać się niegrzecznie wobec innych. – Pomachałam książeczką. – Nie ma tu nic o macaniu, ale to chyba rozumie się samo przez się!

– Słuchaj, nie każdy tu przyjechał na pielgrzymkę. Jak wszędzie są tutaj też tacy, co chcą odnieść jakąś korzyść.

Nie potrafiłam uwierzyć we własną naiwność. Położyłam się na łóżku, żeby się uspokoić.

– Do tego ktoś mi ukradł sandały.

– W broszurze radzą, żeby zakładać tanie buty, ponieważ w przeciwnym razie ktoś może się na nie połakomić – zauważył Samiul.

– Może pozwolisz mi się trochę nad sobą poużalać? – zapytałam, rozłoszczona przez jego racjonalizm.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

W końcu Samiul przerwał ciszę.

– Co mógłbym zrobić, żeby pielgrzymka była dla ciebie udana?

– Po prostu chcę się wściekać na tamtego mężczyznę. I nie chcę być osądzana.

– W porządku. Ale w pozostałe miejsca pójdziemy razem – dodał, poprawiając na sobie *ihram*.

– Nie masz majtek, co?

– Nie – przyznał Samiul, robiąc żalostną minę. Bielizna, jako odzież mająca szwy, była w wypadku mężczyzn zabroniona.

– Módl się, żeby w tłumie nie było żadnych zboczonych kobiet – rzekłam.

Gdy szliśmy do Kaaby, z głośników w całym mieście rozległo się nawoływanie do wieczornej modlitwy. Zawsze bardzo lubiłam *azan* za jego melodyjność i powagę. Przyjemnie było usłyszeć te same słowa, które słyszałam w domu. Rozbrzmiewający echem, blaszany głos koił mnie. Wszyscy zatrzymali się i zaczęli szykować do modłów. Tłum pod Kaabą zamarł w modlitwie, tak samo jak ludzie na ulicach i chodnikach wszędzie wkoło. Kobiety i mężczyźni stali ramię przy ramieniu. To była dla mnie nowość. Muzułmanie mają bzika na punkcie oddzielania mężczyzn od kobiet, które w meczetach pełnią drugorzędną rolę, jednak tutaj, w Mekce, obie płcie mają przykazane modlić się obok siebie. Ponieważ Mahomet nie pozostawił wskazówek, aby to zmienić, wszystko zostało po staremu. Widziałam, że mężczyźni nie są zadowoleni z mojej obecności, lecz nic nie mogli na to poradzić.

– Chciałabym, aby tak było zawsze – powiedziałam do Samiula.

Mój mąż dobrze się orientował, jakie mam zapatrywania na temat rozdziału kobiet i mężczyzn w czasie modlitwy. W większości meczetów, które odwiedziłam, kobiety muszą się modlić za swego rodzaju przepierzeniami. Modlitwa w tym morzu kobiet i mężczyzn, jak to miało miejsce przez ostatnie czternaście wieków, dawała nadzieję, że zmiana jest jednak możliwa we wszystkich meczetach na świecie.

Po zakończonej modlitwie Samiul i ja udaliśmy się do Kaaby, ale trzymaliśmy się w zewnętrznym kręgu wiernych, gdzie jest więcej miejsca. Zauważyliśmy, że mężczyźni otaczają kręgiem kobiety, aby zapewnić im bezpieczeństwo. Szkoda, że nie byłam taka spostrzegawcza wcześniej i że przesadziłam z idealizmem. Tym razem udało mi się dopełnić siódmego okrążenia wokół Kaaby bez niespodzianek. Następnie zmówiliśmy modlitwę w odizolowanym rogu meczetu, aby uniknąć stratowania.

Nazajutrz dołączyliśmy do krewnych Samiula, aby wspólnie wziąć udział w *sa'i*. Muzułmanie wierzą, że Bóg kazał Abrahamowi zabrać żonę Hadżar i syna Izmaela do opuszczonej doliny na pustyni. Tam Abraham wręczył kobiecie trochę wody i daktyli, po czym zaczął się żegnać. Hadżar zapytała go, czy Bóg kazał mu tak postąpić, na co Abraham odpowiedział twierdząco. Kobieta odparła: „Nie zginiemy, albowiem Bóg, który ci rozkazuje, jest z nami”. Następnie czekała pod palącym słońcem, ale kiedy skończyła jej się woda

i żywność, zaczęła się denerwować i biegać pomiędzy dwoma wzgórzami, Safa i Marwa, w poszukiwaniu pomocy. Kiedy obróciła siódmy raz, Izmael uderzył stopą w piasek, z którego trysnęła woda. Nadjechała karawana podróżników, którzy spytali, czy mogą się napić wody. Z czasem w okolicy osiedlili się ludzie, a miejsce to nazwano Mekką. Wybudowano tam Zamzam, najstarszą studnię na świecie.

Współczesny rytuał nie przypomina desperackiego biegania po wzgórzach. Pielgrzymi spacerują po czymś w rodzaju centrum konferencyjnego z marmurowymi ścianami i posadzkami oraz wymyślnymi sufitami z żyrandolami i wiatrakami. Są tam nawet fontanny z bieżącą wodą, w których można ugasić pragnienie. Hadżar by się to spodobało.

Wewnątrz znajdują się trzy chodniki oddzielone od siebie kolumnami. Prawy chodnik przeznaczony jest dla osób, które przemieszczają się od Safy do Marwy, gdzie odległość wynosi czterysta pięćdziesiąt metrów. Lewym chodnikiem ludzie idą w przeciwnym kierunku. Chodnik środkowy służy tym, którzy pchają wózki inwalidzkie. Wkraczając do tunelu, zauważyliśmy jedyny ukłon w stronę tego, czym ta podróż była kiedyś, mianowicie kawał gołej skały u krańca wszystkich chodników, symbolizujący pierwotne wzgórza, z których niewiele już zostało. Na skale siedziało parę osób, recytując modlitwy.

– Wywożenie wody ze studni Zamzam jest zabronione – powiedział mi Samiul, kiedyśmy gasili pragnienie.

Trzymając w ręku papierowy kubeczek, czułam się niczym najpowolniejszy, najświętszy maratończyk.

– Dlaczego? – zapytałam. Mój mąż uwielbia się popisywać wiedzą na takie tematy, postanowiłam więc dać mu szansę.

– Z powodu jej religijnego znaczenia niektórzy chcieliby ją butelkować i sprzedawać. Ale rząd Arabii Saudyjskiej zakazał eksportu i rozdaje wodę pielgrzymom za darmo. Mimo to są tacy, co butelkują zwykłą kranówkę i próbują ją wcisnąć innym jako wodę ze studni Zamzam.

– Ludzie potrafią być straszni. – Przysiadłam na jednym z kamieni, aby dać odpocząć nogom.

– Jak się czujesz? – zapytał Samiul.

– Lepiej – odparłam, popijając wodę. Tu nie było tak tłoczno jak pod Kaabą. Saudyjczycy postarali się, żeby w tunelu znalazło się wystarczająco dużo miejsca. W moich oczach ta podróż symbolizowała wiarę kobiety w obliczu straszliwych okoliczności. Hadżar musiała być przerażona i niewątpliwie niepokoiła się o dziecko, a jednak nie straciła nadziei. Obecnie, kilka tysięcy lat po tamtych wydarzeniach, wciąż wspominaliśmy jej upór. Saudyjczycy nie pozwalają kobietom na samodzielne podróże bez zgody mężczyzny, a mimo to miliony muzułmanek idą w ślady Hadżar, którą pozostawiono samej sobie na pustyni. Mogła zostać zaatakowana, a jednak była bezpieczniejsza nawet ode mnie, żyjącej w dzisiejszych czasach.

– Marna by ze mnie była Hadżar – powiedziałałam mężowi. – Ruszyłabym za Abrahamem, byle tylko mieć zapewnione bezpieczeństwo.

– Jestem pewien, że Bóg stworzyłby na pustyni fatamorganę, aby podtrzymać twoje nadzieje – rzekł Samiul z uśmiechem.

– Fatamorganę czego?

– Kawiarni.



Później postanowiliśmy zwiedzić liczne bazy, od których roi się w Mekce.

– To istna mekka zakupowiczów – rzuciłam.

Samiul tylko mi się przyjrzał.

– Wybacz, to było niesmaczne.

Dostrzeżliśmy grupkę osób, które krążyły wokół windy, pokazując coś sobie palcami. Serce mi zamarło. Pomyślałam, że zdarzył się wypadek. Kiedy jednak podeszliśmy bliżej, okazało się, że główną atrakcją jest sama winda. Pędząc swoje uprzywilejowane życie, nawet przez moment nie podejrzewałam, że do Mekki przyjeżdżają ludzie, którzy mieszkają w tak odległych od cywilizacji rejonach, że nigdy nie widzieli trzykondygnacyjnej galerii handlowej ani windy. Co dziwne, winda wzbudziła we mnie nie mniejszy podziw niż Kaaba. Gdyby muzułmanie nie mieli obowiązku odbyć pielgrzymki, ci ludzie nie mieliby szansy podróżować. Samiul i ja przypatrywaliśmy się przez chwilę, jak pielgrzymi namawiają się wzajemnie, aby wejść do ruchomej kabiny.

Wszyscy, biedni i bogaci, chcieli zrobić interes życia. Właśnie oglądałam telefon zabawkę dla Maysy na prowizorycznym stoisku, gdy podszedł do mnie młody handlarz z Bangladeszu.

– Mówi pani po angielsku?

– Tak, a co?

– Dostałem list od narzeczonej, ale niezbyt dobrze znam angielski. Mogłaby mi to pani przetłumaczyć?

Spojrzałam na list. „Przyślij mi inne filmy wideo. Te, które od ciebie otrzymałam, nie podobają mi się...”.

– Nie jestem pewna, czy to kobieta dla ciebie – powiedziałam do handlarza.

Samiul szepnął mi na ucho:

– Jego życie uczuciowe to nie twoja sprawa.

– Jak może się nie podobać *Pulp Fiction* i *Skazani na Shawshank*? – odszepnęłam. – Ta kobieta ma okropny gust.

– Tobie nie podobał się drugi epizod *Gwiezdných wojen* – syknął Samiul. – A mimo to ożeniłem się z tobą.

– Dostała filmy, które jej wysłałem? – zapytał niespokojnie handlarz.

– Tak. I teraz chce te... – Wskazałam mu listę. – Wyślij jej *Psięgo detektywa*. Biorąc pod uwagę jej gust, powinna być zachwycona.

Handlarz podziękował wylewnie, po czym wepchnął nam w ręce dwie zrolowane plastikowe maty.

– Co to takiego? – zapytałam Samiula.

– Chyba maty pielgrzymkowe. Użyjemy ich w dolinie Mina – dodał. – A teraz poszukajmy wygodnych, ale brzydkich sandałów dla ciebie. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Kiedy już znaleźliśmy buty dla mnie, marudziłam dopóty, dopóki Samiul nie zgodził się kupić mi kebaba. Teść przestrzegał nas kategorycznie przed jedzeniem żywności zakupionej u ulicznych handlarzy, jednakże czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Właśnie przeżuwałam radośnie, gdy natknęliśmy się na rodziców Samiula, którzy wybierali pamiątkowe maty

modlitewne. Szybko ukryłam papieraek po kebabie. Bóg mnie nie oszczędzał. Wymieniliśmy się historyjkami na temat naszych przeżyć, po czym umówiliśmy się na następny dzień rano.

– Tylko koniecznie zabierzcie niedużo rzeczy – powiedział teść. – Czekają nas długa droga.



Nazajutrz wsiedliśmy do autokaru, który miał nas zawieźć do miasteczka namiotowego w Minie, słynącej z tego, że to tam Bóg kazał Abrahamowi poświęcić swojego syna. Następnie pojawił się diabeł i próbował odwieść Abrahama od spełnienia obowiązku. Droga była zatkana tysiącami autokarów, które poruszały się w ślimaczym tempie, tonąc w oparach smogu i spalin. Dolina Mina leży zaledwie pięć kilometrów na wschód od Mekki, lecz z powodu tragicznych warunków podróży zabrała nam trzy godziny. Był to prawdziwy test cierpliwości, zupełnie jakby diabeł i korki uliczne miały ze sobą coś wspólnego. Jednakże nawet sam szatan nie był w stanie utrzymać hord muzułmanów z dala od Miny.

Aby pomieścić miliony pielgrzymów, Saudyjczycy wzniesli tymczasowe miasteczko namiotowe. W którąkolwiek stronę spojrzałam, widziałam identyczne białe namioty. Dolinę podzielono na poszczególne kontynenty, te zaś na konkretne państwa, dzięki czemu – teoretycznie – pielgrzymi mieli łatwiej. Zanim znaleźliśmy Amerykę Północną, a następnie Kanadę, minęło kilka godzin. Namiot kanadyjski składał się z czterech tyczek i białej markizy – nie było tam ani ścian, ani podłogi. Spojrzałam na ziemię i skałę pod nogami.

– Jesteś pewien, że w pobliżu nie ma hoteli? – zapytałam Samiulę.

– Hotele są zakazane. Zresztą pomieszkamy tu tylko parę dni – odparł. – Na szczęście mamy to... – Rozłożył dwie maty, które dostałam od handlarza z Bangladeszu.

Zaniemówiłam. Zrozumiałam, że jednak powinnam była uważnie przeczytać broszurę. Zdarzało mi się mieszkać pod namiotem, ale to przekraczało ludzkie pojęcie. Do tej pory zdążyła się zrobić noc – aczkolwiek upał nie zelżał ani trochę – zmówiliśmy więc modlitwę i ułożyliśmy się do snu. Wyciągnęliśmy się na naszych matach pielgrzymkowych, które okazały się cieńsze, niż oczekiwałam – czułam każdy kamyczek pod spodem. Z całą pewnością nie był to Hilton. Skuliłam się obok Samiuli.

– Teraz rozumiem, czemu seks jest zakazany podczas pielgrzymki – powiedziałam, kiedy przewracaliśmy się z boku na bok, szukając wygodniejszej pozycji. – Tutaj mogłoby dojść do gigantycznej orgii. Nawet Saudyjczycy ze swoimi miliardami nie zdołaliby nad nami zapanować.

– Jak to dobrze, że takie myśli nachodzą cię w najodpowiedniejszych momentach – skomentował Samiul, próbując zasnąć.

Rankiem po modlitwie Sabreena i ja ruszyliśmy na poszukiwanie jedzenia. Miasteczko namiotowe przypominało prawdziwe miasto również w tym, że były w nim sklepiki, w których sprzedawano pielgrzymom podstawowe produkty. Przecinając teren na wskroś, bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że kiedy śpi się pośród mężczyzn, którzy nie noszą bielizny, trzeba uważać, gdzie się patrzy.

Kiedyśmy tak kluczyły między skromnie odzianymi pielgrzymami, poczułam skurcze w brzuchu. Oho, potrzebowałam udać się do łazienki. I to szybko.

– Chyba nie kupiłaś niczego od ulicznych handlarzy? – upewniła się Sabreena.

– No... może jednak – przyznałam się z głupią miną.

Skoro Saudyjczycy zapewnili zakwaterowanie milionom pielgrzymów, musieli też zadbać o ich potrzeby fizjologiczne. Skierowałyśmy się z Sabreeną ku rzędom kabin. W każdej ziemię zaściewał biały plastik, który zniknął w schludnej dziurze pośrodku. Do ścianki był przymocowany wąż na wodę. Wielu pielgrzymów pochodziło z krajów, gdzie naziemna toaleta nie jest znana, a spuszczenie wody na pustyni raczej nie wchodzi w grę. Ja jednak jeszcze nigdy nie korzystałam z toalety kuczej. Sabreena na mnie popatrzyła.

– To łatwe – rzekła. – Tylko uważaj i nie wpadnij.

Zaburczało mi w brzuchu. Weszłam do jednej z kabin i zdziwiłam się, jak mało tam śmierdzi. Użyłam węża, żeby spłukać biały plastik i poczuć się lepiej w sprawach higieny. Potem upewniłam się, że drzwi są dobrze zamknięte, rozebrałam się i złożyłam ubranie w kącie, ponieważ nie chciałam nic ubrudzić. Miałam chodzić w tym samym stroju przez najbliższe trzy dni.

Gdy wróciłyśmy do namiotu pół godziny później – bez jedzenia w rękach, za to z niewyraźną miną – teść posłał mi znaczące spojrzenie. Potulnie pokiwałam głową.

– Postaraj się jeść jak najmniej – poradził.

– Tak, wiem – odparłam. – Im mniej amunicji dla żołądka, tym lepiej.

Usilnie unikałam jedzenia i połam się tylko wodą, która błyskawicznie parowała w postaci potu, tak że nawet nie musiałam korzystać z plastikowych kabin. W miasteczku handlarze sprzedawali parasolki i teść kupił dla nas jedną. Oczywiście nie chodziło o ochronę przed deszczem. Ten skrawek cienia, który zapewniała parasolka, zdawał się miłosierdziem, kiedy chodziło się wśród namiotów. Wolne chwile mieliśmy spędzać na modlitwie i refleksji. Leżąc na ziemi, czułam wielką wdzięczność za udogodnienia współczesności – namioty i toalety.

Następnego dnia wyruszyliśmy rozklekotanym autobusem bez klimatyzacji, by odbyć kluczowy punkt pielgrzymki i zwiedzić górę Arafat, to jest kawałek pustyni, na którym prorok wygłosił ostatnie kazanie, tak zwane pożegnalne kazanie. Była to podróż licząca czternaście kilometrów.

Mijały nas szkolne autobusy z odkrytymi dachami, co wyglądało tak, jakby ktoś pozbawił je szczytu za pomocą otwieracza do puszek.

– Widziałeś? – zapytałam Samiula.

– Część szyitów odradza używanie jakichkolwiek osłon podczas pielgrzymki. Starają się pozostać wierni oryginalnemu doświadczeniu.

– Nie wyobrażam sobie czegoś takiego w tym upale – stwierdziłam.

Wkrótce moja wyobraźnia została wystawiona na próbę.

Nasz autobus wydał przeraźliwy zgrzyt i rozkraczył się na środku drogi. Silnik się przegrzał.

Kierowca zachęcił nas, abyśmy ostatni odcinek pokonali pieszo. W autobusie było nieludzką gorąco, ale kiedy wysiedliśmy, miałam wrażenie, że wstępuję do piekarnika. Temperatura na zewnątrz wynosiła czterdzieści osiem stopni Celsjusza. Teraz na widok mijającego nas autobusu bez dachu czułam zazdrość. Dotychczas odbębnialiśmy rytuały nocami, żeby uniknąć upału, jednakże w tej chwili skwar nas dopadł. Parasolki dawały jaką taką osłonę, lecz najbardziej pomogło mi wylanie na głowę butelki wody.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Samiul.

– To chłodzi na jakiś kwadrans, z tym że potem człowiek znowu wysycha. Gdyby nie było to takie straszne, byłoby zdumiewające.

To powiedziawszy, wylałam sobie na głowę kolejną butelkę. Na szczęście dla nas Saudyjczycy rozdawali wodę z lodziarek zaparkowanych wzdłuż drogi, chcąc w ten sposób zmniejszyć liczbę ofiar śmiertelnych z powodu odwodnienia. Wśród tłumu wypatrzyłam pielgrzymów, którzy ciągnęli za sobą walizkę. Wyglądali na wyczerpanych. Ucieszyłam się, że posłuchałam rady teścia i zabrałam tylko mały plecak.

Na górze Arafat ludzie odczytują tekst pożegnalnego kazania. Kiedy mamrotałam: „Cała ludzkość pochodzi od Adama i Ewy. Żaden Arab nie przewyższa nie-Araba i żaden nie-Arab nie przewyższa Araba. Biały nie jest lepszy od czarnego ani czarny nie jest lepszy od białego, tylko w pobożności i dobrych uczynkach”, przypominałam sobie, jak czytałam Maysie *Królową Śnieżkę i siedmiu krasnoludków*, zmieniając tytuł na *Pan Kartoflana Głowa i siedmiu krasnoludków*, ponieważ nie chciałam, aby nabawiła się kompleksu, mimo że odziedziczyła po ojcu białą cerę. Będąc dzieckiem, wiedziałam, że w naszej społeczności biała cera jest pożądana, i zastanawiałam się, czy śniada skóra czyni mnie nieatrakcyjną. W tym momencie słowa sprzed czterech wieków odbiły się we mnie silnym echem.

Wieczorem udaliśmy się autobusem w drogę na wzgórze Al-Muzdalifa. Plan zakładał, że nazbieramy kamieni na jutrzejszy rytuał, po czym zmówimy razem modlitwy *magrib* i *isza*, zanim udamy się na spoczynek. Problem polegał jednak na tym, że nie było namiotów.

– To gdzie będziemy spać? – zapytałam.

– Na ziemi – odparł Samiul.

I rzeczywiście, ludzie jakby nigdy nic po zakończeniu modlitw i czytaniu Koranu kładli się na gołej ziemi i zasypiali. Nie byłam w stanie zmrużyć oka. Źle się czułam. Mogłam zapanować nad zatruciem pokarmowym, nie przyjmując posiłków, ale i tak dostawałam skurczy brzucha. Zauważyłam, że Sabreena także nie śpi.

– Nie możesz spać? – zapytałam ją.

– Za mną jest ciężarówka, która pluje spalinami.

Wstałyśmy obie i rozejrzałyśmy się dookoła. Niesamowicie to wyglądało.

– Przeżycie to ma nam przypominać o śmierci – powiedziała Sabreena. – Koniec końców umieramy nadzy i samotni. Jedyne, co po nas pozostaje, to nasze uczynki.

Otoczały nas miliony leżących na ziemi ludzi w białych strojach, które teraz przypominały całuny. Poczułam dreszcz przebiegający mi po kręgosłupie. Nie miało znaczenia, ile kto miał w domu pieniędzy; wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku.

– Tu jest zupełnie jak w dzień sądu ostatecznego – rzekłam. – Ciekawe, czy wtedy też tak będzie. Nie licząc oczywiście ciężarówek i półnagich mężczyzn.



Dostrzegłam nieopodal dziecko, które przypatrywało mi się, podczas gdy jego matka czytała Koran. Dziewczynka była mniej więcej w wieku Maysy. Wyciągnęła do mnie rączki, a ja zerknęłam na kobietę, która skinęła przyzwalająco głową. Podniosłam dziewczynkę i przytuliłam ją mocno. Brakowało mi tego uczucia. Brakowało mi Maysy. Gdy dziecko zaczęło marudzić i rozglądać się za matką, niechętnie je puściłam.

Wyobraziłam sobie, co czuł Abraham, któremu Bóg kazał poświęcić swojego syna. Już wcześniej nieomal go stracił, gdy zostawił Hadżar na pustyni, a teraz znów był tego blisko.

Abraham zawahał się trzy razy, ponieważ jak głosi tradycja, diabeł próbował go powstrzymać. Jestem pewna, że żadnemu rodzicowi nie byłoby łatwo. Zastanawiałam się, czy Hadżar zwątpiła w Boga, pozostawiona samej sobie na pustyni. Czy w najgorszy czas myślała, że Bóg ją porzucił.

Dlaczego Bóg chce, abyśmy pamiętali te przykre historie? Miałam na to pytanie tylko jedną odpowiedź. Wiara to coś więcej niż wierzenie; to życie w strachu, pełne wątpliwości względem samego siebie, i radzenie sobie z tymi uczuciami, dopóki nie przyniosą one jakiejś odpowiedzi.

Pielgrzymi zaczęli się budzić na modlitwę przed świtem. Dolina śmierci zamieniła się w dolinę zombie, gdy wszyscy rzucili się do kabin, aby dokonać porannych ablucji.

Samiul otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Co robisz? – zapytał.

– Zastanawiam się, co zrobić ze swoim życiem – odparłam.

– Powinno mnie to martwić?

– Zdecydujemy się na drugie dziecko.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Jesteś pewna? Bo coś mi mówi, że już teraz masz pełne ręce roboty.

– Poza tym rzucę dziennikarstwo i zajmę się robieniem filmów – dodałam.

Uczucie, że dziennikarstwo mi nie wystarcza, gnębiło mnie już przed wyjazdem. Chciałam opowiadać historie. Być może skłoniło mnie do tego odtwarzanie w pamięci tych zasłyszanych. Na pielgrzymce wszystko było możliwe – decyzje, w domu nie do wyobrażenia, tutaj przychodziły mi z łatwością. Kakofonia dźwięków, otaczający mnie ludzie i fizyczny ból – wszystko mnie opuściło, za to upewniłam się w swoim przekonaniu.

– To poważne kroki – rzekł Samiul. – Drugie dziecko i zmiana zawodu.

– Moim zdaniem wiara oznacza pokonywanie trudności, a nie poddawanie się im – powiedziałam, myśląc ponownie o Hadżar i Abrahamie.

– Coś jeszcze?

– Tak, przystojny z ciebie żywy trup.

Wsiadliśmy znowu do naszego autobusu i skierowaliśmy się ku dolinie o nazwie Rami al-Dżamarat, gdzie pielgrzymi zbierają kamyki nie większe od ziarna grochu i rzucają nimi w trzy kolumny, które uosabiają szatana.

Podchodząc do kolumn, usłyszałam krzyki pielgrzymów stojących najbliżej. Ludzie bardzo się emocjonowali. Zamiast kamyków widziałam latające w powietrzu klapki, butelki po wodzie i kawałki skały, ciskane w diabła wraz z przekleństwami. Zdarzało się, że jakiś przedmiot ominął kolumnę i uderzył pielgrzymą stojącego po przeciwnej stronie. Wyglądało na to, że część osób dała się ponieść chwili i zapomniała, że to nie diabeł tkwi tu odlany z jak najbardziej współczesnego betonu.

Wiedziałam, że to najniebezpieczniejsza część pielgrzymki. Minionego roku stratowano na śmierć dwieście czterdzieści osób. Ogarnęła mnie panika. Czułam, że tłum gęstnieje i staje się bardziej podniecony. Brzuch mi się ścisnął od zatrucia. Nie miałam w sobie dość siły, aby wkroczyć w tę rozwścieczoną ludzką cizbę.

– Nie dam rady tego zrobić – oznajmiłam Samiulowi, mając w pamięci sceny spod Kaaby.

– Nie szkodzi – odparł. – Faktycznie wygląda to nieciekawie. My za was odbębniemy co trzeba.

Samiul, Amir, Munir i mój teść ruszyli przed siebie, podczas gdy my wszystkie poszukałyśmy schronienia przed tłumem. Czterej mężczyźni zniknęli w kłębie ciał. Nigdy nie sądziłam, że będę się martwić o Samiula, któremu groziło zgniecenie na śmierć przez szaleńczo kamienujących diabła ludzi.

– Nic im się nie stanie, *inshallah* – powiedziała moja teściowa, widząc, że wyglądamy na zaniepokojone.

Co rusz dostawała ataku kaszlu spowodowanego przez zanieczyszczenia i zmęczenie. Jeśli ktokolwiek z nas miał prawo się skarżyć na zdrowie, tą osobą była ona. Tymczasem stanowiła naszą opokę. Odliczając minuty i przysłuchując się ogłuszającym rykom tłumu, pomyślałam, że chętnie bym wróciła do swojego życia, rozwrzeszczanego dziecka i w ogóle wszystkiego.

Znienacka wyrosli przy nas nasi mężczyźni.

– Jak było? – zapytałam Samiula, obejmując go w zadowoleniu, że wrócił cały i zdrowy.

– To czyste szaleństwo. – Opisał rozgniewanych pielgrzymów, którzy krzyczeli na diabła, wyrzucając z siebie wszystkie skargi: na złego szefa, reumatyzm, marudną teściową. Byłoby to zabawne, gdyby nie było takie niebezpieczne.

Zawróciliśmy do Mekki, gdzie znowu mieliśmy odprawić *tawaf* i *sa'i*. Samiul dał sobie ogolić głowę, a ja pozwoliłam, aby ścięto mi centymetr włosów.

– Cóż – skwitowała Sabreena, gdy mężczyźni znów się pokazali, wyglądając jak świeżo ostrzyżone owce. – Czasami trzeba wyzbyć się dumy.

Przejechałam ręką po nagiej czaszce Samiula, która pozbawiona ukochanych włosów zdawała się ogromna.

– Twoja głowa wygląda jak monstrualny melon.

– Dziękuję – odparł.

Pozostała tylko ofiara ze zwierzęcia. Saudyjczycy obmyślili system dopuszczający zakup biletów, które gwarantują ofiarę z kozy albo owcy dokonaną w imieniu pielgrzymów. Mięso zawsze trafia do potrzebujących. Nie zobaczyliśmy ani kropli krwi, za to z chęcią trzymaliśmy Saudyjczyków za słowo, że wszystko odbyło się jak należy.

Zakończywszy *hadżdż*, mogliśmy się pozbyć strojów *ihram*.

Wróciliśmy do hotelu i wzięliśmy gorący, boski prysznic. Kiedy woda zmywała ze mnie brud, smog i piasek, czułam się szczęśliwa i głęboko usatysfakcjonowana. Pielgrzymka do Mekki to wyczerpujące emocjonalnie i fizycznie przeżycie. Miałam jednak wrażenie, że dokonałam czegoś wartościowego.

W Toronto czekała na nas Mama, która trzymała Maysę na ręku. Mała wyglądała na pulchniejszą niż przed naszym wyjazdem. Na mój widok uderzyła w bek, wyrwała się babci i pognęła do mnie.

– Ilekroć o ciebie pytała, mówiłam, że jesteś w samolocie – powiedziała Mama. – Ostatnie dwa tygodnie spędziła, patrząc w niebo i powtarzając „Siolot, siolot, mama, siolot”. Musiałam ją na okrągło karmić, żeby odciągnąć jej myśli od ciebie... Nie zapomniałaś się pomodlić o zbawienie swojej duszy?

– Skądże. – Nie pora była wspominać, że modliłam się również o rozwój mojej kariery filmowej.

Samiul odebrał Maysę ode mnie.

– Czyżby zrobiła się cięższa?

– Tak, nic tylko jadła i gapiała się w niebo, kiedy nas nie było – powiedziałam. – Cudownie będzie mieć drugie dziecko.

– Po tym wszystkim, co z nią przeszłaś, jesteś pewna, że chcesz zaczynać od nowa?

– Ej, właśnie mnie obmacywano, zgniatano, prażono, głodzono, odwadniano, truto i pozbawiano snu. Nabawiłam się też chyba pylicy.

– Czyli dziecko to drobiazg, tak? – skwitował Samiul.

Uściskałam teścia i podziękowałam mu za możliwość odbycia pielgrzymki wcześniej, niż się spodziewałam. Jego żona jechała na wózku inwalidzkim, ponieważ tak ją wyczerpała podróż.

– Wyniosłeś z pielgrzymki to, co chciałeś? – zapytałam go.

– Pobyłem z najbliższymi, zanim wszyscy rzucicie się w wir własnego życia – odparł. Zanim odszedł do bramki, z której mieli lot, wcisnął mi coś w dłoń.

– Co to? – zapytałam Samiula.

Zajrzałam do papierowej torby.

W środku była paczuszka mokki.

¹ Koran, sura 22:27 (*Pielgrzymka*).

BBQ Muslims

– Czy to Zarqa Nawaz? – zapytał rozszokowany mężczyzna, gdy odebrałam telefon.

– Przy telefonie. – Przytrzymałam aparat brodą, przykładając miesięczną Inayę do lewej piersi.

Inaya znaczy tyle co „miła osoba”. Moja młodsza córka była godna swojego imienia, jeśli nie liczyć jej zamiłowania do puszczenia panoramicznych pawli. Niektóre dzieci są niejatkami, jednakże Inaya chwyciła za pierś niczym pijawka, dzięki czemu mogłam jeszcze wolną ręką zmiksować kurczaka dla swojego niejadka.

– Jestem głodna! – rozdarła się Maysa. Pośpiesznie ubrałam ją w śliniaczek, jak tylko wdrapała się na wysokie krzeselko.

– Nazywam się Mario i dzwonię z biura Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Toronto. Pani film został zakwalifikowany do tegorocznego konkursu. Gratuluję! – powiedział.

Palec, którym miałam przekierować rozmowę na automatyczną sekretarkę, zamarł.

Po pielgrzymce do Mekki porzuciłam dziennikarstwo na rzecz kręcenia filmów. Aby się upewnić, że nie popełniam życiowego błędu, zapisałam się na letnie warsztaty organizowane przez Ontario College of Art. Wykoncypowałam sobie, że jeśli zostanę zakwalifikowana do konkursu, będzie to dla mnie znak.

Chłapnęłam zmiksowanym kurczakiem do miseczki, czemu towarzyszyło bębnienie piąstek na stoliku wysokiego krzesła.

– Jestem głodna! – powtórzyła Maysa, łapczywie sięgając po miseczkę.

Tymczasem w słuchawce rozległo się zirytowane westchnienie.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Zdaje sobie pani sprawę, że o udział w festiwalu ubiegają się tysiące osób z całego świata? To niesłychane wyróżnienie.

– Czuję się zaszczyczona. Naprawdę. – Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że jedną ręką karmię Maysę kurczakowym curry, a drugą trzymam Inayę przy piersi.

– Zapomniała pani umieścić na formularzu zgłoszeniowym swój adres i numer telefonu – wyrzekł Mario.

Ups.

– Jak mnie pan w takim razie znalazł? – zapytałam zdumiona.

– Obdzwoniłem wszystkich Nawazów w Toronto i okolicach, aż natrafiłem na pani brata. Od

niego dostałem numer do pani.

– To chyba dobrze, że pozostałam przy panieńskim nazwisku.

Maysa wypluła to, co miała w buzi.

– Napracowałam się przy tym – powiedziałam.

– Nigdy bym nie pomyślał – odparł Mario.

– Mówię poważnie – zapewniłam lekko oburzona. – Zmiksowałam kurczaka z soczewicą.

Maysa nic innego nie chce jeść. Och, zapomniałam dodać soczewicy...

– Myślałem, że rozmawiamy o pani filmie.

W milczeniu przełożyłam oba składniki do miksera.

– Chwileczkę, pańskim zdaniem mój film jest zły?

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Co więc znaczyło „nigdy bym nie pomyślał”?

Zapadło trzysekundowe milczenie. W tym czasie dodałam do mieszanki trochę masła i zastanowiłam się nad ostatnimi słowami mojego rozmówcy.

– Są filmowcy – odezwał się w końcu Mario – którzy powiedzą: „Mój doskonały pod względem technicznym film przegrał z czymś takim”.

Poczułam, że się czerwienię. Ktoś mnie tu obrażał!

– Z czymś takim? – powtórzyłam. Inaya puściła moją pierś, pijana mlekiem.

– Cóż, to nie do końca profesjonalny film, prawda?

– Nakręciłam go podczas warsztatów – wyjaśniłam obronnie.

– Pozwoli pani, że ujmę to inaczej. Są adepci reżyserii, którzy powiedzą: „Mój doskonały pod względem technicznym film przegrał z czymś takim”.

– Skoro tak, czemu mój film został zakwalifikowany? – Zaczęłam poklepywać Inayę po plecach, żeby jej się odbiło. Usłużnie zwymiotowała na mnie mlekiem.

– Dotąd nie mieliśmy zgłoszenia, które by poruszało ten temat. Ocenialiśmy oryginalność filmu, nie jego techniczną stronę. Pomimo niedociągnięć pani obraz przemawia na pewnym poziomie.

Usiłowałam nie brać tego do siebie. Mój film powstał w bardzo szczególnych okolicznościach.



– Wybierzcie prosty temat, o którym moglibyście nakręcić pięciominutowy filmik – powiedział nam Terry, nasz wykładowca. – Pamiętajcie, to nie ma być reportaż. Powinniście się zmieścić w ciągu jednego popołudnia. Macie dwie doby, żeby wszystko wymyślić, napisać scenariusz i przygotować się do robienia zdjęć.

Podawałam Maysie śniadanie w domu Mamy, gdzie zatrzymałam się na czas trwania warsztatów. Spoglądając na pierwszą stronę „Toronto Star”, zobaczyłam czarno-białe fotografie przedstawiające muzułmańskich podejrzanych, którzy zostali aresztowani w związku z zamachem terrorystycznym w Oklahoma City.

– Czemu muzułmanie dopuszczają się takich strasznych czynów? – zastanawiałam się na głos, uwalniając Maysę z wysokiego krzeselka. Mała poczłapała do Mamy. – W tym zamachu

zginęły niewinne dzieci.

– Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów – odparła Mama, sadzając sobie Maysę na kolanach. – Jesteś zbyt łatwowierna.

– Nie wypraszałoby muzułmanów z samolotów, gdyby nie mieli jakichś dowodów – powiedziałam. – Coś musi być na rzeczy.

– Nie przekreślaj tych ludzi – stwierdziła Mama, świadoma, że jestem sceptyczna wobec jej optymizmu.

Nazajutrz został aresztowany Timothy McVeigh, który na pewno nie był muzułmaninem.

– Widzisz? – zapytała Mama.

– To nie ma sensu – rzuciłam. – Dlaczego wcześniej aresztowano ludzi niepodobnych do faktycznego sprawcy?

– Ludzkie wyobrażenia to potężna broń – skwitowała Mama.

Znalazłam doskonały temat na swój filmik. Muzułmanie bez dwóch zdań nie są świętymi, co jednak w sytuacji, gdy rzeczywiście nie zrobili niczego złego? Zamierzałam przyjrzeć się temu, jak bardzo stereotypy wpływają na ludzkie poglądy. Prędko napisałam scenariusz traktujący o dwóch braciach muzułmanach, którzy smacznie śpią, kiedy w ich tylnym ogródku wybucha bomba. Sąsiedzi zwracają się przeciwko nim, oskarżając ich o powiązania z bliskowschodnimi terrorystami, mimo że ci dwaj nigdy nawet nie byli na Bliskim Wschodzie. Chociaż są niewinni, trafiają do więzienia. Tymczasem prawdziwymi sprawcami są dwaj członkowie Frontu Obrony Czystości Powietrza. Podkładają bomby pod ogródkowe grille, chcąc zwrócić uwagę na problem zanieczyszczenia środowiska. W tym wypadku jednak spotyka ich zawód: trafiają na muzułmanów i nie są w stanie przebić się do mediów.

– Będziesz zatrudniać aktorów? – zapytała Mama.

– Nie mam na to pieniędzy. Zadowolę się ochotnikami. Steven Spielberg też tak zaczynał.

– Znalezienie ludzi chyba nie będzie takie proste – zauważyła Mama.

– Zdziwiłabyś się, ile osób w głębi ducha marzy o aktorstwie.

– Skorzystaj z pomocy krewnych – poradziła mi Mama. – Krewni nie będą chcieli pieniędzy. Zadzwoniłam do Muzammala, aby poprosić go o zagranie jednego z braci.

– Nie mam teraz zbyt wiele czasu – odparł. – Jawad i ja ćwiczymy do walki.

– Jawad może grać twojego brata. – Ucieszyłam się.

– Nawet nie jesteście do siebie podobni.

– To nie ma znaczenia. Grunt, że obaj jesteście śniadzi.

– No nie wiem... Walka ma się odbyć za dwa dni.

– Mama mówi, że musisz mi pomóc.

– Dobrze. Ale będę miał dla ciebie tylko dwie godziny.

– Powinnaś pójść do meczetu – rzuciła Mama.

Ja jednak potrzebowałam białych aktorów, postawiłam więc na sąsiadów. Widząc, że po drugiej stronie ulicy jakiś krępy mężczyzna kosi trawnik, podeszłam do niego i przedstawiłam mu się. On, sądząc z pomocnego tatuażu na ramieniu, miał na imię Bret.

– Chciałby pan zagrać w moim filmie? – zapytałam.

– Jeszcze nikt mi tego nie proponował – odpowiedział. – Ale nie będę się musiał rozbierać?

– Nie chodzi o pornografię, tylko o stereotypy na temat muzułmanów. Szukam kogoś do roli

policjanta.

– Coś jak Bruce Willis w *Szklanej pułapce*?

– Dokładnie tak – potwierdziłam, chociaż w życiu nie widziałam żadnego filmu z tej serii.

– Super. Właściwie można by nakręcić film pornograficzny pod takim samym tytułem.

Zastanowiłam się, czy jednak nie lepiej było pójść do meczetu, tak jak radziła mi Mama.

– Dostanę prawdziwy policyjny mundur?

– Oczywiście. – Zakonotowałam sobie, że będą mi potrzebne kostiumy.

– Chciałbym taki z odpinanymi spodniami.

– Będzie pan grał policjanta, nie striptizera. Zresztą możliwe, że dostanie pan tylko czapkę.

Nakręcimy pana od szyi w górę.

Parę domów dalej jakiś staruszek grał na ganku z synem w warcaby. Przedstawiłam się i poznałam jego imię. Nazywał się Tom. Wyjaśniłam, że kręcę wizjonerski film krótkometrażowy, poruszający delikatny temat równowagi w stosunkach międzyrasowych.

– Czy moja żona też mogłaby wystąpić? – zapytał Tom, gdy zaproponowałam mu rozchwytywaną rolę sąsiada numer jeden.

– Jasne. Im więcej, tym weselej. – Przeniosłam spojrzenie na chłopca. Wydawał się podniecony rolą statysty. – Cała pańska rodzina może wystąpić – dodałam.

Potrzebowałam tłumu do sceny wybuchu.

– Zapewnia pani kostiumy? – zapytał Tom.

O co im wszystkim chodzi z tymi kostiumami?

– Bardzo mi się podoba to, co pan ma w tej chwili na sobie – odparłam, patrząc na jego spodnie. – To Hugo Boss?

– Nie. Odzież używana.

– Z naturalnością nic nie wygra. Zechce je pan włożyć, kiedy przyjdzie do kręcenia?

Zgodził się, a ja po jeszcze kilku rozmowach miałam obsadzone wszystkie role z wyjątkiem jednej: reporterki. Zaczynałam trochę panikować i widziałam już nawet w obsadzie Mamę z uróżowanymi policzkami, gdy nagle mój wzrok padł na wracającą do domu sąsiadkę.

– Przepraszam! – zawołałam.

– Och, odpowiada mi bycie chrześcijanką – powiedziała kobieta, wypakowując zakupy z samochodu. – Ale słyszałam, że pod numerem pięćdziesiątym piątym zamieszkali członkowie sekty Moona. Może oni skuszą się na konwersję?

– Nie jestem agitatorką religijną – odparłam. – Jestem reżyserem i właśnie szukam do swojego filmu aktorki, która by zagrała reporterkę. Pani wydaje mi się idealna do tej roli.

– Naprawdę?

– Tak, zrozumiałam to, jak tylko panią zobaczyłam – powiedziałam. Było to o tyle zgodne z prawdą, że potrzebowałam kogoś, kto miał dwie ręce, dwie nogi i dwoje oczu patrzących mniej więcej w tę samą stronę.

– Zawsze marzyłam o aktorstwie, ale moja matka była temu przeciwna – wyznała kobieta. – Twierdziła, że potrzebna mi praca z prawdziwego zdarzenia, bo aktorki robią karierę wyłącznie przez łóżko.

– No, ze mną nie musi się pani przespać, żeby dostać rolę. Poza tym jestem kiepska w łóżku.

– Nie mam pojęcia, czemu zesłałam na ten temat.

- Mogłabym panią nauczyć kilku sztuczek – oznajmiła.
- Zapamiętam to sobie. Czyli widzimy się jutro po południu.

Do domu wróciłam cała w skowronkach.

- Znalazłaś odpowiednią liczbę osób? – zapytała Mama.
- Tak. Odkryłam przy tym, że masz dosyć dziwnych sąsiadów.
- Wszyscy są biali. Czego innego można się po nich spodziewać?
- Myślisz, że ciocia Noreen pozwoli nam zrobić nagranie w swoim domu?
- Co takiego widzisz w jej domu? – zapytała urażona Mama.
- Czemu nie lubisz cioci Noreen? – Natychmiast pożałowałam swojego pytania.
- Kupuje gotowe samosy i podaje je jako własne.

– To skomplikowany przepis... – Usiłowałam odwołać się do jej zmysłu praktycznego.

– A raz wręczyła mi torbę ze starymi ubraniami, jakbym potrzebowała dobroczynności – dodała Mama, nie zwracając na mnie uwagi. – Ale najbardziej podpadła mi wtedy, gdy obdarowała Tatę domowymi przetworami. To przeszło wszelkie pojęcie.

– Ale dom ma wspaniały – upierałam się. – Pełen antyków i ciężkich drewnianych mebli. Im droższa sceneria, tym wartościowszy film. Będzie tak, jakbyśmy mieli duży budżet.

– Wątpię, żeby te antyki były prawdziwe. To pewnie produkowane w Chinach repliki, całkiem jak jej samosy.

– Proszę, zadzwoń do niej! – poprosiłam.

Dwie godziny później siedziałyśmy w idealnie urządzonym salonie cioci Noreen na zarzuconej poduchami kanapie w kwiatowy wzór i częstowałyśmy się samosami z porcelanowego talerzyka. Wszystkie zdawały się jednego kształtu. Mama posłała mi znaczące spojrzenie.

– Oczywiście, że możesz kręcić w moim domu, kochanie – powiedziała ciocia Noreen. – Od czego ma się przyjaciół?

– Kocham cię, ciociu – odparłam zadowolona, że mój film powoli się materializuje.

Ciocia Noreen podniosła ze stolika mój scenariusz.

– Wiesz, że dostałam główną rolę w bollywoodzkim filmie, kiedy miałam zaledwie osiemnaście lat?

– Nie miałam pojęcia, że byłaś gwiazdą Bollywoodu.

– Projekt nie wypalił. Matka zaaranżowała moje małżeństwo i musiałam zrezygnować z roli. Gdyby nie to, byłabym bardziej znana niż Aishwarya Rai.

– Jestem pewna, że Aishwarya Rai po dziś dzień dziękuje opatrności – rzuciła Mama, popijając herbatę.

Ciocia Noreen ją zignorowała.

– Jeśli chcesz, mogę zagrać brata, z tym że oczywiście byłabym siostrą.

– Jesteś trochę za... – Nie miałam pojęcia, jak dyplomatycznie wspomnieć o jej wieku.

– Możesz zagrać babkę – stwierdziła Mama, ostrożnie sięgając po samosę. – Wybacz, pomyliłam się. Nie wyglądasz na niczyją babkę. Raczej prababkę.

– To co, będziesz kręcić u mnie? – zapytała ciocia Noreen, nie zwracając najmniejszej uwagi na Mamę.

– Chyba ta...

– Nie, nie będzie kręcić u ciebie, ty pomarszczona stara torbo! – zawołała Mama, z hukiem odstawiając filiżankę. – Twoje samosy nie mają prawdziwego nadzienia mięsnego, tylko są pełne zasuszonego groszku! Zapełnie jak twój dom!

– Nie działajmy pochopnie – mitygowałam ją. – Ani nie wyrażajmy się obraźliwie.

– Twojej matki nigdy nie było stać na antyki – zauważyła ciocia Noreen. – Za to lubiła otaczać się szmatławymi dywanami.

– To przez swoje antyki potrzebujesz operacji kolana! – odparowała Mama, ciągnąc mnie do drzwi. – Będziesz kręcić u mnie – oświadczyła w drodze powrotnej do domu. – Nie w każdym filmie muszą wystąpić wspaniałe wnętrza. Wystarczy wspomnieć *Malarię*.

– Tam tłem była melina – przypomniałam.

– Właśnie. Mój dom jest od niej znacznie ładniejszy – zakończyła dyskusję Mama.



– Akcja! – krzyknęłam nazajutrz po południu.

– Nie będzie najpierw próby? – zapytał Muzammal.

– Nie ma na to czasu. Bret za dwadzieścia minut zaczyna zmianę w barze, musimy się więc śpieszyć. Poza tym taśmy starczy mi tylko na jedno ujęcie. Akcja!

Jawad i Muzammal stali przed domem moich rodziców ubrani w muzułmańskie stroje i grali przestraszonych gromadzącym się wokół nich tłumem sąsiadów. Było to coś w rodzaju polowania na czarownice.

– Islam oznacza pokój. Musimy się modlić pięć razy dziennie, nie mamy czasu na przemoc – tłumaczył reporterce Jawad.

– Niech diabli porwą tych pastuchów wielbłądów! Nigdyśmy nie powinni was wpuszczać do swojego kraju! – wydzierał się sąsiad numer jeden, którego improwizacja zawstydziłaby samą Meryl Streep.

– Trzeba by wam uciąć uszy, jak to się robi w Arabii Saudyjskiej – dodał sąsiad numer dwa, dla podkreślenia swych słów uderzając dłonią w udo.

– Nie, nie, my obcinamy ręce, ale zawsze trzymamy się zasad. Przykładowo jeśli złodziej ukradł coś, bo był głodny... – zaczął Muzammal.

Aktorka odgrywająca sąsiadkę numer cztery odwróciła się do mnie.

– Nie czuję tego – powiedziała.

– Proszę nie zastanawiać się teraz nad scenariuszem! – wrzasnęłam. – Nie ma na to czasu!

– Nie mogę stanąć na wysokości zadania, skoro brakuje mi kontekstu.

– Przecież pani nie ma nawet roli mówionej – zauważyłam osłupiała.

– Czy Saudyjczycy wiedzą, że się z nich natrząsacie?

– Nikt nie natrząsa się z Saudyjczyków, tylko z pomysłu obcinania dłoni.

– A ja tak właściwie zapewniam kontekst – wtrącił Muzammal.

– Za kwadrans zaczyna się moja zmiana – dodał Bret.

Zaczęłam rozumieć Spielberga.



– Pani aktorzy byli nieco drewniani – powiedział Mario przez telefon.

– Sąsiedzi – poprawiłam go. – Ale tak... Bret wystawił mnie do wiatru, przez co musiałam zastąpić go sąsiadem numer trzy. A rolę reporterki przekazałam sąsiadce numer cztery, żeby przestała analizować scenariusz.

– To nie byli prawdziwi aktorzy?

– Tak pan myślał?

– Sądziłem, że po prostu wypadli wyjątkowo blado.

– Miałam dobrą na przygotowanie wszystkiego – rzekłam. – Zdaniem wykładowcy jeszcze nikomu nie udało się sfinalizować projektu w tym czasie.

– Gratuluję przełamania złej passy.

– Uważa pan, że powinnam zgłosić swój film do Studenckiej Nagrody Akademii Filmowej?

– Nie.

– Jest pan nadmiernie krytyczny – rzuciłam, starając się nie dać zniechęcić.

– Jestem realistą. No więc jak, przyjedzie pani na festiwal? Choć wyda się to pani nie do wiary, dziennikarze chcą z panią przeprowadzić wywiad.

Spojrzałam na córki. Pora nie była najlepsza – ale czy kiedykolwiek taka będzie?

– Przyjadę.

Gdy Samiul wrócił do domu, byłam na górze. Trzymając Inayę na ręku, przeglądałam szafę ze strojami ciężowymi i zastanawiałam się, co mogłabym włożyć z okazji festiwalu. Obok siedziała na nocniku Maysa, odmawiając współpracy.

– Okropnie pachniesz – przywitał mnie mąż. – Kwaśnym mlekiem.

Zapomniałam się przebrać. Samiul przytrzymał Inayę, żebym mogła ściągnąć bluzkę. Opowiedziałam mu, że mój film trafił na festiwal.

– Nie będę mógł pojechać z tobą do Toronto – odparł. Właśnie zaczynał pracę jako samodzielny psychiatra, w związku z czym czekała nas przeprowadzka do Calgary. Nie był w stanie zrobić sobie wolnego w takiej chwili.

– Jak sobie poradzisz sama z dwójką dzieci? – zapytał zmartwiony.

– Kto mówi, że będę sama?

Zadzwoiłam do Mamy.

– Zgadnij co!

– Znowu przyjeżdżasz z wizytą.

Przed rokiem spędziłam u niej dwa tygodnie razem z Maysą, kręcąc i montując swój film. Mama zajmowała się Maysą, podczas gdy ja zajmowałam się filmem. Teraz miałam znów zwalić się jej na głowę, tym razem z dwójką dzieci. Mama wiedziała, czego się spodziewać.

– Tęsknię za tobą i bardzo chcę cię zobaczyć – oświadczyłam.

– Nie wciskaj mi kitu – poprosiła. – To ma coś wspólnego z twoją pracą.

– Mój film trafił na festiwal. Muszę być na dwu projekcjach we wrześniu.

– Czy Maysa korzysta już z nocnika?

– Oczywiście – skłamałam.

– A Inaya pije mleko z butelki?

– Od urodzenia.

Poleciałam do Toronto na dzień przed projekcją. Ściągnęłam z piersi tyle mleka, ile się dało, i zamroziłam je w lodówce.

– Tylko wróć szybko – zawołała za mną Mama, kiedy wychodziłam.

Wpuszczono mnie do kina razem z piątką innych reżyserów, których filmy zakwalifikowały się do tej samej grupy co mój. Sala kinowa była niewielka, ale urządzona z przepychem. Z samowarów wyglądających na złote i srebrne podawano kawę i herbatę. Właśnie nalewalam sobie earl greya, gdy ktoś stanął za moimi plecami.

– Udało się pani przybyć – powiedział Mario.

Był uprzejmy, miał zadbaną kozią bródkę i nosił czarny włoski garnitur. Wymienił ze mną uścisk dłoni i wręczył mi identyfikator, żebym mogła obejrzeć też pozostałe projekcje.

– Czujecie pani zapach kwaśnego mleka? – zapytał, rozglądając się wkoło.

– To śmietanka. Zwarzyła się.

Pognałam do damskiej toalety, żeby zmienić wkładki laktacyjne, które zdążyły przesiąknąć na wylot. Ponieważ zapomniałam zabrać zapasowych, wyłożyłam stanik chusteczkami higienicznymi. Dla pewności umieściłam dodatkową warstwę pomiędzy stanikiem i bluzką.

Mój filmik został wyświetlony tuż przed inną krótkometrażówką – *Bangs* o społeczności chińskich Kanadyjczyków, autorstwa Carolynne Hew, do której podeszłam, by się przedstawić.

– Zatem obydwie nakręciłyśmy komedie o naszych społecznościach – powiedziała do mnie.

– Mój film to nie tyle komedia, ile barometr społecznych zachowań – odparłam.

Jednakże podczas projekcji widownia wybuchała śmiechem w niewłaściwych momentach. Mozolnie narysowałam podobizny obu braci muzułmanów do gazetowego ogłoszenia w rubryce „Poszukiwani”, chciałam bowiem, aby przypominały fotografie, które zainspirowały mnie do nakręcenia filmu. Tamte zdjęcia złamały mi serce, a teraz ludzie śmiali się na widok moich rysunków. W końcu, kiedy patrzyłam, jak Jawad i Muzammal przedobrzają z graniem, coś do mnie dotarło. Mój filmik naprawdę był tendencyjny. W istocie był do tego stopnia przesadzony, że zakrawało to na celowe działanie. Niechcący udało mi się nakręcić satyrę na temat terroryzmu.

Mario zaprowadził nas do salki konferencyjnej, gdzie dziennikarze mieli nam zadawać pytania.

– Dlaczego zdecydowała się pani na satyrę? – zapytał jeden.

– „Zdecydowałam się” to za dużo powiedziane – odparłam.

– Jak więc by pani to ujęła?

– „Wykorzystałam nieumyślnie”. To mój pierwszy film, wciąż szukam swojego głosu.

– Cóż, pani głos zakrawa na komediowy.

Nagle podszedł do mnie Mario.

– Dzwoni pani matka.

– Coś się stało? – zapytałam Mamę.

– Maysa nie chce usiąść na nocniku. – Mama była naprawdę zagniewana.

– Ma pewne problemy z korzystaniem z nocnika – przyznałam, mając na myśli to, że odmawia współpracy na całej linii.

– A Inaya nie chce pić z butelki – dodała zgnębiona Mama.

W tle rozlegały się mrozzące krew w żyłach wrzaski.

– Umiera z głodu, musisz natychmiast wrócić do domu. W przeciwnym razie, klnę się na Allaha, nigdy więcej nie zaopiekuję się żadnym z twoich dzieci.

– Muszę lecieć – poinformowałam Mario.

– Pewien dziennikarz telewizyjny chce przeprowadzić z panią wywiad.

Zerknęłam na piersi. Mleko kapało mi na spodnie, a chusteczki higieniczne wymsknęły się spod bluzki. Mario odsunął ode mnie czubki eleganckich butów.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

– Mam w domu czteromiesięczne dziecko. Moje piersi nie przywykły do uczucia takiej pełności. Naprawdę muszę już iść. – Złapałam płaszcz i wybiegłam, pozostawiając za sobą ślad z mokrych chusteczek niczym karmiący Kopciuszek.

Nazajutrz Mario zatelefonował ponownie.

– Jak się pani miewa? – zapytał.

– Dobrze. Niech pan posłucha, jestem wdzięczna za umieszczenie mojego filmu w programie festiwalu. To z pewnością wymagało wiele odwagi. Uświadomiłam sobie wreszcie, że jest trochę... bardzo amatorski.

Tak brzmiała najdalej idąca samokrytyka, na jaką było mnie stać. Mario westchnął.

– Film ma swoje zalety – powiedział. – Kibicuje mu się wbrew jego brakom... – Tak brzmiała najdalej idąca pochwała, na jaką potrafił się zdobyć. – Dziennikarze nadal chcą z panią rozmawiać – dodał.

– Dziś po południu wracam do domu – oznajmiłam. – Da się to załatwić przez telefon?

– Oczywiście. Co pani zamierza dalej robić?

– Spróbuję przekonać upartą dwulatkę do używania nocnika – rzuciłam, wymierzając klapsa w pieluchę Maysy.

– Miałem na myśli pani karierę.

– Od czterech miesięcy nie mam chwili dla siebie.

– Czy wolno mi coś zaproponować?

– Zamieniam się w słuch.

– Proszę wystąpić o finansowanie. Następny film niech pani nakręci z udziałem prawdziwych aktorów i prawdziwej ekipy. I proszę sobie załatwić opiekunkę do dziecka.



Kilka miesięcy później Samiul i ja oglądaliśmy telewizję w naszym nowym domu w Calgary. Akurat leciał reportaż o Taslimie Nasrin, bengalskiej pisarce, na którą jacyś ekstremiści nałożyli fatwę.

– Muzułmanie potrafią być tacy ograniczeni – powiedziałam do męża.

– Nie bądź dla nas zbyt surowa – odparł.

– Chcę nakręcić film o fatwie i śmierci – oznajmiłam. – To aż się prosi o satyrę.

– Skoro tak mówisz...

Gdybym napisała szybko scenariusz i zebrała fundusze, zdołałabym nakręcić swój nowy obraz w samą porę na najbliższy Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Toronto, który miał się

odbyć za dwa lata, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

Sięgnęłam po kalendarz i zaczęłam odliczać miesiące wstecz.

– Co robisz?

– Kiedy mój film trafi na ekrany, powinnam być w ciąży, żeby uniknąć kłopotów z zagłodzonym dzieckiem i masą wilgotnych chusteczek.

– Zdecydujemy się na dziecko pod kątem terminu festiwalu filmowego? – zapytał zaskoczony Samiul.

– To jedyny sposób na oszczędzenie kłopotów Mamie – powiedziałam. – A ty, moja panno – zwróciłam się do Maysy – nauczysz się wreszcie korzystać z nocnika.

– Nie lubię nocnika! – krzyknęła Maysa i dała nogę.

– Jesteś pewna, że chcesz mieć następne dziecko? – zapytał Samiul. – Bo nasze życie jest chyba wystarczająco szalone z tą dwójką...

Inaya zwymiotowała na mnie mleko. Znowu.

– Faj, dlaczego ona to wiecznie robi? – zapytałam, wzdychając, po czym przekazałam małą Samiulowi, żeby pójść na górę i przebrać się w czyste ubranie.

Ledwie weszłam na piętro, zadzwonił telefon. Był to Mario – zły jak zwykle.

– O co chodzi tym razem? – zapytałam, ściągając bluzkę.

– Przeprowadziła się pani, nie pozostawiając mi nowego numeru.

– A, tak. Przepraszam. – Zrobiło mi się głupio. – Domyślałam się jednak, że mój brat znowu pana poratował w potrzebie.

– Owszem, trzymamy jego numer telefonu w naszej bazie danych. Muzammal sprawia wrażenie kotwicy w pani życiu... – Po chwili przerwy podjął: – Paru dziennikarzy chciałoby z panią porozmawiać. Może mi pani obiecać, że nie zmieni pani numeru przez najbliższe kilka dni?

– Obiecuję. – Włożyłam suchą koszulkę. Byłam gotowa przysiąc, że moja skóra wydzielala zapach kwaśnego mleka. – Mogę pana o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Czy pańskim zdaniem nadaję się na filmowca?

Czekam na jego słowa z zapartym tchem.

– Brakuje pani jednej rzeczy, którą sprezentuję pani pocztą.

– Co to takiego?

– Perfumy.

Stanowisko w sprawie obrzezania

Po raz pierwszy wzięłam na ręce swojego nowo narodzonego syna. Był pulchniejszy i spokojniejszy od siostr, ale roztaczał ten sam zniewalający zapach noworodka. Ważył równe cztery pięćset, przez co poród nie był już taki łatwy jak w wypadku dziewczynek. Podziwiając dziecko, w pewnej chwili coś zauważyłam.

– Samiul! Spójrz na jego członek! Jest zdeformowany... wygląda jak robak. Wiesz może o jakimś defekcie genetycznym w swojej rodzinie, bo u mnie nikt się na nic takiego nie skarżył.

Mój mąż przyjrzał mi się z niedowierzaniem.

– Tak wygląda nieobrzezany członek – wyjaśnił sucho.

– Naprawdę?

Wiedziałam, że muzułmanie podlegają obrzezaniu, lecz nigdy nie widziałam nieobrzezanego penisa, ponieważ wszystkie, z jakimi miałam do czynienia, były obrzezane.

– Właśnie wydałam na świat swój pierwszy nieobrzezany członek – powiedziałam.

Gdy Maysa i Inaya przyszły do szpitala obejrzeć swojego braciszka, Inaya momentalnie stała się zazdrosna. Przekazałam więc noworodka Samiulowi, a sama wzięłam ją na ręce. W tym czasie Maysa przyglądała się, jak Samiul zmienia Rashadowi pieluszkę.

– Ma pępuszek w złym miejscu – obwieściła zaskoczona dziwną anatomią brata.

Mama, która od miesiąca była z nami w Calgary, przeszła od razu do rzeczy.

– Natychmiast zamówcie obrzezanie.

– Dziewczynek nie poddaje się obrzezaniu – zaproponowałam.

– Dziewczynek nie, ale chłopców tak.

– Możemy to wpierw omówić?

– Możecie sobie rozmawiać, ile chcecie – powiedziała Mama – ale on i tak zostanie obrzezany.

Byłam zmartwiona. Nasłuchiwałam się strasznych historii.

– Maha opowiadała mi, że daleki kuzyn dziadka wujecznego jej przyjaciela miał członek przypalony jak zbyt długo pieczony na ognisku hot dog – zwróciłam się do Samiula, chcąc, aby chociaż przemyślał tę sprawę. Penis noworodka jest tak mały i delikatny, że nie ma tam miejsca na fałszywe ruchy.

Jednakże mój mąż sam był obrzezany i nie widział powodów do niepokoju.

– To bardzo prosty zabieg – powiedział Samiul. – Rzadko kiedy coś idzie nie tak.

Szpital polecił nam doktora Weinerja, który był najlepszym specjalistą od obrzezania w mieście. Ledwie weszliśmy do jego gabinetu, naskoczyła na nas jego asystentka.

– Nazwisko wymawia się „Wejner”, nie „Winer” – podpowiedziała usłudźnie.

Wejner, Wejner, Wejner – powtarzałam w duchu, żeby nie dać plamy. Mimo to w głowie miałam cały czas obraz przypalonych winerek.

Tymczasem asystentka wprowadziła nas do pokoju zabiegowego, gdzie poleciła mi zdjąć pieluszkę Rashada i podać mu parę kropli tylenolu. Przymknęłam oczy, aby uwiecznić w pamięci obraz robaczka, do którego zdążyłam się już przywiązać.

Do pokoju wkroczył przyjaźnie wyglądający lekarz.

– Witam, nazywam się doktor Weiner.

– Czy kiedykolwiek uciął pan członek? – zapytałam go.

– Przepraszam za moją żonę – powiedział Samiul.

– Nie ma powodu przeproszać. Często to słyszę. – Zwracając się do mnie, dodał: – Nie, nigdy nie uciąłem penisa podczas zabiegu. Malec nic nawet nie poczuje. – Doktor Weiner najwyraźniej był przyzwyczajony do pytań rozhisteryzowanych matek, nadmiernie opiekuńczych wobec wypustek synowskich ciał.

Lekarz wyciągnął niewielkie urządzenie, które przypominało gilotynę dla myszy.

– Jest pan pewien, że to urządzenie nie utnie przypadkiem czubka jego przyrodzenia? Bo mnie nie wydaje się to całkiem bezpieczne. Może byśmy najpierw spróbowali na panu.

Samiul i doktor Weiner popatrzyli na mnie, a potem wymienili spojrzenia.

– Czy już za nią przeproszałem? – zapytał Samiul.

– Przywykłem – rzekł doktor Weiner. – Ale pańska żona ewidentnie bardzo się denerwuje. Może jednak powinna poczekać na zewnątrz?

– Wciąż tu jestem i nigdzie się nie wybieram – oznajmiłam. Gdy doktor Weiner przysunął urządzenie do przyrodzenia mojego syna, zamknęłam oczy i pisnęłam współczująco: – Au!

– Jeszcze nawet nie zacząłem – stwierdził lekarz.



Urodziłam jeszcze jednego chłopca, który także został obrzezany. Kilka lat później, gdy Samiul i ja oglądaliśmy *Kości*, nie potrafiłam się skupić. Przeczytałam niedawno pewien artykuł w gazecie i nie miałam pojęcia, jak poruszyć ten temat. Usiłowałam się skoncentrować na larwach pożerających zwłoki, lecz myślami cały czas krążyłam wokół pytania, które formowało się w moim umyśle. W końcu wypaliłam:

– Czy czujesz się okaleczony?

– Słucham? – Osłupiały Samiul włączył stopklatkę.

– Chodzi mi o twój członek. Czujesz się okaleczony seksualnie? Czytałam artykuł o mężczyźnie, który twierdzi, że nie dał swojej zgody na usunięcie napletka, czuje się okaleczony i ma fatalne życie seksualne.

Samiul westchnął.

– Mojemu życiu seksualnemu nic nie dolega.

– Mojemu także. – Kiedy Samiul mi się przyjrzał, dodałam: – Jestem z niego bardzo zadowolona.

– To dobrze – skwitował i włączył film.

– Gdybyś chciał, mógłbyś przymocować do swojego członka ciężarki, dzięki czemu napletek by się naciągnął. Nie byłoby tak jak wcześniej, ale...

Samiul ponownie zastopował film.

– Nie czuję się okaleczony. Nigdy nawet o tym nie myślę i wolałbym nie rozmawiać na ten temat.

Puścił znowu film.

– Ale co będzie, jeśli nasi synowie uznają w przyszłości, że zostali okaleczeni? Co im wtedy powiemy?

– Coś takiego nigdy nie przyjdzie im do głowy, chyba że będziesz w kółko o tym gadać.

Rozważałam wszystko w duchu przez jakiś czas, głównie zastanawiając się, do czego można by przymocować ciężarki. Czyżby szły one w parze z miniaturowymi spinaczami? A czy to przypadkiem nie szczypie?

– Samiul, daj mi spojrzeć na swój członek. Chciałabym sprawdzić, czy przymocowanie ciężarków jest w ogóle możliwe. Nie wydaje mi się, żeby zostało tam dość skóry, żeby cokolwiek można do niej przyczepić.

– Ręce precz od mojego penisa! Jeśli nie przestaniesz o tym mówić, wyłączę film i zamiast niego będziemy oglądać wieczorne wiadomości.

– Czyli nie zdejmiesz spodni?

– Nie!

Zaczytałam rozumieć, czemu muzułmanów uważa się za podleców.

Wróciliśmy do oglądania filmu. Byłam pewna, że Seeley jako praktykujący katolik pochwalaby obrzezanie. W Koranie nie ma wzmianki o obrzezaniu czy to chłopców, czy dziewczynek. Krążą jednak opowieści, że prorocy byli obrzezani i że stąd pochodzi ten zwyczaj. No ale oni żyli na pustyni, gdzie nie ma wiele wody, w związku z czym obrzezanie było im na rękę. Samiul spostrzegł, że nie mogę się skupić na filmie. Westchnął i raz jeszcze zatrzymał nagranie.

– Wierz mi, gdyby mężczyźni uważali, że obrzezanie w negatywny sposób wpływa na ich seksualność, nigdy nikomu by nie pozwolili choćby dotknąć swoich penisów. Jako płęć uciskamy kobiety, lecz o siebie nawzajem dbamy.

Uznałam, że ma rację, i odpuściłam.

Jedząc lazanie nazajutrz wieczorem, nasz syn Zayn był wyjątkowo podekscytowany.

– Zgadnijcie, co dzisiaj odkryłem!

– Że jesteś matolem? – podsunęła Inaya.

Zayn czuł zbyt nieudanie, żeby dać się sprowokować starszej siostrze.

– Koledzy powiedzieli mi, że muszą odciągać skórę przed sikaniem, a ja im powiedziałem, że nie mam czego odciągać!

No proszę, sprawa napletka jednak sama wypłynęła. Odchrząknęłam i posłałam spojrzenie Samiulowi. Zamierzałam się tym zająć.

– Wyglądaliście jak robaczki – powiedziałam chłopcom. – To znaczy wasze członki

wyglądały jak robaczki.

– I co się stało? – zapytali obaj.

– Zostaliście obrzezani – wyjaśniłam nerwowo.

– Zatem nie urodziliśmy się tacy? – zapytał Rashad.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – wtrącił Samiul.

– Ale ci to nie przeszkadza, co? – zapytałam.

Inaya przewróciła oczyma.

– A kogo obchodzi, czy mu to przeszkadza czy nie? Gdybyście ich nie obrzezali, ich penisy szcerniałyby od zakażenia i odpadły.

– Coś takiego jest możliwe? – zaciekał się Zayn.

– Nie – odparł Samiul. – Ale gdybyście mieli napletek, musielibyście dbać o jego higienę.

– Akurat – prychnęła Inaya. – Oni nie myją nawet twarzy ani zębów. Już to widzę, jak by się tam myli.

– Jak to: nie myją zębów? – Ogarnął mnie niepokój. – Kiedy ostatnio myłeś zęby? – zwróciłam się do Zayna.

– W zeszłym tygodniu – odparł z dumą.

Tego wieczoru przy *Herosach* doznałam olśnienia.

– Gdybyśmy nie obrzezali chłopców, co by to znaczyło?

– Musielibyśmy ich nauczyć odciągać napletek i myć się pod spodem – powiedział Samiul, wduszając przycisk pauzy.

– Nie dałabym rady – powiedziałam. – Wystarczy mi, że po całych wakacjach znajduję w torbie ich drugie śniadanie w zaawansowanym stanie rozkładu. Mycie członka to by było dla mnie za dużo.

– Ale co będzie, jeśli dorastając, dojdą do wniosku, że zostali okaleczeni? – zapytał Samiul.

– Kupię im miniaturowe ciężarki, żeby wyhodowali sobie nowe napletki.

– Zmieniłaś stanowisko w sprawie obrzezania? – Zdziwił się.

– Całkowicie. Nigdy więcej nie poruszę tego tematu.

– To dobrze – stwierdził Samiul.

W tej samej chwili chłopcy zeszli z góry z triumfującymi minami.

– No dobra – odezwał się Zayn. – Czujemy, że należy nam się zadośćuczynienie za to, że zrobiliście coś bez naszej zgody.

– Czy ty w ogóle wiesz, co oznacza „zadośćuczynienie”? – upewnił się Samiul.

– Sprawdziliśmy w Internecie – odparł Rashad, wyciągając kartkę. – To oznacza „moralne lub materialne odszkodowanie”.

– A ponieważ pozbawienie nas napletka było niemoralne, domagamy się odszkodowania pieniężnego – dodał Zayn.

– Naprawdę chcecie zadośćuczynienia za usunięcie napletka? – zapytał Samiul.

– Chcemy pieniędzy – sprostował Rashad.

– Albo równowartości w cukierkach – dorzucił Zayn.

– A co powiecie na to? Zdaniem waszej matki można sobie wyhodować napletek.

– Naprawdę? – zapytali chórem.

– Naprawdę. Przyczepię wam do członków spinacze biurowe, po czym zawieszę na nich

piloty do Wii. Za parę miesięcy będziecie mieli swoje napletki z powrotem.

– To będzie bolało – sprzeciwił się Zayn.

– Bez pracy nie ma kołaczy.

Chłopcy popatrzyli po sobie wzajemnie.

– A nie moglibyśmy dostać po pięć dolarów? – zaproponował Rashad.

– Co sobie za nie kupicie? – zapytałam, gdy Samiul wręczał im banknoty.

– Żelki – odparł Zayn.

Nie miałam nic przeciwko temu.

Blues dzbankowy

Słyszeliście, że katolicy mają bzika na punkcie grzechu? No więc muzułmanie mają bzika na punkcie mycia narządów intymnych. To ociera się wręcz o patologię. Szorujemy nasze fujarki, jajka i bułeczki, jakby były znaczkami na maskach drogich samochodów. To stawia w całkiem nowym świetle „pucowanie klejnotów rodzinnych”.

Skutkiem tego w każdym muzułmańskim domu godnym tej nazwy nieopodal sedesu stoi jakieś naczynie na wodę, które trzeba napełniać przy umywalce pozostającej najlepiej w zasięgu rąk siedzącej osoby. Właśnie to kazało mi zawlec podówczas ośmiomiesięcznego Zayna na górę częściowo ukończonego domu w Reginie – chciałam porozmawiać z Dougiem, budowlańcem, który akurat stał w mojej rozbabranej łazience.

- Wróciłam – oznajmiłam radośnie.
- Widzę – odparł Doug bez entuzjazmu.

Przypadło mu niegodne pozazdrosczenia zadanie wybudowania obok siebie dwóch domów: dla nas i dla rodziców Samiula, na działce, którą kupiliśmy w Reginie. Przez minione kilka tygodni dręczyłam Douga przeróżnymi prośbami, tak że obecnie marzył tylko o tym, aby skończyć ten dom i już nigdy więcej mnie nie oglądać. Byłam wrzodem na jego wątpliwie czystym tyłku.

Moje poprzednie prośby były, przynajmniej, idiotyczne. Czy dach może być superspadzisty jak w chatce Jasia i Małgosi? Nie, ponieważ to by się wiązało z zapłatą ekstra dla dekarzy, a poza tym projekt przewidywał co innego. Albo czy gniazdko elektryczne mogą być w połowie ściany, żeby nie musiała się schylać, włączając odkurzacz? W końcu Doug uszczęśliwił mojego teścia takim gniazdkiem, żeby mógł podświetlić gigantyczne oprawne zdjęcie Kaaby, które kupił sobie na pielgrzymce. Fotografia ta była kwintesencją islamskiego kiczu: ukazywała nie tylko Kaabę, ale też sąsiednie budynki, w tym cztery minarety, w które wkomponowano nigdy niegasnące miniaturowe – czerwone i żółte – żarówki.

- To jest szczyt tandety – powiedziałam. – Naprawdę ułatwiłeś mojemu teściowi jej zawieszenie na ścianie?
- To jest jego obrazek – odparł Doug. – Skoro mu się podoba, może go sobie wieszać, gdzie chce.
- Ale te migające światełka to zagrożenie dla zdrowia – upierałam się.
- Niby jak? – zapytał Doug.

– Ilekroć patrzę na to zdjęcie, czuję zbliżający się atak padaczki fotogennej.

Doug mnie zignorował. Traktował mojego teścia, jakby ten był Bogiem, na mnie zaś nie zwracał uwagi, jak nie zwraca się uwagi na irytującego świętego od zbitych palców. Mogłam zapomnieć o wysoko umieszczonych gniazdkach elektrycznych i o bajkowym dachu.

Gwoli prawdy to dobrze, że nie posłuchał moich żądań, by postawić dom rodem z baśni braci Grimm. Zaczytywałam się czasopismami wnętrzarskimi i usiłowałam wcielić ich rady w życie, nierzadko mieszając je z fatalnym skutkiem. Bo czemu by barwna ściana nie miała iść w parze z barwną fugą? Do kafelkowej podłogi na górze wybrałam ciemnopomarańczową fugę, która niestety po wyschnięciu stała się odblaskowa jak szkolny autobus moich dzieci. Doug był zmuszony zaszpachlować ją innym kolorem, aby uniknąć zrywania całej posadzki. Do czasu, jak zamontowaliśmy schody – ja z Zaynem na rękę – Doug miał mnie serdecznie dość.

Tym razem jednak moja prośba była poważnej natury. Od niemowlęctwa wszyscy muzulmanie są tak szkoleni, by wysiedzieć cierpliwie na sedesie, załatwić, co mają do załatwienia, użyć papieru toaletowego dla drugiego dania, po czym energicznie się podmyć wodą z dzbanka stojącego dogodnie w pobliżu toalety. I tak, nawet chłopcy muszą sikać na siedząco. Biali ludzie mogą sobie twierdzić, że islam jest zacofaną religią, ale przynajmniej szariat zmusza naszych mężczyzn do opuszczania deski i siadania na niej – i na pewno nie zamierzamy z tego zrezygnować, skoro dzięki temu nasze łazienki jakoś wyglądają. Religia ma jednak swoje dobre strony.

Czyste jak łąza pupy są kluczowe, podobnie jak członki i pochwy w zależności od płci. Wszystko to część *fitry*, która nakazuje także przycinać paznokcie u rąk i nóg, włosy pod pachami, włosy łonowe i wąsy. (Ostatnie przykazanie dotyczy mężczyzn, chociaż sprawdza się też w wypadku niektórych kobiet). Nie mogłam pozwolić, żeby Doug mnie zlekceważył.

– Sedes musi stać w bezpośredniej bliskości umywalki – zapowiedziałam.

– Tak to zazwyczaj bywa – odparł.

– Muszę móc sięgnąć do kranu w pozycji siedzącej – dodałam, nie chcąc się rozwodzić.

Było jasne, że Doug nie traktuje mnie poważnie. Zrozumiałam, że będę musiała wyznać mu prawdę, przez co czułam się tak, jakbym zdradzała jakiś mroczny sekret. Na przykład to, że mam drugi pępek. Ostatecznie postanowiłam po prostu wyrzucić to z siebie.

– Wiesz, po wszystkich myjemy pupy, tak że konieczne jest napełnienie dzbanka wodą jeszcze na siedząco. Łażenie po łazience z opuszczonymi majtkami byłoby raczej niewygodne.

Doug przyglądał mi się przez chwilę. Wiedziałałam, co sobie myśli. Gospodarka kulała, a to było popłatne zlecenie – z dziwaczną religią czy bez niej. Mimo to wyglądał na przerażonego. Dobrze rozumiałam, co czuje. Będąc małą dziewczynką, zapytałam rodziców, czemu biali nie trzymają przy sedesie dzbanka. Ponieważ nie używają wody, usłyszałam. To czego w takim razie używają? Tylko papieru toaletowego. Lepiej było o tym nie myśleć... Dopiero Doug wyrwał mnie z tych rozważań.

– Czemu nie zamówicie sobie sedesu, który ma funkcję podmywania? – zapytał.

To było celne pytanie.

– Nie mam zaufania do tego rodzaju sedesów. Co by było, gdyby człowiek nacisnął nie ten guzik i oparzył się wrzątkiem? Pupa to jednak delikatna część ciała.

– W jakiej odległości od umywalki ma być sedes? – zapytał zrezygnowany Doug.

Odniosłam zwycięstwo. Dla ułatwienia przyniosłam ze sobą dzbanek, aby dokonać

prezentacji. Ponieważ jednak trzymałam dziecko, Doug przykucnął w miejscu przyszłego sedesu i wyciągnął rękę z dzbankiem do przyszłej umywalki. Udał, że odkręca kurek i napełnia dzbanek, po czym przysunął go do swojego krocza.

– Tak dobrze? – zapytał.

– Doskonale – odparłam. Doug powiódł za mną spojrzeniem. Wpatrywałam się w jego krocze, choć na swoje usprawiedliwienie mam to, że celował w nie dzióbkiem dzbanka. – Miałam na myśli wodę, nie twoje...

Doug pośpiesznie odsunął od siebie dzbanek. Nie potrzebował tego rodzaju kłopotów. Jak by to w ogóle wytłumaczył komisji ze związku zawodowego budowlańców? „Proszę nam jeszcze raz opowiedzieć, dlaczego dokładnie celował pan dzióbkiem dzbanka w swoje krocze?”. Postanowiłam zmienić temat.

– Kiedyś używaliśmy plastikowych dzbanków, takich, w jakich trzyma się mleko albo sok.

– Stare dobre plastikowe dzbanki. – Doug był zadowolony, że znów stąpamy po neutralnym gruncie.

– Tak, ale czasami zapominało się, który do czego służy. Pamiętam, że raz mój mąż poszedł na przyjęcie do meczetu i zobaczył, jak podają poncz owocowy w takim samym dzbanku, z jakich korzystało się na muzułmańskim obozie letnim.

– Powinniście je sobie jakoś opisywać – stwierdził, wyraźnie sobie konotując, żeby nie chodzić na przyjęcia do meczetu.

– Ten konkretny miał wypisane MOL dużymi czarnymi literami, ale to... jak widać... nie wystarczyło. Kiedy teraz o tym myślę, uważam, że powinni je opisywać DDMG, dzbanek do mycia genitaliów, czy jakoś tak.

Mój mąż do tej pory nie wrócił do siebie. „To było straszne” – powtarza nawet teraz, dwadzieścia parę lat później.

– Chyba nie słyszałem w życiu obrzydliwszej rzeczy – zgodził się Doug.

Na te słowa aż się wyprostowałam. Jak on śmie, ten brudas z nieumytym dupskiem, krytykować nasze tradycje?

– Tak naprawdę dzbanek nie dotyka... no wiesz czego... tylko polewa... sam wiesz co. Zatem szkoda została wyrządzona tylko na poziomie psychiki.

Zapadło niezręczne milczenie. Doug popatrzył na trzymany w ręku dzbanek.

– Podoba mi się. Ma dzióbek – powiedział.

– Tak, łatwiej takim wycelować. Trzeba tylko uważać, żeby się nie nadziać.

Pomyślałam, że pewnie dlatego muzułmanie nie piją alkoholu: nie mogą sobie pozwolić na zachwianie równowagi ręka – oko – genitalia.

– Niektórzy muzułmanie – dodałam – celują z dzbanka, jak biali ludzie z karabinu. Osobiście uważam to za niesmaczne. Tylko śniada hołota to robi. Bo jak wytłumaczyć lekarzowi na pogotowiu plastikowe odłamki w penisie?

– Zawsze można wszystko zwalić na pośpiech – podsunął Doug.

– Genitaliów nie należy myć w pośpiechu. Trzeba przeciągać chwilę, rozkoszować się nią.

Doug milczał.

– Ostrożności nigdy za wiele. Miałam przyjaciółkę, która na złość siostrom lała do dzbanka wrzątek. – Doug zdawał się coraz mniej z tego rozumieć. – Zmierzam do tego, że trzeba zachować czujność. I nigdy, przenigdy nie kroić papryczek chilli przed podmywaniem.

Doświadczylam tego na własnej skórze, gdy raz chciałam przyrządzić dla teściowej curry krewetkowe.

– Domyślam się, że paliło – wydukał Doug, przemyślawszy konsekwencje.

– I to jak. Ale z drugiej strony pomogło na infekcję grzybiczą. – Zaczepnęłam tchu. – Też powinieneś trzymać dzbanek z wodą koło sedesu.

– Ktoś by go stamtąd zabrał.

– Tak, mój mąż co lato drze się z łazienki, bo dzbanek znika. Jedno z dzieci używa go do podlewania kwiatków. W podróży jest jeszcze gorzej. Zostawiam butelkę z wodą koło toalety, lecz pokojówka zawsze ją wyrzuca. Czasami w hotelu używamy papierowych kubeczków. Ostatnio widziałam skecz komika nazwiskiem Azhar Usman, który żartował sobie z dzbanka do kawy...

– Co?!

– Powiedziałaś, że używamy papierowych kubeczków, ale...

– Używacie dzbanków do kawy?

– Cóż, są odpowiedniej wielkości i mają dzióbek.

– Nie wydaje mi się, żeby pokojówki myły dzbanki do kawy.

– Nie brudzimy ich.

– Jak możecie robić coś takiego innym ludziom?

– Przecież niczego tak naprawdę nie dotykamy...

– Nie chcę pić kawy z naczynia, które było tam, na dole! – krzyknął.

Teraz to ja poczułam się niezręcznie.

– Obiecuję, że nigdy więcej nie użyję hotelowego dzbanka do kawy – rzekłam uroczyście.

– Lepiej poradź to samo swoim przyjaciółom.

– Tak, roześlę wszystkim muzułmanom specjalny biuletyn.

– Świetnie. – Nie poznał się na żarcie.

Biali ludzie... Najwyraźniej dobrnęliśmy do końca rozmowy o myciu genitaliów. Przynajmniej dorosłych.

– Miałam też nadzieję myć dziecięcą... myć dziecko. Mógłbyś więc przesunąć umywalkę nieco w prawo, żeby było dość miejsca, aby je położyć?

Doug zerknął na Zayna, po czym wyciągnął taśmę mierniczą i zmierzył go obojętnym ruchem. Położyłam materacyk na surowej pilśniowej płycie i odwróciłam Zayna, żeby jego pupa znalazła się pod przyszłym kranem. Zorientowałam się, że Doug spokojniej podchodzi do dziecięcych potrzeb niż do moich. Jakby nigdy nic zaznaczył, gdzie powinna zawisnąć umywalka, podczas gdy Zayn machał nóżkami w powietrzu.

– Uważam, że znacznie zdrowiej dla środowiska jest myć dziecko bezpośrednio pod kranem, zamiast używać tych wszystkich nawilżanych chusteczek. – Nagle mnie olśniło: może biali ludzie sami wykorzystują nawilżane chusteczki? To by miało sens. Wyraźnie zawstydzłam Douga, imputując mu, że jego higiena osobista pozostawia wiele do życzenia. Pomyślałam więc, że zachęcę go do zwierzeń na temat własnych przyzwyczajzeń. – Jestem pewna, że nawilżane chusteczki doskonale się sprawdzają w wypadku osób dorosłych. Próbowalesz je kiedyś stosować?

Doug nie odpowiedział. Bez łaski. W pewnej chwili spostrzegłam, że zbiera się w sobie.

– Mężczyźni też się podmywają? – zapytał.

- Oczywiście. Dlaczego by się mieli nie podmywać?
- Nooo... Przecież mężczyźni stoją i potem tylko strzepują...
- Muzułmanie ani nie stoją, ani nie strzepują – odparłam z całym oburzeniem, na jakie mnie było stać. – Siedzą jak wszyscy. W łazience panuje demokracja.
- Katujecie mężczyzn – stwierdził.
- W łazience tak – przyznałam.

Kolejna chwila ciszy.

– Właśnie przyjechała wanna – oznajmił w końcu Doug, wskazując na dużą białą plastikową nieckę z płatami białej wykładziny, która miała pójść na trzy ściany wnęki łazienkowej. Brak kafelków oznaczał brak fugi. (Doug wyniósł lekcję). Wanna chwilowo odwróciła moją uwagę. Doug zamówił ją bez pytania mnie o zdanie. Pewnie dlatego, żeby uniknąć rozmowy ze mną.

Wtem przypomniałam sobie o jeszcze jednej sprawie związanej z myciem...

– Po seksie muzulmanie muszą się cali wykapać. *Ghusl* to obmycie wodą każdej części ciała, nie tylko narządów płciowych.

Odwróciwszy się, zobaczyłam, że Doug zniknął. Lepiej by było, gdybym ograniczyła się do kwestii podmywania.

Skrzynia transportowa

– Włącz telewizję – powiedziała Sabreena.

Aparat trzymałam brodą, równocześnie starając się umyć umorusaną jedzeniem buzię Zayna przy zlewie w kuchni.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Czyżby był mecz?

Sabreena wraz z rodziną przeniosła się na początku września do Bostonu, którego chlubą była drużyna New England Patriots.

– Włącz telewizję – powtórzyła dobitnie.

– Dobra. – Westchnęłam i złapałam pilota.

Przyglądając się, jak samolot wpada w wieżę, w głowie miałam tylko jedno: „Spraw, żebyśmy to nie byli my!”.

Reporter wspomniał o wątku muzułmańskim. Zrobiło mi się trochę słabo, odstawiłam więc na ziemię Zayna, który odpełził, żeby się pobawić samochodzikami. Musiałam sobie raz po raz przypominać, że nie mam z tym nic wspólnego. Przez cały dzień siedziałam w domu, a poza tym nie umiałam latać samolotem. Jednakże wewnątrz czułam kolektywne poczucie winy i strach. Rozłączyłam się, odetchnęłam głębiej kilka razy i dokonałam oceny sytuacji. Znajdowałam się w Saskatchewan. Roczny Zayn z fascynacją kręcił kółkami plastikowej ciężarówki, pozostała trójka dzieci przebywała w szkole i w przedszkolu. Zerknęłam na zegarek – była właśnie pora dużej przerwy. Moje córki biegały po boisku, bawiąc się z koleżankami, z których wszystkie wiedziały, że Maysa i Inaya są muzułmankami. Kwestie religii nie miały znaczenia na szkolnym boisku. Mimo to wołałam się upewnić. Sięgnęłam po telefon.

– Dziewczynkom nic tu nie grozi – zapewniła mnie łagodnie sekretarka. – Nie musi się pani niczym martwić.

– Proszę kogoś posłać na boisko, żeby sprawdził, czy nic im nie jest – poprosiłam.

Kobieta westchnęła.

– Właśnie jest przerwa, ale dobrze, pójdę sprawdzić.

Oddzwoniła parę minut później.

– Obie czują się doskonale. Maysie jest przykro, że przehandlowała kanapkę z kurczakiem za batonik ryżowy, a Inaya twierdzi, że Breanne sama sobie zasłużyła na uderzenie w nos.

Ulżyło mi. Moje córki jak zwykle swawoliły.

– Natychmiast byśmy panią zawiadomili, gdyby ktoś im coś powiedział. – Sekretarka chyba czytała w moich myślach.

Podziękowałam jej i rozłączyłam się. Resztę przedpołudnia spędziłam na gapieniu się w telewizor i zamartwianiu. Oderwałam się tylko na chwilę, żeby podać Zaynowi miseczkę płatków, ponieważ w przeciwnym razie umarłby z głodu. Co sobie o nas pomyślą sąsiedzi? Będą niezadowoleni, że mieszkają obok jedynych muzułmanów w okolicy?

Z tych rozważań wyrwał mnie telefon.

– Dzwonię z przedszkola – rzekła kobieta. – Rashad czeka na panią w moim gabinecie. Przyjedzie pani po niego? Minęło już pół godziny i Rashad jest bardzo zdenerwowany.

– Już jadę. – Rzuciłam pilota na kanapę, po czym zaklęłam: – A niech to szlag!

Usadowiłam Zayna w foteliku samochodowym i przycisnęłam gaz do deski. Na miejscu zastałam Rashada bawiącego się klockami pod okiem wychowawczynie.

– Przepraszam – rzuciłam, porywając starszego syna na ręce i wtulając twarz w jego włosy. – Jacyś terroryści wlecieli samolotem w nowojorskie wieże, z czym nie miałam nic wspólnego, i wiadomości zaabsorbowały mnie do tego stopnia, że...

– Słyszałam o tym. Wszyscy są dzisiaj nie w sosie. – Wychowawczynie pokiwała głową. – Skoro już się widzimy, pozwoli pani, że zapytam o udział Rashada w wycieczce.

Cholera.

– Zostawiłam ją w domu. Całkiem o niej zapomniałam przez te okropieństwa, które się dzieją.

– Zbierałam je w ubiegłym tygodniu – rzekła delikatnie wychowawczynie. – Mam tu kilka zapasowych formularzy... – Wręczyła mi kilka kartek. – Załatwmy od razu sprawę reszty wycieczek w tym semestrze.

Szybko podpisałam wszystkie druczki. Co za zorganizowana osoba! Nawet w obliczu takiej katastrofy myśli o tym, aby zabrać swoich podopiecznych do centrum nauki i do minizoo.

Jak tylko dotarliśmy do domu, wyłożyłam na blat niskiego plastikowego stolika zestaw kredek i ryzę papieru, dodając dla pewności opakowanie chipsów ziemniaczanych i paczkę żelków, żeby chłopcy byli cicho i dali mi w spokoju obgryzać paznokcie przed telewizorem. Kanada była moją ojczyzną, lecz nagle poczułam, że coś się zmieniło. Przy liczbie ofiar sięgającej tysiący nic nie mogło być takie jak wcześniej.

Gdy Samiul wrócił z pracy, naskoczyłam na niego, ledwie zdjął płaszcz. Przedtem postarałam się o to, żeby Zayn i Rashad nas nie usłyszeli.

– Dotychczasowe życie się skończyło – obwieściłam spanikowana.

– Nadreagujesz – powiedział Samiul, spoglądając w stronę chłopców.

Zayn włożył głowę do opakowania po chipsach i zlizywał ze ścianek sól. Samiul podszedł do niego i zdjął mu torebkę z głowy. Rashad dla odmiany wybierał z włosów żelki i wkładał je sobie do buzi.

– Nie, to ty niedoreagujesz – odparłam.

– Jestem pewien, że ludzie widzą różnicę między nami i terrorystami. – Samiul strzepywał okruszki z obu chłopców.

– W obecnej chwili ludzie są wściekli – powiedziałam. – Nigdy nam nie wybaczą.

– Nie zrobiliśmy nic złego, nie potrzebujemy więc niczyjego przebaczenia – zaczął mi tłumaczyć Samiul, ostrożnie rozprostowując moje palce, żeby uwolnić pilota.

W tej samej chwili na zewnątrz zatrzymał się szkolny autobus. Zaraz do domu wpadły dziewczynki. Podbiegłam do nich, żeby sprawdzić, czy nowojorski atak nie wywołał u nich

traumy. Gdy chciałam je zamknąć w objęciach, odepchnęły mnie.

– Dlaczego śledzisz nas na boisku? – zapytała rozszalona Maysa. – Przez ciebie musiałam oddać batonik ryżowy. Ty nigdy mi ich nie dajesz.

– To samo powietrze. Ja karmię was prawdziwym jedzeniem.

– Dlaczego ona uważa, że ją śledzisz? – zainteresował się Samiul.

– Mama widzi przez ścianę – rzuciła nonszalancko Inaya. – A Breanne naprawdę sobie zasłużyła na uderzenie w nos. Tylko pani dyrektor powiedziała, że nie mogę jej więcej bić. Ciekawe, czy mama widzi nas nawet wtedy, jak bierze prysznic...

Samiul wbił we mnie wzrok.

– Sprawdź, jak się miewają twoi rodzice. – Skierowałam się do domu obok.

Teściowa rozmawiała właśnie przez telefon z Sabreeną. Dało się po niej poznać, że martwi się o córkę. Dwa dni wcześniej Sabreena zabrała trójkę dzieci i poleciała do Stanów, aby dołączyć do swojego męża Amira, który miał rozpocząć studia podoktoranckie na Harvardzie. Była to tak świeża sprawa, że biała skrzynia transportowa z ich rzeczami wciąż stała na podjeździe, czekając, aż zabierze ją firma przeprowadzkowa. Teściowa przekazała mi słuchawkę.

– Jesteś bezpieczna? Mieszkanie w Stanach to w tej chwili chyba nie najlepszy pomysł – powiedziałam.

– Może nie – odparła Sabreena – ale życie toczy się dalej.

Bardzo się lubiliśmy i zdążyłam za nią zatęsknić. Zwłaszcza pośród tej całej paniki chciałam, aby była blisko.

– Moim zdaniem w Kanadzie jest bezpieczniej – dodałam, obserwując, jak zmierza do domu mój teść, który pracował jako laryngolog.

Za progiem zdjął buty i odstawił neseser.

– Spóźniłeś się – zauważyła teściowa.

– Rozmawiałem z policjantem – odparł.

– Co takiego? – zapytałam zaalarmowana.

– Przyszedł do mojego gabinetu. Jeden z sąsiadów zobaczył na podjeździe skrzynię transportową i uznał, że to podejrzane.

– Słyszałaś, Sabreeno? – warknęłam, przełączając ją na głośnik.

– Policjant chciał tylko wiedzieć, co ta skrzynia tam robi – wyjaśnił teść.

Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Sąsiedzi zwracali się przeciwko nam.

– To trudny czas – próbowała przemówić mi do rozsądku Sabreena. – Ludzie potrzebują otuchy.

– Ten sąsiad mógł zwyczajnie zapukać do drzwi, jeśli szukał otuchy – wypaliłam. – Nie dzwonię na policję, kiedy chcę się dowiedzieć, dlaczego ktoś z sąsiadów kupił nowy samochód.

Teść, który wyglądał na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek, rzekł z westchnieniem:

– To był po prostu przejaw niepokoju.

– Sąsiedzi niepokoją się, że mamy coś wspólnego z atakiem na wieżę! – Paranoja wzięła nade mną górę.

– Mieszkacie w Saskatchewan – odezwała się znowu Sabreena. – Nie jest to ośrodek terroryzmu. No, może rolnicy nieco się burzą, gdy pada w porze żniw, ale poza tym w prowincji

panuje spokój.

– Właśnie – podchwyciłam. – Twoi rodzice mieszkali sobie tutaj spokojnie przez czterdzieści lat, aż tu nagle sąsiedzi zaczęli się ich bać.

– Spędziliśmy ponad trzydzieści lat na jednej ulicy, po czym się przeprowadziliśmy – zauważyła rzeczowo teściowo. – Być może nowi sąsiedzi potrzebują trochę czasu, zanim nas lepiej poznają.

– Jeśli chcą nas lepiej poznać, powinni nas odwiedzić z ciastem – powiedziałam. – Policja nie dostarcza ciast! – W tamtej chwili mogłam toczyć nieco piany z ust. Jakim cudem moi teściowie nie widzą okropieństwa tej sytuacji? – Zdaniem ludzi stanowimy zagrożenie dla najbliższej okolicy. Może powinniśmy się stąd wynieść.

– Dopiero co mówiłaś, że w Kanadzie jest bezpieczniej – wtrąciła Sabreena.

– Jak widać, wszędzie tam, gdzie są ludzie, są problemy – stwierdziłam.

– Dokąd więc chcesz się przeprowadzić?

– Gdziekolwiek, byle nie było tam ludzi.

– Na przykład na pustynię – podsunęła Sabreena. – Tylko że wtedy musiałabyś uczyć dzieci w domu.

– Dałabym sobie radę.

– Okłamałaś przedszkolanki, utrzymując, że Rashad korzysta z nocnika, po czym kazałaś mu nosić pieluchomajtki przez rok! – rzekła z wyrzutem Sabreena. – Nie jesteś w stanie zająć się dziećmi sama, zwariowałabyś od tego.

Moja szwagierka miała rację. Od miesiąca rozglądałam się za opiekunką dla Zayna. Kobieta miała zacząć w nadchodzącym tygodniu. Dochowałam się zbyt wielu dzieci, za późno na przenosiny na pustynię.

– Wszystko się uspokoi – obiecywała Sabreena. – Tylko dajcie sąsiadom trochę czasu.

– Dać im trochę czasu, a zmobilizują się, okrążą nas i zamkną pod kluczem.

Teściowie siedzieli w milczeniu. Moje czarnowidztwo wyraźnie się im udzielało.

– Nie możemy się ot tak poddać – rzuciła Sabreena.

Wpadłam na pewien pomysł. Rozwiązaniem był pierwszy krok.

– Zaprośmy sąsiadów na imprezę – powiedziałam.

– Żeby się swobodniej poczuli w naszym towarzystwie – dodała teściowa.

– Żeby się zdradzili, który z nich wydał nas policji – sprostowałam.



Po powrocie do domu zobaczyłam, że Samiul karmi dzieci warzywami.

– Przecież wiesz, że już jadły – powiedziałam.

– Chipsy ziemniaczane i płatki zbożowe się nie liczą – odparł. – Wpędzisz je w cukrzycę.

– W tym wieku? Nic im nie będzie.

– Co robisz? – zapytał mnie Samiul, kiedy zasiadłam przed komputerem.

– Wymyślam zaproszenia na imprezę w domu twoich rodziców. Jeden z naszych sąsiadów uważa, że twój ojciec jest terrorystą, a ja zamierzam się dowiedzieć kto to.

– Kto to jest terrorysta? – zapytała Inaya.

– To ktoś, kto łamie prawo – odpowiedziałam, stukając w klawisze.

– Mogę być terrorystą? – zapytała moja młodsza córka.

– Biorąc pod uwagę, że potrafisz walnąć w nos, chyba tak. – Nie przestawałam tworzyć zaproszeń.

– Nie, nie możesz być terrorystą – sprzeciwił się Samiul, przyglądając jej włosy. – I musisz skończyć z dręczeniem Breanne w szkole.

– Ty też mnie śledzisz, nawet wtedy jak jesteś w pracy? – zapytała Inaya.

– Rozmawialiśmy już o tym – odparł Samiul. – W szkole widzą cię tylko te osoby, które też tam są.

– Czy dziadek coś przeszkrobał? – zainteresowała się Maysa.

– Nie – rzuciłam. – Tego, co coś przeszkrobał, wyłowimy na imprezie.

Zlustrowałam proste, czytelne zaproszenie. Samiul odebrał dzwoniący telefon.

– To był mój ojciec – powiedział, rozłączając się. – Chciał się upewnić, że w grę wchodzi prawdziwe przyjęcie, a nie polowanie na czarownice.

– To na imprezie będą też czarownice? – Inaya się ucieszyła.

– Może jedna... – Samiul nie spuszczał ze mnie oka, gdy wycinałam i zginałam zaproszenia.

W sąsiedztwie stało około trzydziestu domów. Włożyłam płaszcz, ponieważ zaczynały się chłody.

– Dokąd idziesz? – zapytał Samiul.

– Zaprosić sąsiadów – odparłam.

– Może ja to zrobię?

– Nie ufasz mi?

– Nie – powiedział Samiul.

– Co twoim zdaniem mama może zrobić? – zaciekała się Maysa.

– Obawiam się, że może być niegrzeczna wobec naszych sąsiadów.

– Nie jestem pięcioletką – rzekłam. – Potrafię kontrolować swoje emocje.

– A ja mam pięć lat – pochwaliła się Inaya – i też to potrafię. Co to są emocje? – zapytała po chwili namysłu.

– Emocje to synonim słowa uczucia – wyjaśnił Samiul.

– Jak w: „Mama trochę wariuje” – dodała Maysa.

– Właśnie – potwierdził Samiul.

– Mogę pójść z tobą? – zapytała mnie Inaya.

– Nie, ponieważ nie umiesz panować nad swoim gniewem – odparłam. – Zabiorę cię, ale dopiero wtedy, jak przestaniesz bić inne dzieci.

Ubrałam Rashada w płaszczyk i wzięłam na rękę Zayna.

– Powinnaś zabrać wózek – poradził mi Samiul.

– Będę wyglądać bardziej po macierzyńsku z dzieckiem na ręku.

– Chcesz się podpierać naszymi synami?

Pociągnęłam dzieci za próg.

Kilka domów dalej pozwoliłam Rashadowi sięgnąć do dzwonka. Otworzył nam starszy mężczyzna.

– Dobry wieczór, nazywam się Zarqa i mieszkam tu niedaleko – powiedziałam, przybierając

niewinną minę.

– Ja jestem Dave. Widziałem panią w okolicy z tymi wszystkimi dziećmi.

– Uwielbiam dzieci i kocham dawać życie – odparłam, klepiąc Zayna po głowie. – Czyż potomstwo nie jest darem?

Rashad ugryzł mnie w ramię. Trzepnęłam go w pupę.

– Au! Mama mnie uderzyła – poskarżył się, w związku z czym musiałam go uszczypnąć, żeby się przymknął.

– Czym mogę pani służyć? – zapytał Dave, przyglądając się, jak przesuwam Rashada za swoje plecy.

– Mój teść urządza przyjęcie i chciałby pana zaprosić.

– To bardzo ładnie z jego strony.

– Prawda? – podchwyciłam. – Uważa, że po dzisiejszych straszliwych wydarzeniach powinniśmy się wszyscy lepiej poznać, żeby uniknąć wzajemnej podejrzliwości.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł być podejrzliwy wobec waszej rodziny – oznajmił Dave.

– Otóż to. – Pokiwałam głową. – Niemniej ktoś z sąsiadów zadzwonił na policję. Nie wie pan przypadkiem, kto to zrobił?

Przyglądałam mu się bacznie, na wypadek gdyby przejawiał jakieś oznaki wyrzutów sumienia. Dave strzelał oczyma ponad moim ramieniem. Unikał patrzenia mi prosto w twarz.

– Chce mi pan o czymś powiedzieć? Byłaby najwyższa pora.

– W gruncie rzeczy tak – przyznał. – Pani syn przebiegł przez ulicę.

Spuściłam spojrzenie i przekonałam się, że Rashad zniknął. Widziałam, jak mknie chodnikiem w stronę ruchliwego skrzyżowania. Nie było mowy, żebym go dogoniła z Zaynem na rękę.

Wcisnęłam Zayna w ramiona osłupiałego Dave'a. Rashad zdążył mi zniknąć z oczu, zanim rzuciłam się w pogoń. Inna nasza sąsiadka, Jill, spostrzegła go i złapała, kiedy przebiegał obok jej podjazdu. Trzymała go mocno, dopóki nie dowlekłam się do nich, sapiąc. Do tej pory zdążyła go spacyfikować lizakiem.

– Ciężki dzień? – zapytała.

– Tak. Zapomniałam wziąć z domu cukierki. – Wręczyłam jej zaproszenie na imprezę.

– Co to takiego?

– Ktoś doniósł policji na mojego teścia, więc teraz organizujemy przyjęcie, żeby wszyscy mogli być dla siebie mili i uprzejmi – powiedziałam zgięta w pół, ponieważ nadal miałam kłopoty z odzyskaniem tchu.

– To bardzo ładnie ze strony pani teścia – skwitowała Jill.

– Tak, ja też udaję, że mi zależy. Ale tak naprawdę chcę tylko dorwać drania. Przyjdzie pani?

– Będą klopsiki?

– Poproszę teściową, żeby zrobiła – obiecałam.

– W takim razie możecie na mnie liczyć.

Jill przekazała mi Rashada. Trzymając go mocno za rękę, zawróciłam do domu Dave'a.

– Dziękuję panu! – powiedziałam, odbierając z jego rąk Zayna.

– A ja dziękuję pani za zaproszenie.

Gdy szłam w stronę swoich drzwi wejściowych, Dave mnie dogonił. Po drodze upuściłam czapkę Zayna, którą podniósł i teraz mi podał.

– Tak nawiasem mówiąc, to nie ja zadzwoniłem na policję.

Odebrałam od niego czapkę i podziękowałam mu.

Samiul podsłuchiwał pod drzwiami.

– Obiecałaś się zachowywać – przypomniał mi.

– Nie mam pojęcia, czemu to powiedział – odparłam. – Za białymi ludźmi nie sposób nadążyć.

– Mama mnie uszczypnęła – pożalił się Rashad, pokazując ojcu zaczerwienione miejsce na ręce.

– Ja rozdaję resztę zaproszeń – stwierdził Samiul. – Ostatnie, czego nam trzeba, to żeby policja aresztowała cię za napastowanie własnych dzieci.

– Też chcemy pójść – powiedziała Inaya, sięgając po sweter. Maysa włożyła wiatrówkę.

Gdy Samiul wyszedł z wszystkimi dziećmi, pchając Zayna w wózek, nastawiłam wodę na herbatę. Po paru minutach namysłu zatelefonowałam do lokalnej gazety.

– „Leader Post” – zgłosił się dyżurny reporter.

– Dzień dobry, chciałabym donieść na jednego z sąsiadów – powiedziałam.

– Dodzwoniła się pani do redakcji, nie na policję – odparł mężczyzna. – Proszę wybrać dziewczęć, jeden, jeden.

– Chodzi mi o to, że jeden z sąsiadów doniósł na nas na policję, więc pomyślałam, że będziecie zainteresowani tą sprawą.

– O co oskarżył was sąsiad?

– O udział w dzisiejszych atakach.

– Na World Trade Center w Nowym Jorku? – upewnił się mężczyzna. – Zamierzacie też coś wysadzić tutaj? Nie ma tu wiele celów, jeśli nie liczyć silosów zbożowych. W tym rzecz? – dopytywał. – Wasz plan obejmuje uszczuplenie zapasów Kanady? Bardzo pomysłowe...

– Nie jesteśmy w nic zamieszani – przerwałam mu ze złością. – Po prostu sąsiad zauważył białą skrzynię transportową na naszym podjeździe i uznał, że to podejrzane. Chciałabym, żebyście się dowiedzieli, kto to był.

– Nie jestem w stanie pani pomóc – stwierdził mężczyzna. – Ale będzie z tego historia.

– Chwileczkę, proszę zaczekać – rzuciłam do słuchawki, za późno jednak. Reporter zdążył się rozłączyć.

Nazajutrz w gazecie ukazał się artykuł o rodzinie muzułmanów, która znalazła się w centrum zainteresowania policji.

– Skąd prasa o tym wie? – Samiul się zasmucił.

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Może któryś z pacjentów twojego ojca był świadkiem wizyty policji w gabinecie.

– To straszne. Dziennikarz pojawił się u niego w pracy.

– Cóż, przynajmniej wszyscy się dowiedzą – powiedziałam. – To chyba dobrze?

– Lepiej, by sąsiedzi się nie zorientowali, że organizujemy przyjęcie, chcąc odkryć, kto doniósł na policję.

– Donosiciel zrozumie, jakie zamieszanie wywołał.

- I zapewne nie przyjdzie na przyjęcie – dodał Samiul. – Domyśli się, że to pułapka.
- A może właśnie przyjdzie, żeby się nie wyróżniać.
- Tym sposobem sama niczego się nie dowiesz – skwitował Samiul.

Wpisałam w wyszukiwarkę internetową „wariograf”. Okazało się, że nie można go kupić przez Internet ot tak.



Nadszedł dzień imprezy. Artykuł prasowy z pewnością rozbudził ciekawość gości, dlatego stojąc w drzwiach, przyglądałam się wszystkim bacznie, aby sprawdzić, czy ktoś się czymś nie zdradzi.

– Dzień dobry! – powitałam jakąś staruszkę, która usiłowała się poczęstować herbatą. – Pozwoli pani, że pomogę.

– Dziękuję, moja droga. Mam na imię Ruth. Czy to ty upichciłaś to wspaniałe jedzenie?

– Nie, ja nie potrafię tak dobrze gotować – odpowiedziałam, uznając, że staruszka wygląda na nieco nerwową. – Bohaterką wieczoru jest moja teściowa.

– Masz wielkie szczęście, że łączą was takie przyjazne stosunki – stwierdziła staruszka.

– Wiem. Teściowa nie pozwala mi użalać się nad sobą.

– I słusznie robi. – Staruszka pokiwała głową. – Zwłaszcza teraz muzułmanie powinni sprawiać wrażenie kluczowych członków społeczeństwa.

– Ma pani rację. – Westchnęłam. – Skreślę panią z mojej listy podejrzanych. Jest pani za miła.

– Moja żona tylko tak żartuje – rzucił Samiul, wyrastając u naszego boku z dziewczynkami. Pomyślałam, że powinnam mu założyć dzwoneczek na szyi, aby wiedzieć, kiedy się zbliża. Tymczasem Samiul dodał pod nosem: – Obiecałaś być oględna...

– Co znaczy „ogłędna”? – zainteresowała się Inaya.

– Przeciwnieństwo twojej matki – odparł Samiul.

– Spójrzcie, batoniki ryżowe! – zawołała Maysa, chwytając kilka, po czym zaczęła je wpychać sobie do buzi.

– Mogę cię nauczyć je robić, moja droga – powiedziała Ruth.

– Mama twierdzi, że batoniki ryżowe to samo powietrze – wyjaśniła Maysa – i że dlatego biali ludzie je robią.

Chciałam zaprotestować, jednakże Samiul odciągnął mnie, zanim wyrządziłam więcej szkód.

– Chodź, przedstawię cię jednemu z sąsiadów – szepnął, kierując mnie w stronę szpakowatego mężczyzny. – To moja żona Zarqa, a to Brian.

– Wiem od pani męża, że stara się pani polepszyć opinię o muzułmanach wśród okolicznych mieszkańców. Mam dla pani propozycję. W niedzielę w moim kościele ktoś musi wygłosić mowę na temat islamu. Idealnie by się pani nadała do tej roli.

– Jestem fatalną mówczynią... Och, spójrzcie, zabrakło sosu! – krzyknęłam w nadziei, że uda mi się godnie wycofać, jednakże Samiul odciął mi drogę ucieczki.

– Może trochę wyszła z wprawy – przyznał – ale może pan na nią liczyć. Powinna zacząć się więcej udzielać.



W niedzielę siedziałam struchlała na kanapie. Dzieci zeszyły z góry wystrojone do kościoła po raz pierwszy w życiu.

– One też idą? – zapytałam Samiula z przerażeniem. – Dlaczego?

– Dlatego że dzieci powinny widzieć, jak ich matka robi coś konstruktywnego.

– Będę mogła trzymać Zayna na rękę, żeby przekaz był bardziej emocjonalny?

– Nie zapominaj, że nie zdecydowaliśmy się na dzieci, aby się nimi podpierać – zauważył Samiul.

– Może ty się nie zdecydowałaś.

– Ani myślę siedzieć koło mamy – rzuciła Maysa. Pozostałe dzieci ją poparły.

– Jak sobie chcecie. – Westchnęłam. – Pamiętajcie jednak, że to ja sprowadziłam was na ten świat i ja mogę was z niego usunąć.

– Tylko nie powiedz czegoś takiego w kościele. – Samiul się wystraszył.

Wsiadliśmy do minivana i ruszyliśmy. Na miejscu Maysa natychmiast popędziła do bufetu, gdzie można było znaleźć przeróżne batoniki ryżowe.

– Szkoda, że muzułmanie ich nie robią – powiedziała z pełnymi ustami.

Brian przedstawił mnie wiernym jako specjalistkę od islamu. Stojąc przy pulpicie i rozkładając kartki, w duchu przeklinałam Samiula.

– Dziękuję za dzisiejsze zaproszenie. Naprawdę nie trzeba było, ponieważ w mieście mieszka tylu innych muzułmanów. Skoro jednak uparliście się, abym to ja przed wami wystąpiła, chyba mogę powiedzieć parę słów.

– Opowie nam pani o pięciu filarach islamu? – poprosił Brian.

– Oczywiście. Pierwszy filar to *shahada*, wiara w jedyne Boga. O to głównie chodzi w religii.

– Tak, większość religii zakłada wiarę w Boga – wtrącił Brian, żeby dodać mi otuchy.

– Drugi filar to *salat*, modlitwa. Dużo się modlimy, pięć razy dziennie, dzień w dzień. Niektóre pory nie są zbyt dogodne. Przykładowo świt latem zaczyna się tutaj o trzeciej nad ranem. Wygląda więc na to, że sen nie jest filarem islamu.

Zapadło niezręczne milczenie. Samiul zgromił mnie wzrokiem.

– A trzeci filar? – zapytał pomocnie Brian.

– Trzeci filar to *saum*, post, którego przestrzegamy w miesiącu księżycowym o nazwie ramadan. Przypomina to trochę Wielki Post, z tym że powstrzymujemy się od jedzenia i picia przez trzydzieści dni od wschodu do zachodu słońca. Nie radziłabym tego próbować. Wierście mi na słowo, kiedy mówię, że dziewiętnaście godzin bez jedzenia to nieludzka tortura.

– Jednakże wy, muzułmanie, robicie to z dobrych pobudek – dodał Brian. – W ten sposób przypominacie sobie o wszystkich głodnych i potrzebujących na świecie.

– Proszę zatem, żebyście wspomnieli mnie w czasie postu – odezwałam się znowu, unikając ostrego spojrzenia Samiula. – Czwarty filar to *zakat*, jałmużna. Przekazujemy dwa i pół procent oszczędności na działalność charytatywną. Ostatni, piąty filar to *hadżdż*, czyli pielgrzymka do Mekki w Arabii Saudyjskiej i odprawienie wiążących się z nią rytuałów co najmniej raz w życiu. Z tego, co wiem, Saudyjczycy nie wpuszczają niemuzułmanów, ale nie bierzcie tego do siebie.

Zresztą nawet my byśmy nigdzie nie jechali, gdybyśmy nie musieli. Jeśli szukacie słońca i piasku, wybierzcie się na Jamajkę. To znacznie większa frajda, możecie mi wierzyć.

– Dziękuję za tę... hm... cudowną przemowę – powiedział niepewnie Brian. – Czy są pytania?

– Zabijacie kurczaki w wannie? – zapytał Charlie. – Słyszałem, że odprawiacie jakieś czary ze zwierzętami, zanim je zjecie.

– Mówimy „Bismillah, Allahu akbar”, co z języka czarów na zwykły tłumaczy się jako „W imię Boga, Bóg jest wielki”, po czym sprawnym ruchem podrzynamy żyłę szyjną. Powinno to przynieść szybką śmierć zwierzęciu, a nam zapewnić mięso *halal*.

– Ile kurczaków zabiła pani osobiście? – dopytywał się Charlie.

– Ani jednego. Ale mój teść w młodości, żyjąc jeszcze na wsi, musiał dokonywać uboju własnoręcznie – wyjaśniłam. – Współcześnie idzie się do supermarketu albo do rzeźnika *halal*, więc mój teść nie potrzebuje już tego całego sprzętu, a fakt, że posiada go wciąż w piwnicy, o niczym nie świadczy, gdyż sprzęt jest używany wyłącznie do uboju zwierząt...

– Może na tym skończymy – zaproponował Brian, czerwieniejąc na twarzy.

Dopiero teraz do mnie dotarło, że właśnie powiedziałam wszystkim o rzeźni w piwnicy teściów. Nawet jeśli wcześniej biali nie uważali nas za dziwaków, to...

– No dobrze, muszę się do czegoś przyznać – oznajmiłam.

– Dawaj – zachęcał mnie Charlie.

– Moja szwagierka przeprowadziła się do Bostonu i zostawiła na podjeździe białą skrzynię transportową, która zwróciła czyjąś uwagę. Wezwano policję, przesłuchano mojego teścia. Sprawa tego donosu nadal nie daje mi spokoju. Wiecie jednak, co jest najbardziej denerwujące?

– Że nie możesz spać?

– Tak, to znaczy nie. Najbardziej denerwujące jest to, że mój teść przeżył w tym mieście czterdzieści lat, a mimo to cała dobra historia zniknęła ot tak.

W tej chwili podeszła do mnie Ruth i ujęła mnie za rękę.

– To nie ty wleciałaś tamtymi samolotami w wieże World Trade Center – powiedziała. – Musisz sobie przebaczyć za coś, czego nawet nie zrobiłaś.

– Inni ludzie nie są skłonni do przebaczenia – rzuciłam z kwaśną miną.

– Nie przejmuj się innymi ludźmi – odparła Ruth. – Przejmuj się sobą i wychowaniem swoich dzieci. Może pomyśl o podjęciu pracy? Jakies zajęcie chyba by ci nie zaszkodziło...

Charlie także do mnie podszedł.

– Podoba mi się wasza religia – rzekł. – Jest trochę szurnięta przez te bezgłowe kurczaki, ale myślę, że mógłbym do niej przywyknąć. Chciałbym zmienić wyznanie, poprobować.

– Charlie, no nie wiem. Mamy dość własnych wariatów... Naprawdę chcesz do nas dołączyć?

– Wśród białych też nie brakuje świrów. Poza tym zawsze chciałem zwiedzić Mekkę. Zobaczyć Arabów, przejechać się na wielbłądzie. Co muszę zrobić? Natrzeć się krwią kurczaka podczas pełni księżyca?

– Nie. Wystarczy, że udasz się do meczetu i wydeklamujesz wyznanie wiary: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”.

– I to wszystko?

– Tak. Pod tym względem jesteśmy minimalistami – powiedziała.



Później tego samego wieczoru, kiedyśmy już zapakowali dzieci do łóżek, Samiul i ja umościliśmy się na kanapie.

– Dobrze ci poszło w kościele – szepnął Samiul.

– Naprawdę?

– No, niezupełnie, ale praktyka czyni mistrza. Wiele osób poprosiło mnie o namiary telefoniczne na ciebie. Wyrobisz się...

– Dlaczego mi to zrobiłeś? Przecież wiesz, jak nie cierpię przemawiać na forum publicznym.

– To jedyny sposób, żebyś zwalczyła swoją histerię. A poza tym ludzie powinni posłuchać muzułmanów, zwłaszcza kobiet.

– Nienawidzę tych terrorystów – powiedziałam.

– Zniszczyli życie wielu osób, ale nie nasze – rzekł Samiul.

– Nigdy się nie dowiemy, kto doniósł na twojego ojca, prawda? – zapytałam. – Bardzo mi zależało, żeby ten człowiek zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

– Moim zdaniem ten ktoś już to rozumiał i teraz czuje się głupio, że w ogóle zadzwonił na policję.

– Myślisz, że dzieciom nic nie będzie?

O nie martwiłam się najbardziej. Miały żyć z brzemieniem jedenastego września. Ich wiara będzie odtąd kojarzona z terroryzmem zamiast z pokojem. Nie miałam pojęcia, jak im to wszystko wytłumaczyć. W końcu były jeszcze takie małe.

– Obecnie ich życie toczy się wokół szkoły i tego, kiedy będzie duża przerwa – oświadczył Samiul.

Miał rację. Nowojorski zamach terrorystyczny nawet by ich nie dotknął, gdyby nie moja panika. Poczulałam wyrzuty sumienia i zapragnęłam im to jakoś zadośćuczynić. Dostrzegłszy ich pojemniki na drugie śniadanie, podniosłam się z kanapy.

– Dokąd idziesz? – zapytał Samiul.

– Muszę coś przygotować – odparłam, myszkujejąc po szafkach w kuchni i wyjmując składniki.

– O tej godzinie? Jest prawie jedenasta.

– To nie potrwa długo.

Życie dzieci zmienia się na lepsze dzięki drobiazgom. A ja mogłam zrobić dla nich coś małego.

– Co robisz?

– Batoniki ryżowe.

Za zasłoną prysznic

Wielka zasłona prysznicowa zawisła pośrodku naszej sali modlitewnej. Muzułmanie mają bzika na punkcie czystości, ale to już była przesada.

– Co przeraziłoby bardziej mężczyzn w meczecie? – zapytałam żartobliwie Samiula. – Awaria wody czy nagie kobiety?

Powód zawiśnięcia zasłony prysznicowej miał – jak się okazało – coś wspólnego z wizytą imama z Arabii Saudyjskiej, krainy dziwów. Imam ten doszedł bowiem do wniosku, że modlących się mężczyzn i kobiety powinna oddzielać fizyczna bariera. Umieszczenie obu płci w meczecie to drażliwa sprawa. Każdy imam podchodzi do niej inaczej, zależnie od stosunków ilościowych wśród wiernych oraz układu pomieszczenia. Gdzieś tam kobiety i mężczyźni modlą się w przemieszanych rzędach, aczkolwiek ta praktyka nie jest częsta. W większości wypadków obie płcie oddziela fizyczna przegroda, względnie kobiety modlą się w specjalnie wydzielonej części pomieszczenia, za mężczyznami.

W naszym meczecie w Reginie mężczyźni modlili się z przodu, a kobiety z tyłu. Nie było między nimi żadnej przegrody. Zważywszy na skłony i bicie czołem, stanowiące część muzulmańskiej modlitwy, kobiety w naszym meczecie wolały znaleźć się z tyłu i patrzeć na plecy mężczyzn. Jak ujęła to kiedyś jedna z moich przyjaciółek: „Co za widok!”.

– W Arabii Saudyjskiej nie pozwalają kobietom nawet prowadzić samochodu – poskarżyłam się Samiulowi. – Czemu więc ten imam zaprowadza porządki w naszym meczecie?

Saudyjczycy hołdują dosłownej interpretacji islamu, zwanej wahhabizmem. Mam z nią kłopot, ponieważ surowe obyczaje nie znajdują potwierdzenia w literaturze. Nawet w najdawniejszych źródłach aż roi się od opisów kobiet, które jeżdżą na wielbłądach i biorą udział w życiu publicznym, a mimo to wahhabizm zakazuje kobietom siadania za kółkiem i wychodzenia z domu bez męskiej eskorty. W moim odczuciu Saudyjczycy próbują nagiąć islam do własnej restrykcyjnej kultury, aby usprawiedliwić swój seksizm. Gdyby bowiem chcieć dosłownie interpretować hadisy, kobiety nigdy nie powinny być zamykane w galeriach ani za zasłonami, jak to się dzieje współcześnie. Powinniśmy mieć równy z mężczyznami dostęp do sali modlitewnej.

Jednakże saudyjski imam uważał inaczej. Jego zdaniem mężczyznom nie było wolno patrzeć na kobiety w trakcie modlitwy. Do szału doprowadzało mnie to, że mężczyźni z naszego meczetu nie sprzeciwili mu się. Zamiast tego jakby nigdy nic zawiesili zasłonę prysznicową. Nie byłam w stanie tego zdzierżyć. Postanowiłam sprawdzić, czy uda mi się przekonać imama, że jest w błędzie. Przedstawiłam mu się, po czym zagałam:

– No więc, jak tam ceny ropy?

Nie znałam żadnych saudyjskich drużyn sportowych. Imam był wstrząśnięty, że w ogóle się do niego odezwałam. Starał się zachować między nami dystans, ja jednak nie odstępowałam go ani na krok. W końcu uznałam, że pora przejść do sedna.

– Dlaczego każe nam pan modlić się za zasłoną? Nie wystarczy panu, że trzymamy się z tyłu?

– Mężczyźni potrafią się bardziej skupić, kiedy nie widzą kobiet.

– Mężczyźni nie mają oczu z tyłu głowy – odparowałam.

– Mieszanie się płci prowadzi do rui i porubstwa i zagraża trwałości małżeństwa – zaintonował.

– W naszym meczecie obowiązuje podział. Modlitwa odbywa się w godnych warunkach. Na pewno pan nie przesadza?

– Gdzie jest pani mąż? – zapytał, rozglądając się wkoło z obłędem w oczach.

– A co z kobietami w codziennym życiu? – indagowałam. – Skoro mężczyźni nie są w stanie skupić się na modlitwie, z pewnością tracą też koncentrację po wyjściu z domu na ulicę. Czy to oznacza, że nie nadają się do życia w normalnym świecie? Żle by to o nich świadczyło, prawda?

– Obraziła mnie pani, nie zamierzam z panią dłużej rozmawiać. Oto, do czego dochodzi, gdy pozwolić kobiecie chodzić samopas i otwierać buzię – dodał do przechodzącego mężczyzny. – Roją sobie różne rzeczy.

– Nie będę się modlić za zasłoną prysznicową – oznajmiłam Samiulowi.

– Nie to nie – odparł.

Kilka kobiet zdecydowało, że będzie się modlić przed zasłoną. Tym sposobem znalazłyśmy się bliżej mężczyzn niż kiedykolwiek.

– Spłynął na nas zadziwiający spokój – rzuciłam do ciotki Lubny.

Kobiety zwykły rozmawiać między sobą i przyprowadzać dzieci. Tymczasem modlenie się u boku mężczyzn przypominało modlitwę w obliczu zdyscyplinowanej armii. Mężczyźni byli cisi i nie wymieniali się przepisami, twierdząc, że mieszanka ketchupu i czatneju z mango stanowi doskonały sos do samosy.

– Rzeczywiście – przyznała ciotka Lubna. – Nawet mi to odpowiada.

A jednak w powietrzu czuło się napięcie. Gdy pierwsi mężczyźni wkroczyli do sali modlitwowej i ujrzeli nas przed zasłoną, rozdziawili usta, po czym ruszyli przed siebie ze spuszczoneymi głowami.

Kilka dni później w meczecie zaczęła krążyć petycja, którą podpisała większość kobiet. Były one za zasłoną. W okresie, który nazwałam roboczo „przed zasłoną”, mało która kobieta przychodziła do meczetu na piątkową modlitwę, tymczasem teraz – odkąd trzeba było wyrazić swoje zdanie: jestem za zasłoną, jestem przeciw zasłonie – w świątyni zrobiło się tłoczno. Niewielka grupka dalej modliła się na przedzie, podczas gdy przeważająca część kobiet trzymała się z tyłu. Imam gotował się w środku, ponieważ niezamierzenie udało mu się sprawić, że kobiety w meczecie stały się bardziej widoczne.

Pewnej środy udałam się do meczetu na *magrib*, modlitwę po zachodzie słońca. Tak jak chrześcijanie gromadzą się w kościele w niedzielę, tak muzułmanie ciągną do meczetu w piątek. W ciągu tygodnia na modły przychodzi mniej osób, a ja chciałam się pomodlić w spokoju, unikając atmosfery walki, która zrodziła się wraz z wypowiedzeniem wojny zasłonowej.

Po wejściu do środka zorientowałam się, że zasłona prysznicowa zniknęła. Byłam zachwycona. Uznałam, że saudyjski imam odpuścił. Wkrótce jednak podszedł do mnie mężczyzna z rudą brodą.

– Wybacz, siostrze, ale to męska sala modlitewna – powiedział Rudobrody. – Tylko mężczyźni mogą się tutaj modlić.

I wskazał na tabliczkę, która dużymi, fikuśnymi literami głosiła: SALA MODLITEWNA DLA MĘŻCZYŹN. Równie dobrze mogło być na niej napisane: TYLKO DLA MĘŻCZYŹN.

– Ale ten meczet służy także kobietom – odparłam sfrustrowana.

– Oczywiście, że tak. Odtąd kobiety mają salę tylko dla siebie.

Rudobrody skierował mnie do kanciapy na tyłach głównej sali modlitewnej. Na jej drzwiach zawisała tabliczka: SALA MODLITEWNA DLA KOBIEC, wewnątrz zostało odnowione, a w miejsce regałów na książki pojawiło się lustro weneckie z rodzaju tych, jakich używa się na posterunkach policji.

– Spójrz – powiedział Rudobrody. – Możecie stąd patrzeć na mężczyzn, a oni was nie widzą.

Staliśmy we dwoje w kanciapie, przyglądając się plecom rozmodlonych mężczyzn. Zasłona prysznicowa była wystarczająco zła, ale przynajmniej znajdowaliśmy się wszyscy w jednym pomieszczeniu. To lustro rodem z pokoju przesłuchań sprawiło zaś, że poczułam się tak, jakby zakopano mnie głęboko w trzewiach meczetu, grożąc całkowitym wymazaniem mojego istnienia. Nie byłam w stanie tego znieść.

– Nie obchodzi mnie, czy mężczyźni mnie widzą – powiedziałam. – Przychodzę się tutaj modlić.

W tej samej chwili po drugiej stronie lustra zatrzymał się mężczyzna z długą, czarną brodą i spojrzał prosto na mnie.

– Wydaje mi się, że on mnie widzi – poinformowałam Rudobrodęgo.

– To niemożliwe – odparł. Tymczasem Czarnobrody wyciągnął grzebień i zaczął się czesać.

– Dlaczego on się czesze? – zapytałam.

Rudobrody wydawał się uszczęśliwiony.

– Nie widzi nas, tylko lustro. Ten system sprawdza się doskonale. Odtąd będziecie miały oddzielne, acz równoprawne pomieszczenie.

– Oddzielne i nierównoprawne – poprawiłam go.

Czarnobrody wyciągnął obcinacz do paznokci i zaczął sobie przycinać włosy w nosie. To najwyraźniej przekroczyło granice cierpliwości Rudobrodęgo. Wyszłam za nim z sali dla kobiet do głównej sali modlitewnej. Rudobrody poinformował Czarnobrodęgo, że kobiety go widzą.

– Kiedyś korzystałem z łazienki na tyłach – wyjaśnił niezadowolony Czarnobrody.

– W piwnicy jest druga łazienka – poinstruował go Rudobrody.

– Piwnica jest daleko. Poza tym teraz nie ma tu żadnych kobiet. Nie mógłbym użyć jednak tej?

– Jasne, nie krępuj się – wtrąciłam. – Ja na pewno nie zamierzam się tam modlić.

– Ależ siostrze, zapewniliśmy wam własne pomieszczenie – obruszył się Rudobrody. – Dlaczego nie chcesz z niego korzystać?

– W czasach proroka, gdy kobieta czuła, że ktoś ogranicza jej prawa, mówiła o tym głośno i skarżyła się, ponieważ znajdowała się w tym samym pomieszczeniu bez żadnych rozdzielających przegród – powiedziałam. – Jak miałybyśmy się skarżyć w obecnych

warunkach?

– Prześlijcie liścik – zaproponował Rudobrody.

Uniosłam brew. Nie kupowałam tego. Dlaczego miałam być traktowana jak knąbrne dziecko i karana za to, że urodziłam się kobietą? Rudobrody jednak nie odpuszczał.

– Wyremontowaliśmy tę kanciapę – tłumaczył. – Położyliśmy nawet nowy dywan...

Gestem zaprosił mnie z powrotem za lustro weneckie. Czarnobrody skorzystał z sytuacji, poszedł za nami i rzucił się w stronę łazienki.

– Ładny – stwierdziłam, włączając światło, żeby przyjrzeć się różowemu puchatemu dywanowi. Mimo moich słów Rudobrody wydawał się czymś zafrasowany. Sądziłam, że chodzi o płuczące gardło Czarnobrodego, jednakże Rudobrody gapił się w lustro. – Co się stało? Nie ten odcień różu?

– Nic nie widzę – powiedział Rudobrody ze zdumioną miną.

Kiedy przeniosłam spojrzenie na taflę lustra, przekonałam się, że widok sali modlitwowej został zastąpiony odbiciem wnętrza kanciapy. Przy zapalonym świetle w sali dla kobiet było jaśniej niż w sali dla mężczyzn, w związku z czym lustro weneckie zaczęło działać na opak.

– Mam szpinak w zębach – stwierdziłam, przyglądając się swojej twarzy.

– To się nie sprawdzi. – Rudobrody westchnął. – Mężczyźni jednak będą was widzieć.

– Otóż to! – podchwyciłam zadowolona, że wreszcie przejrzał na oczy.

– Zgaśmy światło! – Pstryknął przełącznikiem, pogrążając pomieszczenie w ciemnościach. – Dodamy tutaj zasłonę, żebyście wieczorem mogły mieć zapalone światło.

– Ale wtedy nie będziemy widzieć imama – zaprotestowałam.

– Będziecie go słyszeć. Głośniki działają bez zarzutu.

W tej chwili Czarnobrody wyszedł z łazienki, potknął się o dywan i skoczył szczupakiem w naszą stronę.

– Czemu zgasiliście światło? – wykrzyknął.

– Czemu przebywasz w sali dla kobiet? – zapytał Rudobrody.

– Musiałem skorzystać z łazienki – odparł Czarnobrody.

Staliśmy we trójkę w kompletnych ciemnościach.

– Trochę tu dziwnie... – zauważył Rudobrody.

– I ciemno – dodał Czarnobrody.

Gdy rozległo się wezwanie do modlitwy, wszyscy troje wysypaliśmy się z kanciapy i dołączyliśmy do osób modlących się w głównej/męskiej/kontrowersyjnej – niepotrzebne skreślić – sali. Potem wróciłam do domu.

– Jak było w meczecie? – zapytał mnie Samiul, wyjmując naczynia ze zmywarki.

– Za każdym razem robi się tam dziwniej – odparłam.

Moim zdaniem problem polegał na tym, że w oczach muzułmanów bariery między kobietami i mężczyznami narzucała religia. Jak widać, moi współwyznawcy wymagali dokształcenia w zakresie własnej wiary.



– Czy to Zarqa Nawaz? – zapytał Joe McDonald, producent z Narodowej Rady Filmowej.

Dzwonił z pytaniem, czy złożę propozycję filmu dokumentalnego. – Jaki temat zajmuje panią najbardziej?

Ha!

Chociaż porzuciłam dziennikarstwo, nigdy nie było za późno na powrót do korzeni – zwłaszcza z dobrych pobudek.

Z ferworem zaczęłam zbierać materiały. Pragnęłam zgłębić, jakim cudem tradycję myli się z teologią. Pierwotny projekt aż kipiał od emocji, lecz mimo to Narodowa Rada Filmowa go zaakceptowała – z tym zastrzeżeniem, że moje dzieło nie będzie zbyt surowe dla społeczności muzułmańskiej.

– Postaraj się pamiętać, że niektóre kobiety wolą zacisze oddzielnego pomieszczenia – ostrzegął mnie Samiul. – Nie możesz ignorować ich uczuć.

Choć jego rozsądek bywał irytujący, nie mogłam mu odmówić racji. Poza tym wcale nie chciałam być niesprawiedliwa dla zwolenniczek segregacji. Postanowiłam przeprowadzić wywiad z Mamą, która reprezentowała bardziej konserwatywne skrzydło islamu. Zatelefonowałam do niej.

– Tak, przyjadę do Toronto w związku z pracą.

– Przywieziesz dzieci? – zapytała.

– Nie, mają szkołę – odparłam, sądząc, że jej ulży. – Chcę przeprowadzić z tobą wywiad na temat barier w meczetach.

– Dzieciom potrzebna jest matka w domu – oświadczyła Mama.

– U nas bardziej jest im potrzebny ojciec.

Zabrałam ekipę filmową i Mamę do jej ulubionego meczetu w Toronto. Kobiety modliły się tam w jednym pomieszczeniu z mężczyznami za niską, sięgającą kolan przegrodą z pleksiglasu. Kręcąc się po przestronnym wnętrzu, obie płcie miały na sobie dobry widok. Z wydzielonych pomieszczeń był tylko pokój dla matek z małymi dziećmi, nazywany Pokojem Płaczu.

– Modłę się tutaj pięć razy dziennie – opowiadała Mama. – Lubię tu przychodzić.

– Czy w pakistańskim meczecie, do którego chodziłaś jako dziewczynka, była przegroda między kobietami i mężczyznami?

– W Pakistanie nie chodziłyśmy do meczetu. Tamtejsza świątynia była zarezerwowana dla mężczyzn – wyjaśniła. – Zaczęłam chodzić do meczetu dopiero po przyjeździe do Kanady.

W niektórych krajach muzułmańskich meczet stanowi coś w rodzaju „postoju na kanale”, dzięki któremu mężczyzna może odbębnić pięć modlitw dziennie, pozostając w ciągłym biegu. W Ameryce Północnej meczet to raczej ośrodek kulturalny dla całej społeczności.

– Czujesz się dziwnie, uczęszczając do meczetu, w którym nie ma bariery między kobietami i mężczyznami?

– Słyszałam imama twierdzącego, że w czasach proroka nie było takich barier. Zatem taki sposób modlitwy jest dozwolony – powiedziała Mama.

– Czyli kiedy imam coś twierdzi, przyjmujesz to za pewnik? – dopytywałam.

– Słucham prawdziwych autorytetów, nie ludzi takich jak ty, którzy mają głowę nabitą nowomodnymi pomysłami.

Wszystko wskazywało na to, że powinnam wytoczyć ciężkie działa. Skontaktowałam się z człowiekiem w Narodowej Radzie Filmowej, jednakże budżet przedsięwzięcia nie przewidywał lotu na Bliski Wschód. Właśnie zliczałam mile powietrzne, gdy Mama

zapropowała, abyśmy wzięły udział w nowej islamskiej konferencji w Toronto, odbywającej się pod hasłem „Ożywić ducha islamu”. Sprawdziłam listę gości i upewniłam się, że wszyscy są autorytetami. Wśród uczestników będzie tyle bród i szat, że bez trudu obsadziłabym nimi wszystkie role *Dziesięciorga przykazań*. Potraktowałam to jako znak od Boga.

– Tylko nie mieszaj do tego Boga – ostrzegła mnie Mama.

Podczas gdy ona siedziała na widowni, ja zdołałam przekonać udręczonego organizatora, aby przydzielił mi salę na zapleczu, gdzie mogłabym rozstawić kamerę. Później czatowałam na gości schodzących z mównicy.

– Przepraszam, kręcę film dokumentalny na temat segregacji płci w meczecie i zastanawiam się, czy byłby pan skłonny powiedzieć parę słów do kamery? – zapytałam pewnego bardzo poważnie wyglądającego imama.

– Znowu to samo – odpowiedział wyraźnie zagniewany.

To mnie zdziwiło.

– Temat nie jest panu obcy?

– Skądże – odparł ze znużeniem. – No, gdzie te kamery?

Ku mojemu zdumieniu autorytety nie miały nic przeciwko wywiadowi.

– To problem kulturowy – powiedział jeden z nich – nie religijny. Nie ma żadnych religijnych wskazań do stawiania barier. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy islam, zataczając szersze kręgi, zaczął wchłaniać kultury, w których segregacja płciowa była normą. Współcześnie zarówno mężczyźni, jak i kobiety muszą na nowo dojrzeć do wspólnego oddawania czci Bogu. Do tego czasu jedynymi miejscami pozbawionymi barier będą te meczety, w których imam ma silną pozycję, względnie gdzie wierni nalegają na równouprawnienie.

Zszokowała mnie jego otwartość. Zarazem zrobiło mi się ciepłej na sercu, że taki wiekowy uczony mąż wyznaje takie prokobiece poglądy.

Meczety pozbawione przegród były rzadkością, jednakże za ich przykład mógł posłużyć meczet w Aurorze nieopodal Chicago. Odwiedziłam go. Wybudowany przez pewne małżeństwo, nie miał nawet symbolicznej bariery w postaci wysokiego do kolan pleksiglasu z torontyjskiego meczetu Mamy.

– Od samego początku wiedzieliśmy, że dopuszczenie kogoś do spółki oznaczałoby konieczność kompromisów – powiedział mi mężczyzna. – Dlatego postanowiliśmy wznieść meczet własnymi siłami, żeby uniknąć konfliktów. A ponieważ miałem pieniądze, pomyślałem: czemu nie?

Meczet ten był przestronny i piękny. W sali modlitewnej na ziemi leżały brzoskwiniowe dywany, a z sufitu zwisał wielki żeliwny żyrandol. Czułam, że mogę się tam odprężyć i skupić na nabożeństwie, co ułatwiali przemyskający dyskretnie mężczyźni. Zauważyłam jednak, że część kobiet w dalszym ciągu trzyma się z tyłu i stara się kryć za kolumnami.

– Nie od razu Rzym zbudowano – powiedział mężczyzna. – Zdarzają się ludzie, którzy narzekają i domagają się przegrody, ale my zawsze odpowiadamy, że będą musieli przywyknąć do modłów na otwartej przestrzeni.



Po miesiącach podróży i nakręceniu ponad stu pięćdziesięciu godzin filmu, a następnie po kolejnych paru miesiącach montażu moje dzieło było w końcu gotowe. Tryskałam energią. Wiedziałam, że mój dokument nie zmieni społeczności muzułmańskiej, ale jeśli okaże się choć trochę wpływowy, warto było poświęcić na niego tyle czasu.

Me and the Mosque [Ja i meczet] miał swoją premierę na Festiwalu Filmowym w Montrealu, po czym został wyświetlony przez stację Vision TV, a w końcu przez CBS.

Nakręcenie filmu krytykującego moją społeczność nie przysporzyło mi przyjaciół. Znajomi uważali, że wybrałam najgorszy moment z możliwych i że wspomogłam machinę propagandową przedstawiającą muzułmanów jako seksistów. Byli zdania, że brudy należy prać w domu. Ja jednak sądziłam, że świat zewnętrzny spojrzy na nas przychylniejszym okiem, jeśli zobaczy, iż sami też walczymy o równouprawnienie płci. Z zapartym tchem wysłuchiwałam opinii członków społeczności.

– Podoba mi się – powiedziała Błękitna Chustka, konserwatywna muzułmanka.

– Będiesz odtąd modlić się w głównej sali? – zapytałam z nadzieją.

– Nie, tu mi się podoba – odparła. – Jest zaciszniej.

– Niezły – rzekł Rudobrody. – Jestem pod wrażeniem, że nakłoniłeś do rozmowy tych wszystkich imamów.

– Zatem teraz już rozumiesz, czemu tak się upierałam przy wspólnej modlitwie w jednym pomieszczeniu?

– Owszem, ale i tak uważam, że lepiej jest, gdy kobiety i mężczyźni modlą się oddzielnie.

Rada meczetu zwołała spotkanie, aby przedyskutować kwestię miejsca modlitwy dla kobiet. Zapadła na nim decyzja, aby pozwolić kobietom wybierać dowolnie. O ile jednak samo podjęcie decyzji było łatwe, trudniej przyszło przekonać do niej wiernych. Rada usunęła tabliczki wskazujące, że główna sala modlitewna należy do mężczyzn. Pojawiły się jednak inne. Wojnę o zasłonę prysznicową zastąpiła wojna o tabliczki.

Pewnego dnia podszedł do mnie młody mężczyzna z Arabii Saudyjskiej.

– Obejrzałem pani film – rzekł. – I mam coś do powiedzenia.

– Nie podobał się panu – stwierdziłam przekonana, że skoro jest Saudyjczykiem, musi obowiązkowo stać po określonej stronie.

– Nie o to chodzi. Pierwotne tabliczki wyszły spod mojej ręki – wyznał.

– Te z napisami „Męska sala modlitewna” i „Kobieca sala modlitewna”?

– Kiedy je zobaczyłem na filmie, doznałem szoku. Nie miałem pojęcia, że przez coś takiego kobiety poczuły się wykluczone. Przykro mi.

– To były bardzo ładne tabliczki – powiedziałam, czując wyrzuty sumienia, że źle go oceniłam. Powiodłam ze smutkiem wzrokiem po nowych tabliczkach, zrobionych komputerowo.

– Dziękuję. Chciałem, aby kobiety poczuły się wyjątkowo.

Nie chcę się czuć wyjątkowa – pomyślałam. – Chcę się czuć normalna i chcę się modlić w głównej sali modlitewnej, nie narażając się na nieprzychylnie spojrzenia mężczyzn, których zdaniem tam nie pasuję.

Czarnobrody podszedł do mnie, gdy zmierzałam do sali modlitewnej.

– Dobry film – rzucił. – Chciałbym, żeby wszystkie kobiety zaczęły się znów modlić z nami.

– Ponieważ wierzysz w równość?

– Ponieważ chcę odzyskać łazienkę.

Zawsze był to jakiś początek.

Meczecik w mieście

– Nie opuszczaj sali modlitewnej! – powiedział przez telefon Samiul.

Słyszałam napięcie w jego głosie. Coś poszło nie tak po piątkowej modlitwie. Zaraz po zakończeniu nabożeństwa w głównej sali rozległy się krzyki. Wyglądając przez lustro weneckie, zobaczyłam, jak podenerwowani mężczyźni otaczają Samiula. Po raz pierwszy w życiu cieszyłam się, że jestem w odrębnej sali dla kobiet.

– Chodzi o twój film – rzekła jedna z moich przyjaciółek. – Paru mężczyzn jest zagniewanych. Ich zdaniem serial natrząsa się z islamu.

Przerażona opadłam z powrotem na dywan i złożyłam głowę na kolanach. Mój nowy serial telewizyjny, *Little Mosque on the Prairie* [Meczecik na prerii], dopiero co zaczął być emitowany przez stację CBS. Sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer Samiula.

– Co oni mówią? – zapytałam przestraszona.

– Chcą, żebym się z tobą rozwiódł. Krzyczą raz po raz „Hańba! Hańba!”. Zostań tam, gdzie jesteś, dopóki sobie nie pójdą. Nic nam nie będzie, zobaczysz.

Sądziłam, że muzułmanom spодoba się to telewizyjne odzwierciedlenie naszej społeczności, pozbawione zwyczajowych stereotypów o dzierżących broń terrorystach. Tymczasem skończyłam osaczona w meczecie, czekając, aż motłoch się rozejdzie. Uderzyłam w płacz – głównie z rozczarowania i gniewu.

– Nie płacz – poprosiła przyjaciółka. – Nie zrobiłaś nic złego.

Czyżby?



Nakręciwszy kilka filmów krótkometrażowych, parę lat poświęciłam na pisanie scenariusza filmu fabularnego o muzułmańskim aktorze, któremu agencja proponuje rolę terrorysty przymierzającego się do porwania samolotu. Mężczyzna rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, żeby kupić pierścionek zaręczynowy dla swojej narzeczonej. Koniec końców udało mi się umówić spotkanie ze znaczącym producentem.

– W całej swojej karierze nie widziałem równie źle rokującego projektu – powiedział mi na dzień dobry.

– Ależ scenariusz jest bardzo zabawny – zaprotestowałam.

– Czy pani w ogóle pamięta jedenastego września?

– Oczywiście.

– W takim razie chyba nie myśli pani poważnie o tym scenariuszu – rzucił zdenerwowany producent. – Napisała pani coś, co nie ma szansy na realizację na tym świecie. Nie można zrobić komedii o muzułmaninie porwijącym samolot!

– Od jedenastego września minęło pięć lat i nikt niczego już nie porywa – argumentowałam.

– Mój bohater jest aktorem, nie terrorystą.

– Nikt nie zrealizuje komedii o porwaniu samolotu, nigdy, przenigdy – dodał z emfazą. – Jest pani bardzo utalentowaną scenopisarką, ale to nie przejdzie. Słyszysz mnie pani?

– A co z *Producentami*? – skontrowałam. – Sztuka z tego filmu nosiła tytuł *Wiosna dla Hitlera*, a mimo to zdobył on taką popularność, że leciał potem na Broadwayu.

– Pani chyba żartuje – obruszył się producent. – Ten film powstał dziesiątki lat po drugiej wojnie światowej, a i tak wzbudził kontrowersje. Uważano, że jest w złym guście. Być może da się nakręcić taką komedię za sto lat, ale wtedy i pani, i ja będziemy od dawna martwi.

Wróciłam do domu nadąsana. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że szaleństwem było rozglądanie się za producentem, a z drugiej nie chciałam zrezygnować ze swojego marzenia.

– Samiul, wpadłam na ten pomysł na długo przed jedenastym września, a teraz nie mogę go zrealizować.

– Tak, na tym polega prawdziwa tragedia jedenastego września – rzucił Samiul z sarkazmem.

– Moja kariera jest skończona. Już nigdy nic nie napiszę – dramatyzowałam.

– A może byś stworzyła inną komedię? – zaproponował. – Scenopisarze nazywają się scenopisarzami, ponieważ piszą.

Wkrótce Narodowa Rada Filmowa zaprosiła mnie do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Albercie, na którym chciała się pochwalić swoimi dokumentalistami.

– Co scenopisarze robią na tym festiwalu? – zapytałam Anitę, moją przyjaciółkę.

– Szukają producentów dla swoich seriali – odparła i podesłała mi parę szablonów.

Właśnie pracowałam nad filmem dokumentalnym zatytułowanym *Ja i meczet*, w związku z czym najbardziej zajmowało mnie wpasowanie islamu w świat współczesny. Zastanawiałam się, jak by się zmieniła dynamika w meczecie, gdyby imam był Kanadyjczykiem i feministą. Napisałam więc szkic scenariusza o młodym, odnoszącym sukcesy muzułmańskim prawniku z Toronto, który nagle dochodzi do wniosku, że praca w korporacji niszczy jego duszę. Akurat gdy rozgląda się za jakimś bardziej satysfakcjonującym pod względem duchowym zajęciem, natyka się na ogłoszenie poszukujące imama do małego, zapuszczonego meczetu w Saskatchewan. Przyjmuje tę pracę, uważając ją za nowy początek.

Przed festiwalem w Albercie umówiłam się na spotkanie z paroma producentami.

– Mam scenariusz o muzułmańskim aktorze, który dostaje rolę porywacza samolotu...

– Spasuję – przerwał mi producent. – Myślałem, że przychodzi pani z gotowym serialem.

Wyciągnęłam swój szkic scenariusza o młodym mężczyźnie, który zostaje imamem. Meczet umieściłam w dawnym kościele, ponieważ świątynia, do której chodziłam w dzieciństwie, wcześniej służyła za kościół i te dwie budowle zlały się w jedno w mojej świadomości. Witraże i galerie były dla mnie bardziej muzułmańskie niż chrześcijańskie. Ilekroć zaczynałam opowiadać o swoim nowym projekcie, ludzie się ekscytowali. Dziwne.

- Wspaniały pomysł – pochwalił producent z WestWind Pictures.
- Nie mówi pan o scenariuszu z porywaczem, co? – upewniłam się.
- Nie, tamten jest okropny. Niech pani o nim zapomni.

Kilka miesięcy później dowiedziałam się, że Anton Leo, szef działu komediowego w CBS, zbiera propozycje seriali. Spotkałam się z nim w biurze CBS w Reginie, dokąd się udałam razem z Michaeliem Snookiem z WestWind Pictures. Po krótkiej kurtuazyjnej rozmowie Anton rozsiadł się wygodnie i rzucił:

– Dawajcie, co tam macie.

Wpatrywałam się w niego tępo. Michael odchrząknął i spojrzał na mnie. Najwyraźniej wszyscy się spodziewali, że przemówię.

– Eee, a więc jest pewien muzulmański aktor, który dostaje rolę porywacza...

– Nie to – przerwał mi Michael. Równocześnie poczułam kopnięcie pod stołem. – Tutaj jest wszystko spisane. – Przesunął na białce szkic scenariusza.

– Właśnie – podchwyciłam, nagle żałując, że nie odświeżyłam sobie pomysłu, nad którym pracowałam pół roku wcześniej. – Nowy imam odstaje od wyobrażeń społeczności muzulmańskiej: chodzi gładko ogolony, nosi garnitury...

– Zatem to klasyczna historia typu „ryba wyrzucona z wody”? – zapytał Anton.

– Jestem raczej pewna, że w scenariuszu nie ma nic o rybach – powiedziałam niepewnie.

– Cha, cha, żartownisia. – Michael zaśmiał się nerwowo. – Oczywiście, jest to klasyczna historia tego typu. Imam pochodzi z Toronto, ale przenosi się na wieś do Saskatchewan. Tak naprawdę Zarqa też pochodzi z Toronto, więc mamy tu wątki autobiograficzne.

Po jakimś czasie wyszliśmy na zewnątrz.

– Nie najlepiej nam poszło, co? – zapytałam.

– Może nie najlepiej, ale na moje oko wejdziemy w fazę produkcji – odparł Michael.

– Naprawdę?

– Tak. To tak genialny pomysł, że nawet tobie nie uda się go spieprzyć.



Po trzech miesiącach wszystkie odcinki były gotowe. Szefowie CBS poprosili mnie, abym przyjechała do Toronto na premierę i dalej robiła serialowi reklamę. Pierwszy odcinek obejrzałam razem z rodzicami.

– Co myślisz? – zapytałam Mamę, która przez cały czas robiła na drutach.

– Myślę, że powinnaś być w domu z dziećmi – odparła.

– Chodziło mi o serial – wyjaśniłam. – Co myślisz o serialu?

– Myślę, że hidżaby były bardzo ładne – powiedziała. – Skąd je wzięłaś?

Kilka godzin później zatelefonował reporter.

– Są wyniki oglądalności pierwszego odcinka.

Czekałam na nie. Wiele kanadyjskich seriali odpada w przedbiegach, ponieważ Kanadyjczycy – w przeciwieństwie do Amerykanów – nie mają milionów na reklamę. Tym razem jednak zainteresowanie Amerykanów oznaczało, że będziemy mieli odpowiednie wsparcie.

– Jak wypadliśmy?

– Dwa miliony sto tysięcy! – wypalił reporter. – Doskonały wynik! *Meczecik* sprawi, że stacja ożyje. Można to porównać do odkrycia *Kryminalnych zagadek* przez stację PBS.

– Chyba nikt się tego nie spodziewał... – powiedziałam słabo.

– Że hitem będzie religijny serial komediowy o muzuł-manach oddających cześć Bogu w rozpadającym się meczecie przerobionym z kościoła w zapadłej dziurze Kanady? – sprecyzował dziennikarz. – Na bank nikt się tego nie spodziewał.

– Dziękuję – odparłam niepewna, czy właśnie usłyszałam komplement.

Pobiegłam do domu. Sześćioletni już Zayn czekał na mnie przy drzwiach.

– Nie lubię, kiedy wyjeżdżasz – powiedział, obejmując mnie.

– Nic mu nie jest – zapewnił Samiul. – Ale lubi tobą manipulować.

– Właśnie że coś mi jest – sprzeciwił się Zayn. – Płaczę w szkole.

– Widzisz? – zapytał Samiul. – Tylko nie daj mu się wpędzić w poczucie winy.

Samiul wziął Zayna na ręce i zaniósł go do łóżka, podczas gdy ja sięgnęłam po gazetę. Byłam ciekawa reakcji mediów na mój serial. W pierwszej kolejności przeczytałam recenzję Margaret Wentę, mojej ulubionej felietonistki z „Globe and Mail”. Nie była zachwycona.

„Jeśli jest na świecie taki imam, przejdę na islam, przywdzieję hidżab i polecę najbliższym samolotem do Mekki” – napisała.

Byłam wstrząśnięta, że zdaniem Margaret wśród wielu miliardów muzułmanów żyjących na świecie nie ma ani jednego przystojniaka. Rozważałam, czyby nie wysłać jej zdjęcia Samiula, lecz szybko doszłam do wniosku, że obecność Margaret Wentę w meczecie mogłaby wielu wyprowadzić z równowagi.

Jednakże nie tylko ona pozostała sceptyczna. W nadchodzącym tygodniu każdy muzułmanin, jakiego spotkałam, zgłaszał zastrzeżenia do filmu.

– Chcemy, żebyś nas przedstawiła jako doskonałych – powiedziała Biała Chustka.

– To się nazywa propaganda – odparłam. – I dotyczy wyłącznie przedstawień kukiełkowych i programów dla dzieci.

– Naprawdę uważasz, że muzułmanki nie muszą zakrywać włosów w obecności gejów? – dopytywał Brązowy Turban.

– To pytanie z pewnością warto zadać.

– Chyba tylko w piekle – prychnął Brązowy Turban.

– Pokazałaś na ekranie krew menstruacyjną – oburzała się Czarna Chustka. – Musiałam zakrywać dzieciom oczy.

– Ależ islam nie ma nic przeciwko menstruacji – stwierdziłam. – Dlaczego muzułmanie są tacy przewrażliwieni na sprawy, o których Bóg i prorok wyrażali się z najwyższą delikatnością?

– Całowanie mężczyzny na oczach wszystkich? – grzmiała Różowa Chustka. – Szczypanie mężczyzny w tyłek w meczecie? To niemuzułmańskie zachowanie!

– Chodzi o małżeństwo... – próbowałam wyjaśnić.

Dorastanie w Kanadzie sprawiło, że stałam się bardziej tolerancyjna w sprawach intymnych. Samiul i ja czuliliśmy się do siebie na oczach dzieci, które postrzegały to jako zachowanie obrzydliwe, lecz będące przejawem miłości. Z kolei ani moi, ani Samiula rodzice nie okazywali sobie uczuć w naszej obecności. Wszyscy czworo wychowali się w znacznie bardziej powściągliwym środowisku. Nie zwracali się nawet do siebie po imieniu, ponieważ ich zdaniem

było to zbyt poufałe. Bohaterowie *Meczeciku* postępowali tak jak ja, co paradoksalnie bardziej przypominało zachowanie pierwszych muzułmanów niż to, co można było zobaczyć obecnie. Tydzień po tygodniu współwyznawcy z mojego meczetu stawali się coraz bardziej pobudzeni. Zachowywali się tak, jakbym nakręciła *Pornosik na prerii*. Z każdą chwilą stawało się jaśniejsze, że żyję w konserwatywnej społeczności imigrantów, którzy uważają, że natrzęsanie się z muzułmanów jest równoznaczne z natrzęsaniem się z islamu. Nie widzieli różnicy między jednym i drugim.

Oburzenie i gniew osiągnęły apogeum w tamten piątek podczas modlitwy. Ludzie domagali się mojej głowy, a ja tkwiłam w salce dla kobiet, zastanawiając się, jak to się stało, że moje życie doszło do tego żalnego punktu.

Gdy tłum w końcu się przerzedził, Samiul i ja wróciliśmy do domu. Mój mąż był wściekły, że ludzie zareagowali w ten sposób. Ja miałam nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach, jednak kilka dni później do Stowarzyszenia Islamskiego w Saskatchewan wpłynęła petycja, aby wykluczyć mnie z grona wiernych. W tamtym czasie sekretarzem rady był Samiul. Musiał poprosić o wykluczenie z obrad, kiedy dyskusja toczyła się na mój temat. Rada przesądziła, że nie można kontrolować zachowania wiernego, lecz petenci upierali się przy swoim.

– Co mamy zrobić waszym zdaniem? – zapytał sarkastycznie członek rady. – Spalić jej dom?

Zastanawiałam się, czy właśnie to by mnie spotkało, gdybym mieszkała w innej części świata. Jednakże byłam mieszkanką Reginy w Kanadzie i miałam prawo żartować taktownie z muzułmanów. Ostatecznie postanowiłam zaoszczędzić członkom rady zgryzoty i sama wystąpiłam o usunięcie mnie z grona miejscowego Stowarzyszenia Islamskiego. Moją prośbę spełniono, zwracając mi dwadzieścia pięć dolarów wpisowego.

– Naprawdę sądziłam, że muzułmanom ten serial się spodoba – powiedziałam do Samiula tego samego wieczoru.

Przeglądałam blogi zniechęcona i przybita. Ciężko było czuć się częścią społeczności, która traktowała mnie jak wyrzutka.

– Słuchaj, to jest pierwszy serial telewizyjny o muzułmanach w Ameryce Północnej, a może i na świecie – powiedział Samiul. – Udało ci się potrać kilka świętych krów.

Zabrał mi laptopa sprzed nosa.

– Ale ja nie zamierzałam potrać żadnych świętych krów. Chciałam tylko roztoczyć przed nimi widoki nowych pastwisk – odparłam, usiłując w duchu dojść do ładu z wydarzeniami ostatnich kilku dni.

– Możesz sobie pisać, co chcesz – zapewnił mnie Samiul. – Wierz mi, wkrótce ich uwaga skupi się na czymś innym. Pewnego dnia ci, którzy teraz nienawidzą *Meczeciku*, jeszcze się w nim zakochają.

Wątpiłam w to. Konserwatywni muzułmanie są twardym orzechem do zgryzienia. Zgnębił mnie ich kolektywny osąd. Za radą Samiula przestałam się zaczytywać komentarzami internetowymi, lecz upłynęło trochę czasu, zanim mogłam wrócić do meczetu. Niegdyś było to dla mnie ustronie, teraz jednak niosło ze sobą niemiłe wspomnienia.

– Nie jestem pewna, czy chcę mieć wciąż do czynienia z muzułmanami.



Okazało się, że nie będę musiała często oglądać sąsiadów. Zatelefonował do mnie Michael Snook.

– Zarzą, CBS daje serialowi zielone światło. Stacja zamówiła kolejne dwadzieścia odcinków – powiedział.

– To wspaniała wiadomość – odparłam, zapominając o niedawnym rozczarowaniu. Znowu byłam oficjalnie podekscytowana. – Zapadła też może decyzja, gdzie będą robione zdjęcia?

– W Toronto – odparł Michael. – Wiem, że ci się to nie podoba, ale CBS uważa, że tak będzie najlepiej. Będziesz tu potrzebna.

– Jak długo?

– Pół roku.

Pierwsze dwa odcinki *Meczeciku* nakręciliśmy w Reginie, wykorzystując naszą kuchnię do niektórych scen rodzinnych. Po dwóch wyczerpujących latach podróży przy kręceniu poprzedniego dokumentu z radością co wieczór wracałam do Samiula i dzieci. Kolejne pięć odcinków kręciliśmy już w Toronto, dokąd musiałam się przenieść na trzy miesiące. Ponieważ w Saskatchewan mieszkałam tylko ja i Michael, nic dziwnego, że szefowie CBS, którzy chcieli trzymać rękę na pulsie, zdecydowali o lokalizacji torontyjskiej, umożliwiającej im dbanie o każdy szczegół projektu.

– Samiul, powiem Antonowi, że nie dam rady – oznajmiłam, przyglądając się Zaynowi, który wypełniał kolorowanekę przy stole.

– A to dlaczego?

– Z powodu dzieci – odparłam. – Co z nimi będzie?

– Nic – rzekł Samiul. – Mają jeszcze ojca.

Zayn podniósł spojrzenie.

– Mama znowu wyjeżdża? – zapytał i wybuchnął płaczem.

– Widzisz? – Wskazałam z przejęciem syna. – Płacze.

– To się nazywa manipulacja emocjonalna.

– Jakkolwiek się nazywa, działa. Może reszta ekipy poradzi sobie beze mnie?

– Masz na myśli bandę białych scenopisarzy, którzy nigdy nie nawiedzili meczetu? Ktoś taki miałby stworzyć komedię o meczetowym życiu? Nie zapominaj też, że jak dotąd to twój największy sukces.

Tak ciężko pracowałam, żeby się przebić, a kiedy to się stało, nagle poczułam w ustach gorzko-słodki smak... Z jakiegoś powodu uważałam, że dom i praca będą zawsze szły w parze. Tymczasem odkąd dzieci podrosły i nie dały się przenosić z miejsca na miejsce, musiałam je zostawiać w domu. Koniec końców poleciałam do Toronto i ku wielkiej obrazie Mamy zamieszkałam w wynajętym mieszkaniu. Nie mogłam wprowadzić się do niej. Miałam wystarczające wyrzuty sumienia z powodu tego, że porzuciłam rodzinę, a tylko by mnie bardziej dołowała.

Na planie filmowym powstała scenografia w postaci wnętrza meczetu – tak jak prosiłam, z kolorowymi dywanami, tandetnymi zegarami na ścianach i przegrodą pomiędzy mężczyznami i kobietami. W końcu musiałam być dokładna. Jakimś cudem kierunki świata się zgadzały, więc pierwszego dnia postanowiłam się tam pomodlić. Czułam się jak w domu, z tą różnicą, że tu zaznałam większego spokoju i wytchnienia. Ta przestrzeń stała się moim sanktuarium – moim meczecikiem w mieście.



Sześć burzliwych sezonów później *Meczecik na prerii* zakończył emisję. Odprężona zaczęłam oglądać „Obywatela Khana” [*Citizen Khan*], nowy prześmieszny obrazoburczy serial BBC o brytyjskiej społeczności muzułmańskiej.

Przewijając komentarze na stronie BBC, czytałam zwyczajowe narzekania oburzonych muzułmanów. W pewnej chwili natknęłam się na następujący wpis:

„To w żadnym razie nie jest *Meczecik na prerii*. Tamten serial wiedział, co to szacunek dla wiary”.

Dżinn a sprawa muzułmańska

Wybiegłam ze sklepu na stacji benzynowej do Samiula, który tankował naszego minivana.

– Musisz pójść ze mną do toalety – powiedziałam.

– Co to, zapomniałaś, jak się siusia? – zapytał zdumiony. – To przypomina jazdę na rowerze, nie sposób zapomnieć, jak się to robi.

Pokazałam mu klucz przyczepiony łańcuszkiem do deseczki. Ręka mi się trzęsła.

– Toaleta mieści się nie w budynku stacji, tylko na zewnątrz – wyjaśniłam. – Właściciel skierował mnie do lasu, gdzie stoi wygodka.

– Boisz się, że się zgubisz? Wygodkę widać nawet stąd.

– Po prostu potrzymaj mnie za rękę. Czy tak trudno być choć raz dobrym mężem? – Czułam frustrację z powodu jego uporu.

– Dobry mąż trzyma żonę za rękę w ciężkich chwilach. To nie jest ciężka chwila. – Samiul wszedł do minivana i włączył silnik. – Chodź, jedziemy!

– Muszę się najpierw wysikać! – krzyknęłam.

Samiul wyjął kluczyk ze stacyjki.

– No to idź.

– Od kiedy to stacje benzynowe mają wygodki? – wyjęczałam i usiadłam na fotelu pasażera, żeby Samiul zobaczył, jaka jestem spanikowana. Koniecznie chciałam, by zrozumiał, że to śmiertelnie poważna sprawa.

– Dla takich jak ta to normalne – powiedział Samiul. Żartował sobie z mojego strachu. – Czy ty nie przesadzasz? Jaki film oglądałaś w czasie jazdy? Nie był to przypadkiem jakiś horror o nawiedzeniu?

– Eee, nie. To była historia miłej dziewczynki imieniem Emily Rose. Coś w rodzaju *Ani z Zielonego Wzgórza*. Ale wyprowadziła mnie z równowagi. – Kłamanie kiepsko mi szło. – Dlatego chcę, żebyś ze mną poszedł.

Wracaliśmy z urlopu w Albercie. Nieroztropnie zabrałam na drogę DVD z filmem *Egzorcyzmy Emily Rose*. Samiul odradzał mi oglądanie horrorów o nawiedzeniu, ponieważ po ich obejrzeniu wariowałam, a on musiał znosić tego konsekwencje. Dlatego przeschmygłowałam film na swojego laptopa i patrzyłam na ekran ukradkiem, podczas gdy Samiul patrzył na drogę. Uważam, że nikt nie zna się na egzorcyzmach tak dobrze jak katolicy.

- Co oznacza „nawiedzenie”, *abbu*? – zapytał siedzący z tyłu Zayn.
- To coś w rodzaju odwiedzin, tylko płatnych – odparła Inaya.
- *Abbu* i *ummi* muszą za coś zapłacić, a nie chcą? – dopytywał Zayn.
- Nie, głuptasie – odezwała się z wyższością dwunastolatki Maysa. – Nawiedzenie oznacza, że nagle ma się zdolności, jakich wcześniej się nie miało, prawda, tato? – zwróciła się do Samiula. – Na przykład mówi się znieca po francusku.
- Albo znika – dodała zafascynowana Inaya. – Czy mama stanie się niewidzialna?
- Tylko wtedy, jeśli odjadę bez niej – rzucił Samiul. – Co poważnie rozważam. Po coś brała ten film? Przecież musiałaś wiedzieć, jakie wrażenie na tobie zrobi.

W tym tkwiło sedno mojego problemu. Superman przejawia niesłychaną siłę, a ja potrafię obejrzeć najstraszniejszy horror bez jednego wzdrygnięcia czy późniejszego koszmaru. Nawet filmy z serii *Piła* były w porządku, dopóki nie zaczęły być trochę męczące: ot, kolejny facet budzący się w piwnicy z interesem w maszynie do mięsa, która zmiażdży mu klejnoty rodzinne, jeśli nie odpowie na jakieś tam pytanie. Nuda. Jednakże nawiedzenie to mój kryptonit.

Muzułmanie nie wierzą w duchy ani w wirusy zombie, które pozwalają nieumarłym snuć się bez końca i pożerać żywych ludzi (z wyjątkiem Hugh Hefnera, którego darzymy pogardą). Trup pozostaje trupem i nie wraca, żeby straszyc. Nawet gdy ktoś nie zdążył się pożegnać jak należy albo wyznać policji, kto jest mordercą, względnie zdradzić jakiś inny sekret, klamka zapadła. Żadna muzulmanka nie będzie mieć okazji nabazgrać na zaparowanym lustrze po czyjejś kąpieli: „Łyzeczka galaretki winogronowej w sosie to tajemnica moich łazani”. Gdyby Patrick Swayze w *Uwierz w ducha* był muzulmaninem, film trwałby góra pięć minut.

Według islamu człowiek żyje tylko raz, a gdy jego dusza odchodzi, zmierza prosto w stronę światła, tak że nie ma mowy o spóźnionych przypomnieniach tym, co zostali, iż trzeba odebrać z pralni pranie. Muzułmanie uważają, że tylko biali widzą białe światło, wybudzając się ze śpiączki. Nie mam pojęcia, co widzą w takiej sytuacji muzulmanie – prawdopodobnie kłócących się krewnych. W każdym razie dlatego horrory nie robią na mnie wrażenia. Nie miewam po nich koszmarów ani obaw. Chyba że traktują o nawiedzeniu. Te oglądam do samego końca z chora fascynacją, po czym płacę swoją cenę.

- Mogłabym sobie urządzić piknik na cmentarzu – powiedziałam. – Oto jaka jestem dzielna.
- Udowodnij to, idąc do wygódki – poprosił Samiul oschłym tonem. – Bo naprawdę chciałbym stąd odjechać.

Zmierzyłam go wzrokiem.

- Może mnie nawiedzić dzinn – syknęłam.
- A mnie mógłby pożreć pies dingo – odparł Samiul.
- Co to jest dzinn? – zapytał Zayn.
- Samiul spojrział na mnie.
- Ja mu odpowiem – powiedziałam. – No więc, wiesz już, że wedle muzulmanów ludzie zrobieni są z gliny, a anioły ze światła, tak?
- Tak – potwierdził Zayn.
- Otóż wierzymy dodatkowo w trzeci byt, zrobiony z bezdymnego ognia. To właśnie są dzinny.
- Takie duchy? – zapytał Zayn.
- Nie, aczkolwiek też są niewidoczne dla ludzi, zupełnie jak Bóg i Wi-Fi.

– Chyba nie tak powinno się rozmawiać z dziećmi o religii – rzucił dotknięty Samiul.

– Wyluzuj. Pomyśl o tym jako o lekcji życia.

– Z tym że to nie ma wiele wspólnego z prawdziwym życiem – mruknął Samiul.

– Ale co to jest džinn? – Zayn przypomniał znów o sobie.

– Dżinny do pewnego stopnia przypominają ludzi. Mają wolną wolę, mogą się żenić i mieć dzieci, wyznają różne religie, ale wszystkie są niewidzialne i zamieszkują bezludne tereny. Leśne wygodki to dla nich magnes.

Wiedziałam, że to szaleństwo, ale właśnie w nie wierzyłam.

– Więc to dlatego mama nie może zrobić siusiu w lesie – skwitowała Maysa.

– Najwyraźniej. – Samiul pokiwał głową. – Z tym że dżinny w jej oczach zamieniły się w potwory.

Osobiście wierzył, że džinn jest emanacją złej podświadomości, czymś w rodzaju diabła siedzącego na jednym ramieniu w ramach przeciwwagi dla anioła na drugim. Ja jednak wychodziłam z przekonania, że świat džinnów i świat ludzi czasem się zazębiają. To, co ja postrzegałam jako wygodkę, dla džinna mogło być trzypokojowym domem. W takim wypadku wzięłby mnie za intruza, zdenerwował się i nawiedził mnie w odwecie, przez co stałabym się kimś w rodzaju Emily Rose.

– Czy džinn patrzy, kiedy się siusia? – zainteresował się Zayn.

– Nikt na ciebie nie patrzy, kiedy sikasz – zapewnił go Samiul.

– Ja czasami patrzę na Rashada – wyznał Zayn.

– Tato! – zawołał Rashad.

– Nikt na ciebie nie patrzy, jeśli zamykasz za sobą drzwi. – Samiul przeniósł spojrzenie na Zayna. – A ty skończ z podglądaniem brata.

– Daleko jeszcze do domu? – zapytałam.

– Zamierzasz trzymać, póki nie dojedziemy do domu? – Samiul się zdziwił.

– Nie pamiętasz opowieści z dzieciństwa? Dżinny potrafią przybierać ludzką formę z wyjątkiem jakiejś części anatomii, powiedzmy kosmatej łapy, która zachowuje cechy zwierzęce.

– Mama też jest kosmata – wtrącił Zayn.

– To prawda – potwierdziła Inaya i zerknęła na mnie uważniej. – Staniesz się niewidzialna?

– Moja koleżanka Anila twierdzi, że dżinny przybierają ludzką postać, kiedy im wygodnie – oświadczyła Maysa. – I że w części to muzułmanie.

– Zdarza się, że mama znika w porze historyjki na dobranoc – zauważył Rashad. – Zupełnie jakby stawała się niewidzialna.

Dzieci przyjrzały mi się podejrzliwie.

– Nie jestem džinnem! – wrzasnęłam, szukając wsparcia u Samiula.

– Sama zaczęłaś – odparł bez cienia współczucia.

– Dżinny jedzą kupę i mieszkają w lesie – powiedziałam do niego.

– Faj! – Maysa aż się zachnęła.

– A może kości? – zastanawiałam się na głos. – Jak cię uczono? Kupę czy kości?

Samiul nie zniżył się do odpowiedzi na to pytanie. Włączył silnik. Nie pozwoliłam, aby zbiło mnie to z pantałyku.

– Jakie obowiązują reguły? Nie siadać na nich ani nie polewać ich wrzątkiem. Jednego tylko nie rozumiem... Skoro są niewidzialne, jak zapobiec przypadkowemu nadeptaniu i rozwścieczeniu ich, co nieodmiennie kończy się nawiedzeniem? – dywagowałam. – To prawdziwy dylemat.

– Dla ciebie na pewno – rzekł Samiul.

– Śmieję się, ile chcesz, ale niektórzy sądzą, że dzinny spółkują z ludźmi. Może akurat jestem w typie tego dzinna z wygodki.

– Nikt, kto siedzi na sedesie, nie jest w niczym typie – zaproponował Samiul.

– A co będzie, jeśli ten dzinn zapragnie zjeść moją kupę, spółkować ze mną i na koniec jeszcze mnie nawiedzić?

Samiul nie odpowiedział. Nie rozumiałam, czemu nie bierze mnie poważnie. Otworzyłam drzwi i ostrożnie wysiadłam. Byłam z powrotem raz-dwa.

– Szybko ci poszło – stwierdził Samiul.

– Tylko oddałam klucz – odparłam ponuro. – Jedźmy do domu najszybciej jak się da.

Samiul ruszył i wkrótce jechaliśmy już po autostradzie. Wygodka przeznaczenia została w tyle. Przez następne dwie godziny boleśnie odczuwałam każdy wertep na drodze.

Katolicy wierzą, że demony nawiedzają ciała, a niektórzy muzułmanie – tacy jak ja – są przekonani, że dzinny potrafią to samo. Jednakże katolicy wymagają, aby delikwenta poddać drobiazgowej diagnozie psychiatrycznej, zanim zapadnie decyzja o nawiedzeniu. Samiul, który jest lekarzem psychiatrą, musiał w swojej praktyce spotkać się z paroma nawiedzonymi.

– Jesteś pewien, że żaden z twoich pacjentów nie miał twarzy z tyłu? – zapytałam.

– Całkowicie pewien.

– I nikt nigdy nie lewitował na twoim oddziale?

– Nie.

– Czyli nie miałeś okazji wyszeptać trzech ostatnich rozdziałów Koranu, żeby doprowadzić do cudownego uleczenia? – Zdaniem muzułmanów te trzy rozdziały to najlepszy sposób na dzinna.

– Nie.

– Ludzie wariują z przeróżnych powodów, czemu nie mieliby wariować z powodu nawiedzenia? – upierałam się.

Samiul uważał, że wszystkie choroby psychiczne – schizofrenia, depresja, zaburzenia afektywne dwubiegunowe – biorą się z nierównowagi chemicznej, którą można leczyć współczesnymi farmaceutykami. Jakim cudem wciąż uważał się za muzułmanina, przekraczało moją zdolność pojmowania. Powinnam była wypytać go o poglądy na temat nawiedzenia jeszcze przed ślubem; teraz to by była musztarda po obiedzie. Nie miałam nikogo, kto by mnie pottrzymał za rękę w wygodce, w związku z czym mój pęcherz czuł się tak, jakby miał dostać udaru.

Do domu dojechaliśmy o drugiej nad ranem.

– Ja wezmę bagaż, ty weź dzieci – rzekł Samiul, gdy rzuciłam się w stronę łazienki, szczęśliwie wolnej od bytów nadprzyrodzonych.

Niemalże płacząc z ulgi, uznałam, że Samiul ma rację. Żadnych więcej horrorów o nawiedzeniach.

Dzieci tłukły się po domu, szykując się do spania.

– Muszę się do ciebie przytulić w łóżku – powiedziałam do Samiula.

– Zgoda. Ale nie narzekaj, jeśli będę chrapał – przestrzegł.

Ilekcroć chrapał za głośno, przenosiłam się do innego pokoju albo kazałam mu spać w piwnicy. Tej nocy jednak nie chciałam być sama. Włożyłam sobie zatyczki do uszu, po czym uczepliłam się Samiula, jakby od tego zależało moje życie, i dopiero wtedy usnęłam. Śniły mi się pieluchomajtki dla dorosłych ganiające demony.

Nagle obudziłam się, czując nad sobą czyjąś obecność. Niemożliwe – pomyślałam. Zbyttno się bałam, żeby otworzyć oczy, wiedziałam bowiem, co mnie zaraz czeka: zostanę nawiedzona. Dżinn widać uznał, że jednak jestem w jego typie, i śledził mnie ze stacji benzynowej aż do domu, chociaż nawet nie dotarłam do wygodki. A więc tak to się zaczyna. Zastanowiłam się, czy Samiul w ogóle zauważy, że zniknęłam – duchem, jeśli nawet nie ciałem. Dżinn zbliżał się coraz bardziej, już czułam jego gorący oddech na swojej twarzy. W końcu nie wytrzymałam i otworzyłam oczy.

Nade mną wisiał Zayn. Przerażony i wielkooki.

– Zostawiłaś mnie w samochodzie – powiedział, szcękając zębami.

– Co się dzieje? – zapytał Samiul, trąc oczy.

– Mama zostawiła mnie w samochodzie. Obudziłem się, kiedy zmarzły mi paluszki u nóg. – Zayn wślizgnął się między nas dwoje.

Rozcierałam mu dłonie i stopy, unikając spojrzenia Samiula. Na prerii robi się chłodno nocą.

– Nie sprawdźłaś, czy wszystkie dzieci wysiadły? – zapytał mój mąż.

– Słyszałam, jak biegają po domu – wymamrotałam. – Założyłam, że są wszystkie. Przepraszam, Zayn...

Czułam się strasznie. Choć dzieci były już wystarczająco duże, by umiały same wysiąść z samochodu, miałam wrażenie, że zawiodłam synka.

– Bałeś się? – zapytał go Samiul.

– Było bardzo ciemno. Wysiadłem powoli i wspiąłem się po schodkach w garażu. – Zayn przestał już się trząść z zimna. – Przez cały czas starałem się nie myśleć o dżinnie, który może mnie pożreć.

– Dżinny nie jedzą ludzi – zaczęłam, zaraz jednak uznałam, że nie pora wyjaśniać subtelności nawiedzenia. – Naprawdę bardzo mi przykro. – Pogładziłam Zayna po włosach. – Obiecuję, że już nigdy nie obejrzę horroru.

– A obiecujesz też wysiusiać się w wygodce, jeśli zajdzie taka potrzeba? – zapytał Samiul.

Jak w ogóle może pytać o coś takiego! – pomyślałam.

– Tak – odparłam. – Chociaż jeśli zostanę nawiedzona, jeszcze tego pożałujesz.

– Skąd byśmy wiedzieli, że jesteś nawiedzona? – zainteresował się Zayn.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Pewnie mówiłabym dziwne rzeczy i zachowywałabym się dziwnie, tak że byście mnie nie rozumieli. Przestałabym być racjonalna.

Zayn i Samiul popatrzyli na siebie.

– Jakoś byśmy sobie dali radę – rzucił mój mąż i po chwili już chrapał.

Przyglądając się obydwóm, jak śpią, pomyślałam, że powinnam zapanować nad swoimi strachami. W przeciwnym razie rodzina jakoś zainterweniuje. Albo co gorsza, pozwoli na nawiedzenie mnie, licząc na poprawę. Jednakże w tej akurat chwili zachciało mi się siku.

Zerknęłam w stronę łazienki. Było ciemno. Zerknęłam na zegarek. Do świtu pozostały tylko

trzy godziny. Uznałam, że wytrzymam.

Świąteczna kolacja

- Kiedy wypada w tym roku Id al-Fitr? – zapytałam Samiula.
 - Sprawdź w Internecie – poradził mi.
 - Chrześcijanie mają szczęście – rzekłam z urazą. – Zawsze wiedzą, kiedy wypada Boże Narodzenie.

Nawet scjentolodzy wiedzą, kiedy wyłączyć galwanometr elektrostatyczny. A muzułmanie? W naszym wypadku to bardziej skomplikowane. Do obliczania świąt nadal stosujemy kalendarz księżycowy zamiast powszechnego gregoriańskiego. To oznacza, że Id al-Fitr, święto kończące ramadan, co roku przesuwa się o mniej więcej jedenaście dni. Żydzi także używają kalendarza księżycowego, lecz dokonują korekty, dodając co parę lat miesiąc przestępny, dzięki czemu daty świąt wypadają mniej więcej w tym samym okresie. Muzułmanie obchodzą swoje święta w ten sam dzień co trzydzieści pięć lat! Trudno więc się w tym wszystkim połapać. Zwłaszcza mnie. Osobiście mam kłopot z zapamiętaniem dat urodzenia własnych dzieci, a przecież one są raczej stałe.

– Och, na ten sam dzień umówiłam się na depilację laserową – powiedziałam do Samiula, odwoławszy się do Google'a.

- Mama nie pójdzie z nami do meczetu? – Zayn się zmartwił.
- Mama odwoła wizytę u kosmetyczki – zapewnił go Samiul, po czym zwracając się do mnie, dodał: – Nie sprawdziłaś tego wcześniej?

– Id al-Fitr przypomina szukanie igły w ruchomym stogu siana – obruszyłam się. – Kto w ogóle sprawdza takie rzeczy przed wpisaniem czegoś do terminarza?

– Ja tak robię – powiedział Samiul. – Z trzyletnim wyprzedzeniem rezerwuję sobie trzy dni po obu stronach każdego ze świąt właśnie po to, żeby uniknąć sytuacji takich jak ta.

Czy wspominałam już, że Id al-Fitr nie jest jedynym ruchomym świętem? Jest jeszcze Id al-Adha, upamiętniające niedoszłe poświęcenie Abrahama, który dzięki boskiej interwencji zamiast syna ostatecznie złożył w ofierze barana (albo kozę, w zależności od tego, kto przytacza tę historię). Muzułmanie lubią, kiedy dużo się dzieje.

- Ojej, tata ma to naprawdę przemyślane – rzekł z podziwem Zayn. – I jemu zależy.

Tak, prawdziwy dziwak z niego – pomyślałam. Najbardziej jednak złościła mnie insynuacja, że jestem matką gorszego sortu.

- Rodzina jest najważniejsza – obwieścił Samiul.

Nieoczekiwanie dla siebie samej powiedziałam:

- W tym roku z okazji święta przygotuję dla was kolację. Sprosimy do domu wszystkich

wujków, ciotki i kuzynów.

Samiul odłożył gazetę. Miał zaniepokojoną minę. Mną niepokój targał w środku. Ledwie byłam w stanie ugotować obiad dla naszej szóstki, a tu chodziło o ucztę dla ponad trzydziestu osób. Jednakże bardzo szybko się uspokoiłam. Teściowa uwielbiała wszelkie święta i wiążące się z nimi przygotowania. W dodatku wszystko zawsze jej wychodziło. Przeciwwstawi się mojej propozycji, dzięki czemu zachowam twarz i wyjdę na dobrą żonę i matkę. Układ był idealny.

– Co cię nagle naszło? – zapytał zdumiony Samiul.

– Mówię z głębi serca, jakżeby inaczej?

– Super! Będę mógł pomagać? – Zayn zaczął podskakiwać.

– Pewnie. Mianuję cię swoim pomocnikiem – odparłam.

– Ale dasz mi posiekać warzywa prawdziwym nożem? – dopytywał.

– Chwileczkę, do tej pory kolację zawsze szykowała moja matka – wtrącił Samiul. – To stało się już tradycją. Może mogłabyś się ograniczyć do zawieszenia chorągiewek i baloników?

– Pora przełamać tradycję. Twoja matka nie robi się młodsza, trzeba jej jakoś pomóc. W końcu rodzina jest najważniejsza. – Dobrze mi szło. Byłam ideałem kobiety.

– Gdy idzie o kolację, najważniejsze jest jedzenie. A moja matka przynajmniej umie gotować.

– Ja też umiem gotować.

Samiul zamrugał. Na twarzy miał wyraz lekkiej paniki.

– Id al-Fitr to wyjątkowe święto. Kolacja mojej matki nie ma sobie równych.

– Moja też nie będzie miała.

Samiul, Maysa i Zayn popatrzyli na siebie. Posunęłam się za daleko. Musiałam się wycofać na z góry upatrzone pozycje, w przeciwnym razie nigdy mi nie uwierzą.

– Nauczę się gotować. Bycie kiepską kucharką to nie permanentna sprawa, jak na przykład bycie ślepcem. – Mówiąc, wkładałam buty. – W końcu potrafię robić batoniki ryżowe, prawda?

– Dokąd się wybierasz? – zapytał niespokojnie Samiul.

– Omówić jadłospis z twoją matką – odpowiedziałam i ruszyłam do domu obok.

Teściowa wysłuchiwała uważnie mojego planu. Przedstawiłam jej wszystko dokładnie, po czym czekałam, aż się sprzeciwi, żebym mogła wyjść z propozycją przystrojenia stołu. Wpadł mi do głowy świetny pomysł na umieszczoną centralnie Kaabę zbudowaną z batoników ryżowych.

Tymczasem teściowa przysiadła, poprawiła siwe włosy i zlustrowała mnie długim spojrzeniem. Jak nic, szykowała się do sprzeciwu.

– Łatwo się męczę – powiedziała. – Miło będzie, jak ktoś inny przejmie pałeczkę.

– Och, oczywiście, w żadnym razie bym nie chciała... Chwileczkę, co powiedziałaś? – wydukałam.

– Powinnaś ugotować sprawdzone potrawy. To nie pora na eksperymenty – oświadczyła poważnie.

Ledwie ją słyszałam, tak mi huczało w uszach z paniki. Stało się coś strasznego. Nagle doznałam wizji czterdziestu osób, które niepewnie dłubią w przypalonym jedzeniu i zerkając na mnie z pogardą, poszeptują między sobą: „Zepsuła nam święto” oraz za moimi plecami umawiają się na wizytę w Burger Kingu. Musiałam się skoncentrować.

– Zarqa, robisz doskonale curry. Myślę, że z okazji pierwszej świątecznej kolacji powinnaś

postawić na sprawdzone przepisy.

Teściowa miała rację. Jeśli przygotuję tylko różne wariacje curry, powinno być dobrze. Może nawet uda mi się stworzyć własną tradycję. Zarówno Mama, jak i teściowa cieszyły się powodzeniem wśród krewnych dzięki swoim wymyślnym ucztom. Czemu ja nie miałabym się cieszyć podobnym powodzeniem?

Podczas gdy teściowa rozwodziła się nad logistyką i strategią, moją uwagę przykuł program kulinarny, który akurat leciał w telewizji. Dwie kobiety rozważały, jak przyrządzić zdrową wersję kurczaka w maśle, który był słynnym hinduskim daniem. Technicznie biorąc, było to curry, z tym że dostatecznie inne, aby stało się moją popisową potrawą. Zamierzałam użyć inżynierii wstecznej i dodać cały ten tłuszcz, żeby uzyskać zniewalający smak. Do domu wróciłam podbudowana.

– Co powiedziała moja matka? – zapytał Samiul. Widać było, że jest podenerwowany.

– Ufa mi całkowicie i przekazuje pałeczkę w moje ręce.

– Była w ogóle w domu? – upewnił się. – Nie straciła przypadkiem rano zęba mądrości?

Przerwał nam dzwonek telefonu. Dzwoniła teściowa. Posłałam Samiulowi krzywe spojrzenie.

– Tylko koniecznie poćwicz przed świąteczną kolacją – przestrzegła mnie. – Jedynie Walmart sprzedaje udka kurczaka *halal* bez kości i skóry. Ten przepis nie zadziała z żadnym innym rodzajem mięsa. I pamiętaj, ramadan kończy się za dwa tygodnie.

– To była twoja mama – powiedziałam do Samiula. – Chciała mi jeszcze raz podziękować, że zdjęłam jej ciężar z pleców.

– Pewnie naszpikowała się nowokainą – stwierdził Samiul. – Dokąd idziesz?

– Do sklepu. Muszę zrobić zakupy.

Wrzuciłam do wózka trzy produkty, których prezenterki programu kulinarnego propagujące niskotłuszczową dietę radziły unikać: masło orzechowe, zwykłe masło i śmietankę. Następnie sięgnęłam po paczkę udek kurczaka bez kości i skóry, zajmujących część lady *halal*. Po powrocie do domu zamarynowałam kurczaka na noc, a rano rozpaliłam w ogrodzie grilla, przypiekłam mięso i, pokroiwszy je w kawałki jadalnej wielkości, ugotowałam w łaźni z tłuszczu. Gdy Zayn spróbował pierwszy kęs, czułam się jak zawodniczka programu *Piekielna kuchnia*.

– Pycha – powiedział, przeżuając.

Popatrzyłam triumfalnie na Samiula.

– Z powodu postu w ciągu dnia – wyjaśniłam mu – nawet nie skosztowałam w trakcie gotowania. A mimo to wyszedł doskonale.

Zayn odłożył widelec po trzecim kęsie.

– Co się stało?

– Najadłem się.

Spoglądając na krzepnący na jego talerzu tłuszcz, zrozumiałam w czym rzecz. Moje curry było zbyt tłuste.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby się podjąć udekorowania domu – oznajmił Samiul. – To żadna hańba.

– Nieprawda – zaprotestowała Maysa. – Nie pamiętasz tego roku, w którym mama zawiesiła u sufitu pogieęte butelki po mleku?

- Mówisz o rozdętych morskich stworzeniach? – zapytał Samiul.
- To były wieloryby! – wykrzyknęłam.
- Jakby to coś wyjaśniało – skwitowała Maysa.

W obronie wielorybów mam do powiedzenia to, że dziewczynki były wtedy małe, a ja czułam przymus rywalizowania z Bożym Narodzeniem, ojcem wszystkich świąt. My, muzułmanie, nie mamy świątecznych ikon w rodzaju Mikołaja czy Bałwanka, ponieważ histerycznie obawiamy się czczenia bytów innych niż Bóg, nasze święta zaś obracają się wokół tematów takich jak głód i składanie dzieci w ofierze. Świętowanie przypadku Abrahama jest niesłychanie wymagające, gdy idzie o ozdoby z *papier mâché*, dlatego postanowiłam improwizować. Wzięłam dwulitrowe plastikowe butelki po mleku i zamieniłam je w gigantyczne ryby nadymki – albo wieloryby, zależnie od punktu widzenia i pory dnia – po czym zawiesiłam u sufitu. Moim zdaniem był to przejaw kreatywności.

- Co wieloryby mają wspólnego z naszym świętem? – zainteresowała się Maysa.
- Te butelki mają wielorybi kształt, więc dałam się ponieść – odparłam.
- Bardziej odpowiednie niż wielkie morskie ssaki byłyby gwiazdy i księżyc – stwierdził Samiul. – Przynajmniej w Koranie są dwie sury zatytułowane od gwiazd i księżycyca.

Z jakiegoś powodu nie mamy nic przeciwko czczeniu ciał niebieskich, w związku z czym motywy kosmiczne robią furorę, gdy idzie o świąteczne ozdoby. Księżyc wziął się z kalendarza księżycowego, a gwiazdy swego czasu pomagały w nawigacji. Nie jest to specjalnie mistyczne, ale cóż. Przy tamtej okazji całkiem mi umknęło. Jednakże ponieważ moje curry było niejadalne, czułam, że muszę się bronić.

- To co? Są też sury zatytułowane *Krowa* i *Drzewo figowe* – powiedziałam. – Czy to oznacza, że powinnam zrobić ozdoby w kształcie krowy skaczącej przez drzewo figowe?
- Sama widzisz. Nie bierzesz świąt poważnie. – Samiul się obruszył.
- Ani religii – dodała Maysa.
- Tak, cóż, przynajmniej biorę poważnie moje curry. Następnym razem dam do niego mniej tłuszczu.

Nazajutrz zaopatrzyłam się w nowego kurczaka i zaczęłam wszystko od nowa. Poprosiłam Samiula, żeby wyczyścił grilla, którego zapaćkałam udkami z kurczaka.

- Zarqa! – Usłyszałam okrzyk.
- Wyszędłszy na zewnątrz, zobaczyłam, że grill był włączony przez całą noc.
- Jak to możliwe? – zapytałam.
- Nie wyłączyłaś go – odparł Samiul. Resztki przywartego mięsa zamieniły się w szary popiół.

- Czyli gaz był włączony przez całą noc. Powinien być jakiś mechanizm zabezpieczający...
- Mogłaś wysadzić dom. To by z pewnością wyłączyło grilla.
- Dlaczego ruszt jest jakiś krzywy? – zapytałam, ignorując sarkazm męża.
- Obudowa grilla chyliła się na jedną stronę, a ruszt trzymał się pod straceńczym kątem.
- Przypuszczam, że bardzo wysoka temperatura stopiła obudowę – stwierdził Samiul, gapiąc się na swój luksusowy, pierwszoligowy grill z miną człowieka, który stracił ukochanego psa. – Jeszcze nie jest za późno, żeby zamówić catering.

- Twoim zdaniem nie poradzę sobie?
- Miejsce kobiety nie jest w kuchni, tylko w sali posiedzeń zarządu.

- Mówisz, że jestem seksistką dlatego, że chcę gotować?
- Mówię, że twoje zdolności nie obejmują gotowania – odparował Samiul.

Miał rację. Jednakże jakąś częścią siebie chciałam się zająć innymi rzeczami. Przez całe życie dbałam tylko o karierę, teraz to się miało zmienić. Być może za sprawą pokoleń poprzedniczek, które piekły, smażyły i dusiły przeróżne zwierzęta, zamieniając je w smakowite dania dla swoich rodzin. Moje dzieci nigdy nie okazywały takiej ekscytacji moimi planami zawodowymi jak obecnie, kiedy planowałam posiłek. Zayn zapytał nawet, czy może zaprosić kolegów i nauczycieli ze szkoły. A ja – zarażona jego entuzjazmem – poprosiłam szwagierkę, Samirę, żeby zawiesiła na Facebooku zaproszenie na kolację. Odpowiedziała niemal setka osób. Klamka zapadła. Tymczasem kurczak okazał się niejadalny, a grill się zepsuł. To jednak jeszcze nic nie znaczyło. Samiul, widząc moją determinację, roztropnie przestał się do mnie odzywać.

W miarę jak ramadan zmierzał do końca, teściowa była coraz bardziej zaniepokojona.

– Kupiłaś wystarczająco dużo mięsa? Będziesz potrzebować co najmniej trzydzieści paczek, skoro zaprosiłaś tyle osób.

Trzydzieści paczek? Szybko dokonałam w głowie kilku obliczeń i wyszło mi, że teściowa ma rację. Właściwie powinnam była robić zapasy od tygodni. Co będzie, jeśli przyjdzie mi ofiletować dwieście kurzych nóżek? W życiu nie filetowałam kurczaka. Uspokoiliam się dopiero na myśl o dużym dziale mięsnym w Walmarcie. Wszystko będzie dobrze.

– Zostało tylko pięć dni – rzucił Samiul, nie patrząc mi w oczy.

– Wiem – odparłam pogodnie, wkładając płaszcz i ruszając na zakupy. Oczywiście wyobraźni już widziałam, jak Samiul kaja się za to, że ponownie we mnie zwątpił.

W sklepie odpowiedziałam na powitanie z wielkim entuzjazmem i złapałam wózek. Nie było mowy o tym, żebym uniosła trzydzieści paczek mięsa. W drodze do chłodni wybrałam eleganckie serwetki i papierowe talerzyki. Wszystko miałam pod kontrolą. W końcu zaparkowałam wózek w alejce.

I powiodłam spojrzeniem po całkowicie pustej ladzie chłodniczej, w której normalnie wystawiano mięso *halal*. Ogarnęła mnie fala paniki. Jeszcze kilka dni temu było tu pełno. Dlaczego nie zaopatrzyłam się wtedy? Rozejrzałam się szaleńczo za kimś, kto mógłby mi pomóc, i dostrzegłam mężczyznę z identyfikatorem: KIEROWNIK DZIAŁU MIĘSNEGO. Miał na imię Ralph.

– Przepraszam, Ralph... Dzień dobry. Wczoraj widziałam tu mnóstwo mięsa. – Pokazałam na puste półki. – Co się z nim stało?

Ralph przyglądał mi się przez kilka chwil.

– Sądzę, że ktoś je kupił.

– Ale Id al-Fitr jest za pięć dni. – Miałam wrażenie, że serce chce mi wyskoczyć z piersi.

– Co to jest „Id al-Fitr”? – zapytał Ralph.

– To święto kończące ramadan, w czasie którego muzułmanie nic nie jedzą ani nie piją przez miesiąc.

– To jakim cudem żyjecie?

– Oczywiście, że jemy, ale dopiero po zachodzie słońca – wyjaśniłam z taką cierpliwością, na jaką mnie było stać. Głos dziwnie mi się łamał. – Na koniec ramadanu wyprawiamy wielką ucztę. Ogromną. Objadamy się na niej za cały miesiąc postu.

– Czy to nie ironia? – rzucił Ralph. – Przecież przekreśla to sens postu.

– Naprawdę bardzo potrzebuję tego mięsa. Czeka mnie dużo gotowania. – Zniżyłam głos i nachyliłam się ku niemu konspiracyjnie. – A jeszcze nawet nie zaczęłam.

Nie odniosło to równie dramatycznego skutku, na jaki liczyłam.

– Cóż, to niezbyt rozsądnie z pani strony. Następnym razem powinna pani wszystko lepiej rozplanować. Zaraz sprawdzę w magazynie... – Wrócił po paru chwilach. – Nie, nic nie zostało.

– Ale Id al-Fitr to nasze największe święto. A tylko u was można kupić właściwy rodzaj mięsa! – oburzyłam się.

– Naprawdę? Dopilnuję, żebyśmy następnym razem byli należycie zaopatrzeni – obiecał. – Kiedy wypada Id al-Fitr w przyszłym roku?

Zatelefonowałam do teściowej z parkingu, cała spanikowana. Zepsułam święto.

Nie nakrzyczała na mnie. Wykazała się pragmatyzmem.

– Sto osób ma się pojawić u ciebie w domu za kilka dni, a ty nie masz ani grama mięsa – powiedziała. Po czym wysłała mnie do lokalnego, świeżo otwartego rzeźnika *halal*. Doszły ją słuchy, że ma on na stanie filety z kurczaka. Oto, jakie znaczenie ma poczta pantoflowa w naszej społeczności.

Odpaliłam silnik z ciężkim sercem. Zazwyczaj unikam rzeźników *halal*. Wystawiają bowiem na widoku języki, nóżki i mózdzki, a także inne fragmenty anatomii, które mnie przerażają. Gdybym chciała zmajstrować krowę Frankensteina, tobym waliła do nich jak w dym.

Dzwoneczek przy drzwiach rzeźnika zabrzączał, kiedy weszłam do środka. Niemal każda rzeźnia *halal* przypomina ekscentryczny lombard – jest tam mięso, oczywiście, ale też wiele innych różnych rzeczy, jakich normalnie nie dostanie się u masarza, a więc ubrania, bransoletki, maty modlitewne i zestawy do parzenia herbaty. Ten konkretny nie był pod tym względem wyjątkiem. Mogłabym spokojnie zmienić wystrój salonu, zaopatrując się tutaj w błyskotki. Pomieszczenie pękało w szwach i wszyscy klienci pytali o towary niebędące mięsem. Rozpaczliwie chciałam zamienić słowo ze sklepikarzem, jednakże akurat stał za kasą i rozmawiał z mężczyzną, który wypatrzył oprawne w ramki zdjęcie Kaaby wystawione na sprzedaż.

– Ładny obrazek – stwierdził mężczyzna.

– To budzik – wyjaśnił sklepikarz.

Mężczyzna pochylił się z zainteresowaniem. Pozwólcie, że coś wytłumaczę. W krajach muzułmańskich można usłyszeć *azan*, czyli melodyjne wezwanie do modlitwy, które rozlega się pięć razy dziennie z minaretu. Jeśli komuś nie w smak pobudka o świcie, jego pech. Jednakże muzułmanie żyjący w kraju niemuzułmańskim muszą się zadowolić specjalnym budzikiem, który wygrywa *azan* metalicznie z głośniczka, informując właściciela, że nadeszła pora modlitwy. Budziki takie występują w przebraniu Kaaby i podobnych budowli. Żaden muzułmanin nie skusiłby się na budzik w kształcie na przykład krowy, ponieważ w naszej kulturze panuje strach przed oddawaniem czci żywej istocie mającej duszę. Poza tym mamy dość kiepski gust – wszystkie nasze dekoracje obejmują fikuśne napisy biegnące na czarnym aksamicie, czyli sztukę w stylu późnego Elvisa. Osobiście nie mam w domu budzika, gdyż cenię sobie ciszę. Modlę się wtedy, gdy jest na to czas. Kiedy przyjeżdżam z wizytą do rodziców, zmuszam ich, żeby wyłączyli swój budzik, boję się bowiem, że doznam ataku serca w środku nocy.

– Jak działa? – zainteresował się mężczyzna przede mną.

Tylko nie to, Boże, litości! – pomyślałam, widząc, że sklepikarz zdejmuje budzik z półki.

Następne dwadzieścia minut obydwaj spędzili na nierównej walce z wymyślnymi przyciskami ustrojstwa. Każdy budzik trzeba zaprogramować indywidualnie, ponieważ pora modlitw zmienia się w zależności od położenia słońca, a także od współrzędnych geograficznych delikwenta. Usiłowałam zachować cierpliwość, jednakże rozbolała mnie głowa od powtarzanej co rusz melodyjki, która odzywała się, gdy wskazówki były przesuwane to w tę, to we w tę. Ponoć post ma wyrobić w człowieku cierpliwość, jednakże najwyraźniej ta metoda się nie sprawdzała. Żeby się więc uspokoić, wbiłam wzrok w błyszczący salwar kamiz wyłożony na ladzie. Przyciągnęła moje oko ciemnoróżowa tunika ze spodniami do kompletu. Dotarło do mnie, że nie mam się w co ubrać w świąteczny dzień. Kiedy w końcu budzik wykazał swoją przydatność na obu półkulach, zadowolony mężczyzna opuścił sklep i nadeszła moja kolej.

– Świetny wybór – pochwalił sklepikarz, pakując mój nowy nabytek do torby. – Do twarzy pani w różu.

Tylko w sklepie *halal* można usłyszeć komplement z ust rzeźnika.

– Dziękuję – odparłam, dobierając jeszcze kilka bransoletek. – Mam jednak wrażenie, że o czymś zapomniałam...

– O mięsie? Ludzie czasem przychodzą tu po mięso.

Mięso! Tak! Ten człowiek był geniuszem.

– Ma pan filety z kurczaka? – zapytałam pewna swego, jakby sam mój głos mógł wyczarować pożądany towar.

– A na co one pani? – zapytał sklepikarz.

– Chcę nimi zatykać dziury w drodze – zażartowałam.

Sklepikarz spojrział na mnie dziwnie. Pomyślałam, że Ralph potrafiłby docenić moje poczucie humoru.

– Na Id al-Fitr zamierzam przyrządzić kurczaka w maśle – powiedziałam. – Sprosiłam już gości.

– Filety z kurczaka sprzedajemy tylko w czterdziestokilogramowych paczkach.

– Doskonale. Właśnie tyle ich potrzebuję.

Nie miałam pojęcia, czy to prawda, ale czterdzieści kilo to sporo, a już na pewno więcej niż nic.

– Jest pani pewna? Tyle zazwyczaj biorą restauracje. Ile osób pani zaprosiła?

– Ponad setkę. To kolacja dla całej dzielnicy. Przyjdą wszyscy znajomi, a nawet osoby, których nie znam zbyt dobrze.

Sklepikarz nie spuszczał ze mnie wzroku. Uświadomiłam sobie, że musi się zastanawiać, czemu nie zaliczyłam go w poczet osób, których nie znam zbyt dobrze.

– Chciałby pan przyjść? – zapytałam. – Dam panu adres...

Nabazgrałam adres na skrawku papieru.

Po tym, jak wytłumaczyłam mu dokładnie, jak trafić do mojego domu, sklepikarz sprzedał mi paczkę kurzych filetów w cenie hurtowej. Zapłaciłam równe dwieście dwadzieścia dolarów. Stał się pierwszy cud.

Po powrocie do domu pokazałam Samiulowi swój nowy salwar kamiz.

– Co o nim myślisz? – zapytałam.

– Jest jadalny? – zrewanżował się pytaniem.

Zignorowałam go i odłożyłam mięso, żeby się rozmroziło.

Następnego dnia rano zabrałam się do pracy. Wrzuciłam czosnek, imbir i cebulę do miksera. Pod wpływem inspiracji odstawiłam na bok mózdzierz i zmieliłam przyprawy w młynku do kawy. Rozdrobniły się cudownie. Wszystko będzie dobrze – powtórzyłam sobie w duchu.

Zamarynowałam udka w mieszaninie jogurtu, kminku, kolendry, czarnego pieprzu, pieprzu cytrynowego, papryki, czosnku i imbiru.

Nazajutrz wyłowiłam zamarynowane udka, włączyłam grill i ułożyłam mięso na chyboczącym się ruszcie.

Kiedy przestygło, pokroiłam je na mniejsze kawałki, po czym przyrządziłam curry, mieszając przyprawy, cebulę, imbir i czosnek, a na koniec dodałam mięso. Teraz przyszła kolej na tłuszcz – w nieco mniejszej ilości niż za pierwszym razem – oraz kilka łyżeczek cukru. W brzuchu mi szaleńczo burczało. Wyjdzie wybornie.

– Zrobisz mi curry z groszku? – zapytał Zayn.

Curry z groszku było jego ulubioną potrawą. Nie mogłam mu odmówić.

Otworzyłam pięć puszek groszku i przesypałam zawartość do drugiego garnka, nie przestając gotować kurczaka w maśle. Kluczem do przyrządzenia pysznego curry z groszku jest użycie sosu z kurczaka, dzięki czemu ma bogatszy smak, i dodanie kilku świeżych tamaryndowców. Teoretycznie trzeba je przecisnąć przez sito, żeby oddzielić kwaśny gęsty sok od miększu, ale że za nadto się śpieszyłam, wrzuciłam pocięte kawałki owocu.

– W moim curry pływają jakieś brązowe grudki – poskarżyła się Maysa.

– Zaraz je wyłowię – powiedziałam, zanurzając sitko.

Sukces z kurczakiem i groszkiem tak mi uderzył do głowy, że kolejnego dnia przymierzyłam się do klopsików w curry. Maysa pomagała mi formować kulki z mięsa, a ja je gotowałam, aczkolwiek okazało się, że przedobrzyłam z przyprawami i zmielona wołowina była za słona i za pikantna.

– Pali mnie w gardle – żaliła się Maysa.

Teściowa, moja dobra i mądra wróżka, poradziła mi dodać do garnka z klopsikami ziemniaków i gotowanych jajek, które miały wchłonąć nadmiar soli i przypraw. Potrawa zrobiła się jadalna, pod warunkiem że ktoś nie nabrał sobie za dużo sosu. Obrzuciłam wzrokiem górę ugotowanego przez siebie jedzenia. Stojący obok mnie Samiul po raz pierwszy od początku tej hecy wydawał się pod wrażeniem.

– Dobra robota – pochwalił.

– A ty we mnie wątpieś – przypomniałam, zadzierając nosa.

– Mamo, mogę zaprosić pana, który przycina nam drzewo? – zapytał Zayn.

– Oczywiście. Widzisz – dodałam, zwracając się do Samiula – dla dzieci będzie to pamiętne wydarzenie. Mają matkę, która jest zdolna upichcić kolację dla całej dzielnicy.

– Pan od drzewa mówi, że jest wegetarianinem – poinformował Zayn, wracając.

Popatrzyłam smętnie na mięsne dania. W oczach Zayna pojawiła się nadzieja.

– Dobrze, ugotuję też coś wegetariańskiego – rzuciłam.

– Nie musisz tego robić – zaproponował Samiul.

– Właśnie że musi – stwierdził Zayn. – Pościłem przez cały miesiąc, więc coś mi się od życia należy.

– Poza tym to kwestia tradycji – dodałam.

– Niezupełnie – odparł Samiul, po czym zabrał się i wyszedł, żeby sprawdzić, czy miejscowy stadion jest gotów do obchodów Id al-Fitr. (Była to największa otwarta przestrzeń w mieście).

Odczekałam, aż mój mąż zniknie, a następnie zatelefonowałam do teściowej.

– Zrób francuskie curry fasolowe – poradziła. – To łatwizna.

Francuskie curry fasolowe kupuje się w postaci półproduktu. Zaopatrzyłam się od razu w dziesięć paczek. Gotując fasolkę w przyprawach, usłyszałam, że dzwoni telefon. Dobijała się do mnie moja przyjaciółka Ruby.

– W supermarkecie jest wyprzedaż podgrzewaczy kulinarnych – oznajmiła. – Ale trzeba ich kupić co najmniej pięć.

– Na co mi podgrzewacze? – zapytałam.

– Nagotowałam mnóstwo jedzenia – stwierdziła. – Będzie stygło na potęgę, a przecież nie możesz go podgrzewać w kuchence mikrofalowej.

Ruby miała rację. Zaplanowałyśmy więc wyprawę do supermarketu po podgrzewacze. Rozłączając się, zdałam sobie sprawę, że straciłam rachubę czasu. W trakcie rozmowy zielona fasolka zdążyła się zamienić w brązową breję.

– Nieapetyczny kolor – rzuciła Maysa, zaglądając do garnka.

Bezzwłocznie zadzwoniłam do teściowej.

– Posiekaj czerwoną paprykę i dodaj do fasolki – poradziła. – To nada całości koloru. Możesz też dołożyć miarkę orzeszków piniowych.

Zrobiłam, jak kazała, dzięki czemu warzywa ożyły. Ogrodnik dostał swoje danie. Mogłam się odprężyć. Chociaż święto zbliżało się wielkimi krokami – do godziny zero pozostały tylko dwa dni – czułam, że mam wszystko pod kontrolą.

Gdy Samiul wrócił wieczorem do domu i wszedł do zabałaganionej kuchni, zapytał niespokojnie:

– Gdzie podziało się jedzenie?

– Jest w ogrodzie – odparłam. Był wrzesień, lecz akurat zrobiły się chłodniejsze dni, dzięki czemu ogród na tyłach domu nadawał się do roli spiżarni idealnie: taka masa jedzenia za nic nie pomieściłaby się w jednej domowej lodówce. – Nie martw się, dzikie zwierzęta nie lubią curry.

– Nie o to się martwię – odpowiedział. – Aczkolwiek to też może stanowić problem.

Pojawiła się Faeza, żeby odebrać rondel, który mi pożyczyła.

– Pamiętasz ten rok, w którym zostawiłaś całe jedzenie na dworze? – zapytała.

– Tak. To była zima. Dzięki temu wszystko trzymało się w chłodzie.

– Przyszło parę cieplejszych dni...

– A, tak.

– Jedzenie zamarzało i topniało kilka razy na przemian.

– Mimo to je podałaś? – Samiul nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Nikt wtedy nie umarł. – Wzruszyłam ramionami.

– I to ma być oznaka udanego przyjęcia według ciebie? – oburzył się.

– Jadłam tylko to, co sama przyniosłam – zastrzegła Faeza.

Zapewniłam oboje, że wedle prognozy pogody w najbliższym czasie ma być zimno.

– Arabia Saudyjska właśnie ogłosiła, że Id al-Fitr odbędzie się jutro – powiedział Samiul, sprawdzivszy skrzynkę mailową.

– Co?! – wrzasnęłam. – Ramadan powinien trwać równo trzydzieści dni!

Powinam była się tego spodziewać...

Ramadan trwa dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści dni w zależności od tego, kiedy pojawi się księżyc w nowiu sygnalizujący początek nowego miesiąca. Muzułmanie nie są zachwyceni podwójnie ruchomą datą święta i kłócą się zajadle o to, kiedy można mówić o nowiu. W tym sporze występują dwie strony: jedna utrzymuje, że wzejście księżyca można wyliczyć, druga zaś upiera się, że księżyc trzeba zaobserwować gołym okiem, tak jak w czasach proroka. Nawet wtedy jednak pozostaje kwestia miejsca, z którego widzi się księżyc. Czy wystarczy zobaczyć go lokalnie (co znaczy „lokalnie”, to osobna sprawa), czy trzeba czekać, aż pojawi się na całym świecie? No i jakie muzułmańskie ciało oficjalnie potwierdza pojawienie się księżyca? Obie metody są równoprawne, a ponieważ w islamie nie ma papieża ani innej władzy centralnej, co roku wracamy do punktu wyjścia. I co roku powstaje wątpliwość, kiedy zacząć ramadan i kiedy go skończyć. Zdarza się, że w jednej społeczności muzułmańskiej odbywają się dwa, a nawet trzy święta Id al-Fitr – w zależności od tego, jak bardzo jest podzielona.

Większość muzułmanów zgadza się co do jednego: kłopot stanowią Saudyjczycy. To oni obwieszczają termin Id al-Fitr. Pod tym względem przypominają do pewnego stopnia Amerykanów, którzy też uważają, że wszyscy powinni ich naśladować. Tym razem Saudyjczycy zaleźli mi za skórę. Złapałam za telefon i zadzwoniłam do mojej przyjaciółki Zabiby.

– Zrobię to dla ciebie i dla nikogo innego – odparła.

Zaniosłam do niej mielone mięso, cebule i kolendrę – składniki w sam raz na setkę samos.

Ruby podjęła się odebrać podgrzewacze. Faeeza wzięła kilka potraw do siebie do domu, żeby schować je w lodówce, gdzie będą bezpieczne. Samiul z dziećmi rzucili się w wir sprzątania. Zaplanowałam porządki na następny dzień, lecz właśnie ukradziono mi sprzed nosa całą dobę. Zayn musiał obdzwonić kolegów, którzy nie mieli pojęcia, że święto przypada jutro, ponieważ jeszcze do niedawna nie wiedzieli tego sami muzułmanie.



Po porannej modlitwie cała moja rodzina popędziła z powrotem do domu, żeby wystawić jedzenie. Napełniłam podgrzewacze wrzątkiem, po czym rozpałam pod nimi płomień. Stojąc, przyglądałam się wchodzącym do środka ludziom, wśród których znaleźli się zarówno muzułmanie, jak i niemuzułmanie. Stawili się nawet nauczyciele moich dzieci. Pan Lloyd, który uczył Maysę fizyki, przyszedł z całą rodziną. Zasiadł z grupką mężczyzn i rzucił z pozoru niewinne pytanie:

– Czemu muzułmanie upierają się przy naocznej obserwacji, skoro można z wyprzedzeniem wyliczyć pojawienie się nowiu?

Niechący wywołał zażartą dyskusję. Zakonotowałam sobie, żeby w przyszłości wręczać białym ludziom listę z tematami, których należy unikać podczas obchodów Id al-Fitr. Towarzystwo się przemieszało – kobiety z mężczyznami, muzułmanie z niemuzułmanami – ale wydawało się to nikomu nie przeszkadzać.

W przedświątecznej panice zapomniałam zrobić deser, jednakże wiele osób przyniosło słodczyce w charakterze подарunku. Zapomniałam także o kawie i herbacie, lecz Faeeza i Ruby, weteranki moich niechlubnych imprez, zagotowały wrzątek w wielkim garze i udały się po

cukier i śmietankę do sąsiadów. Maysa kilkakrotnie musiała wstawiać zmywarę, ponieważ używaliśmy prawdziwej zastawy i prawdziwych sztucców. (Papierowe i plastikowe porzuciłam w Walmartcie, ewakuując się w przyśpieszonym tempie). Dzieci krzątały się obok krewnych i znajomych, częstując wszystkich. Wbrew wszelkim przeciwnościom świetnie sobie radziły w towarzystwie osób liczących się w ich życiu – oraz tych, które nie miały najmniejszego znaczenia.

Przyglądając się, jak ludzie jedzą moje potrawy i ani się przy tym nie dławia, ani nie rzucają mi nimi w twarz, czułam coś w rodzaju dumy. Nasz dom pękał w szwach od gości, którzy nie mieli gdzie przysiąść, bo zapomniałam wystawić dodatkowe krzesła, lecz radzili sobie, zajmując miejsca na stopniach schodów i na łózkach w sypialniach. Sprawiało to wrażenie kontrolowanego chaosu. Stworzyłam nową tradycję. W pewnej chwili podeszła do mnie teściowa.

– Świetnie się spisałaś – rzekła. – Wiem, że nie było ci łatwo.

– Dziękuję za całą pomoc – odparłam, czując ogromną wdzięczność. – Bez ciebie nigdy bym sobie nie poradziła. Ty jedna we mnie nie zwątpiłaś.

– Oczywiście, że nie. Miałam w tym swój interes. Od tej pory oficjalnie nie muszę szykować świątecznej kolacji, ponieważ ty możesz to robić.

Mogłam. W pewnym sensie. Pławiłam się w na wpół chaotycznej chwale.

Gdy w końcu, około pierwszej nad ranem, wyszedł ostatni gość, wyciągnęłam się na kanapie, pozwalając Samiulowi rozetrzeć mi obolałe nogi, które niestety pozostały owłosione.

– Udało ci się – powiedział z lekkim niedowierzaniem.

– A ty we mnie wątpieś.

– Tak – przyznał. – Okazałaś się jednak niezwykle twórcza.

– Twoja matka była mi wielką pomocą.

Zerknęłam na stertę podarunków leżącą w kącie. Samiul otworzył pierwszy z brzegu pakunek. Był to budzik wzywający do modlitwy.

– Ej, dostaliśmy to od pewnego bardzo miłego sklepikarza. Twierdził, że nie mogłaś oderwać od niego oczu.

– Z nienawiści – odparłam, wstając szybko, żeby wyciągnąć z magazynku kartonowe pudło. Umieściłam budzik w środku, zdecydowana, że przekażę go na cele dobroczynne. Byłam pewna, że żyje gdzieś ekscentryczny niewierny wieśniak, którego największym marzeniem było budzić się do arabskiego *azanu*.

– Chcę to powtórzyć za rok – powiedziałam. – Pewnego dnia dzieci będą opowiadały swoim wnukom: mama przygotowała świąteczną kolację i obyło się nawet bez ofiar.

– Nie licząc grilla – rzekł z nostalgią Samiul.

– Przykro mi z tego powodu – odparłam. – Naprawimy go. Obiecuję, że w przyszłości będę bardziej zorganizowana. Kiedy w przyszłym roku wypada Id al-Fitr?

– Sprawdź w Internecie.

Śmierć po muzułmańsku

O śmierci dowiedziałam się od myszy.

Pewnego dnia w styczniu zabrałam się do porządków w spiżarni, gdzie nagle natknęłam się na mysie bobki. Wśród lodowatej zimy jakaś mysz schroniła się w naszej piwnicy i przetrwała dzięki zapomnianej torbie z cukierkami.

– Gapa ze mnie – napomniałam się za pozostawienie słodyczy na pastwę gryzoni.

Mysz musiała odejść. Uznałam, że jeśli odetnę jej dostęp do zapasów cukierków, przeniesie się na bujniejsze pastwiska gdzie indziej. Moja metoda zadziałała. Bobki w piwnicy zniknęły. Jednakże kilka dni później pojawiły się w kuchni. Przy czwórce dzieci kruszących, gdzie popadnie, mysz miała używanie. Jej największym zmartwieniem było, czy dostanie cukrzyca czy zawału.

Obrzydliwość – myślałam, zamiatając brudy. Sabreena poradziła mi, żebym się zaopatrzyła w pułapki lepowe. Były skuteczne, z tym zastrzeżeniem, że mysz – choć przyklejona – będzie w dalszym ciągu żyła. Nie przeszkadzało mi to, potrafiłam sobie poradzić z jednym gryzoniem, szczególnie że zależało mi na tym, aby pozbyć się myszy z domu. Naczytałam się o chorobach, jakie przenoszą gryzoni, i choć były śliczniutki, nie chciałam mieć z nimi nic do czynienia. Obawiałam się tylko, że nie zdążę przed powrotem Samiula z pracy.

Oglądając telewizję w salonie po tym, jak dzieci poszły spać, usłyszałam ciche skrobanie dolatujące z kuchni. Nie może być! Uchyliłam wolno drzwi szafki, spostrzegłam mysi kształt na pułapce lepowej, wrzasnęłam i wróciłam biegiem na kanapę, skąd zadzwoniłam do Samiula.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony. – Brak ci tchu.

– Możesz coś dla mnie zrobić po powrocie z pracy?

– Wrócę późno, ale oczywiście. Zabrakło mleka?

– Nie. W szafce jest mysz w pułapce – oznajmiłam. – Musisz ją zabić.

Kiepski ze mnie zabójca, który zleca innym swoją pracę.

Nazajutrz przy śniadaniu zapytałam Samiula, jak uśmiercił mysz.

– Po prostu wzięłam pułapkę, wsadziłam ją do worka i wszystko wyrzuciłam do śmietnika za domem. Przy minus czterdziestu stopniach raczej nie miała szansy przeżyć.

Gdy powoli dotarło do mnie znaczenie jego słów, poczułam się słabo. Opadłam na krzesło w milczeniu. Był to mój pierwszy kontakt ze śmiercią, którą całkowicie spaprałam. Moja mysz zmarła straszliwą śmiercią i była to moja wina. Nie towarzyszyłam jej do samego końca. Zginęła

w samotności i strachu, zziębnięta na kość, ponieważ ja stchórzyłam.

– Mogłeś ją wpierw zabić – powiedziałam, starając się, żeby głos za bardzo mi nie drżał.

– Byłem zmęczony – odparł Samiul. – Zrobiła się druga w nocy, poza tym nie miałem nastroju do szukania deski, którą mógłbym walnąć mysz w głowę.

Mogłam mieć pewność, że zabójstwo myszy to nie zbrodnia, nie było więc sensu dzwonić na policję. I czemu w ogóle obwinałam Samiula, skoro sama wszystko zaaranżowałam? Tamtego dnia wyniosłam poważną naukę: śmierć jest przerażająca i ostateczna i należy ją traktować z szacunkiem.

W miarę jak wspomnienie myszy bladło, ogarniała mnie chorobliwa fascynacja rytuałami pogrzebowymi wśród ludzi. Kilka miesięcy później uczestniczyłam w pochówku w towarzystwie Samiula i moich południowoafrykańskich przyjaciółek, Faeey i Ruby. Zasiadliśmy w przypominających kościelne ławkach domu pogrzebowego. Czułam się zupełnie jak w kościele, gdy przymknęłam oczy i wsłuchałam się w słowa syna doktora Faiza Mansoora, który opowiadał o zmarłym. Nigdy wcześniej nie słyszałam muzułmańskiej mowy pogrzebowej. Ponieważ chowamy zmarłych w ziemi, ledwie zdążą ostygnąć, raczej nie mamy czasu na przelewanie myśli na papier. Jednakże syn doktora Mansoora zdołał napisać kilka słów, które zrobiły na mnie ogromne wrażenie.

Zwróciłam się do Faeey.

– Będę mogła wygłosić mowę pogrzebową, kiedy umrzesz?

– Nie ma mowy, żebym umarła i została pochowana tutaj, w Reginie – odparła szybko.

– To fantastyczny początek mojej mowy: „Faeeza Moolla oznajmiła, że nie umrze w Reginie w Saskatchewan, a tymczasem zebraliśmy się tu dzisiaj, aby...”.

Musiałam to sobie zanotować, zanim mi ucieknie. Bóg jeden wiedział, że po jej śmierci nie będę miała wiele czasu. Wyjęłam długopis z torebki i nabazgrałam na odwrocie rachunku ze sklepu to, co sobie przed chwilą umyśliłam.

Stare muzułmańskie zasady są dość rygorystyczne, gdy idzie o śmierć: kto umarł w Vegas, zostanie pochowany w Vegas (aczkolwiek być może będzie musiał się tłumaczyć z tego, co w ogóle robił w Vegas, swoim konserwatywnym krewnym). Kiedy umiera ktoś z twoich bliskich, musisz się śpieszyć, ponieważ muzułmanie nie czekają z pogrzebem na rozsianą po świecie rodzinę. To mnie trochę uwiera. Rozumiem potrzebę rychłego pochówku, lecz moim zdaniem czasami zasada ta jest brana zbyt dosłownie.

Odwróciłam się do Samiula.

– Obiecujesz być na moim pogrzebie, kiedy umrę? – zapytałam.

– Dlaczego miałbym nie być na twoim pogrzebie?

– A jeśli akurat będziesz gdzieś daleko i nie zdążysz wrócić?

Samiul ujął mnie za rękę.

– Bardziej prawdopodobne, że to ty przegapisz mój pogrzeb. Będziesz w Timbuktu kręcić swój nowy film.

– Wrócę – przyrzekłam.

Nie zostawię cię samego i zmarzniętego jak mysz – dodałam w myślach, zachowując to jednak dla siebie, ponieważ kwestia myszy wciąż była między nami punktem spornym.

– No dobrze, dosyć gadania – uciał Samiul, po czym wyprowadził mnie z ławki do większej sali, gdzie miała się odbyć modlitwa pogrzebowa.

Na wprost zebranych stała prosta sosnowa trumna. Ustawiliśmy się w rzędach jak do zwykłej modlitwy w meczecie, z tą różnicą, że *dżanaza*, modlitwa pogrzebowa, odbywa się bez pokłonów. Składając kondolencje i żegnając się z rodziną zmarłego, popatrywałam w stronę zamkniętej trumny. Zastanawiałam się, czy pogrzeb z otwartą trumną, praktykowany w niektórych religiach, nie daje przypadkiem żałobnikom poczucia większej łączności ze zmarłym.

– Myślisz, że rodzina miałaby coś przeciwko temu, gdybyśmy na chwilę uchylili wieko? – zapytałam, gdy Samiul prowadził mnie szybko obok trumny, za drzwi i do samochodu.

Po powrocie do domu Samiul usadowił mnie na kanapie.

– No dobrze, o co chodzi nagle z tą śmiercią?

– Muzułmańskie pogrzeby są zbyt proste – odparłam. – Gdybyśmy rozmawiali o zmarłym, łatwiej by nam było pogodzić się ze stratą. To by też przydało śmierci nieco godności.

– Muzułmanie mogą wygłaszać mowy pogrzebowe, jeśli chcą – oznajmił Samiul. – Zresztą mnie podobają się nasze proste pochówki.

Wyznajemy bardzo prostą, trzystopniową procedurę: umyć zmarłego, pomodlić się za zmarłego, pochować zmarłego.

– W innych religiach mają otwarte trumny, śpiewy i mowy, i wyszukane programy wydane drukiem. Przypomina to galę – powiedziałam. – To nie moja wina, że potrafią się cieszyć pogrzebem.

– Nie sądzę, aby to było ich celem – skwitował Samiul. – Poza tym religia rzadko polega na zabawie.

Islamowi z pewnością nie można było tego zarzucić.



– Dołączyłam do KMCZ w meczecie – oznajmiłam przy obiedzie. – Faeeza powiedziała mi, że szukają ochotników.

– Co to jest KMCZ? – zapytała Inaya.

– Komitet Mycia Ciał Zmarłych – odparłam.

– Jest specjalny komitet mycia ciał zmarłych?

– Tak. Dzięki temu nie trzeba szukać chętnych na ostatnią chwilę. Tym razem nie było wielu ochotników, bo ludzie brzydzą się myć zmarłych. Więc się zgłosiłam.

Ciało muzulmanina musi zostać umyte natychmiast po śmierci, w związku z czym nie ma wiele czasu na wybijanie ludziom z głowy ich oporów. Ważne jest, aby mieć pod ręką grupę ochotników. Społeczność muzulmańska w Reginie powiększała się i wielu rodziców, którzy dołączyli do swych dzieci w Kanadzie, powoli się wykruszało.

– Dlaczego chcesz myć zmarłych? – Maysa się skrzywiła.

Dobre pytanie. Pomijając dziwaczność tego pomysłu, dobrze było uczestniczyć w życiu społeczności. Jednakże jakąś częścią siebie pragnęłam zadośćuczynić myszy za jej tragiczną śmierć i uznałam, że udział w pracach KMCZ będzie doskonałym po temu sposobem.

Kilka tygodni później zatelefonowała do mnie Faeeza.

– Zmarła matka Jameeli.

Żadna z nas nie znała dobrze Jameeli. Mimo to wszystkie trzy, Faeeza, Ruby i ja, wkroczyłyśmy do domu pogrzebowego, gdzie zapłakana Jameela siedziała w otoczeniu pocieszających ją osób. Ponieważ była zbyt przybita, aby rozmawiać, pozdrowiłyśmy ją tylko cicho i przeszłyśmy na zaplecze. Ciotka Nadia już na nas czekała. To ona była przewodniczącą komitetu.

– Zanim zaczniemy, omówmy pewne zasady. Wszystko, co tu dziś zobaczycie, musi zostać zachowane w tajemnicy. Nie możecie o tym z nikim rozmawiać, nigdy. W trakcie mycia też macie być cicho. Rozumiecie?

Nie wiedziałam, czemu patrzy na mnie. Ale miała rację: kiedy umiera się z tatuażem na tyłku głoścącym KOCHAM AHMEDA, a Ahmed nie jest twoim mężem, trzeba zaufać KMCZ.

Ciało matki Jameeli leżało na stole przykryte białym prześcieradłem, które odsłaniało tylko twarz. Całe moje pragnienie ujrzenia zwłok nagle gdzieś zniknęło, a ja zamarłam przykuta do miejsca. Faeeza musiała mnie pociągnąć w stronę stołu, na co uczyniłam kilka niechętnych kroków. Ponieważ muzułmanie nie stosują balsamacji ani upiększającego makijażu, zmarły trafia do domu pogrzebowego w takiej postaci, w jakiej znajdował się w chwili śmierci. Matka Jameeli zmarła na zawał, ubrana w prosty bawełniany salwar kamiz. Wyglądała na spokojną, chociaż twarz miała kompletnie bladą.

– Włóżcie rękawiczki lateksowe! – poprosiła ciotka Nadia, sięgając po nożyczki i rozcinając salwar kamiz.

Aby nie naruszyć godności zmarłej, miałyśmy myć jej ciało wodą kamforową pod prześcieradłem, nie patrząc na nie.

Ciotka Nadia włożyła do uszu i nozdrzy zmarłej kuleczki z waty, po czym delikatnie nacisnęła na jej brzuch, żeby usunąć resztki pokarmowe. Następnie obmyła części intymne zmarłej, które w dalszym ciągu pozostawały pod przykryciem. W dalszej kolejności zostały umyte włosy, po czym odbyła się ablucja taka jak przed modlitwą. Na koniec miało miejsce *ghusl*, czyli ogólne mycie, które zaczyna się od prawej strony ciała, a kończy na lewej.

Najtrudniejszą częścią było podniesienie ciała w celu umycia pleców. Najpierw we cztery przewróciłyśmy zmarłą na bok, a potem ciotka Nadia zabrała się do mycia.

– Teraz już wiemy, skąd wzięło się powiedzenie „ciężki jak trup” – powiedziałam, starając się nie wypuścić z rąk śliskiego od wody ciała.

Ciotka Nadia spojrzała na mnie dopiero wtedy, gdy zakończyła mycie pleców zmarłej.

– W chwili takiej jak ta żarty są niedopuszczalne – rzuciła.

– Ja nie żartowałam, tylko komentowałam wagę ciała – odparłam trochę przestraszona.

– O zmarłych się nie mówi – oznajmiła ciotka Nadia. – Nigdy.

Po tym, jak już ciało zostało umyte i wysuszone, owinęłyśmy je w trzy kawałki zwykłej białej bawełny.

Następnie przeniosłyśmy zwłoki do prostej sosnowej trumny. Zgodnie z tradycją muzułmanie nie używają trumien, żeby ciało jak najprędzej wróciło do ziemi, ale że większość cmentarzy wymaga jakiegoś opakowania, dobieramy najprostsze możliwe, czyli zazwyczaj sosnowe pudło.

Kiedy skończyłyśmy, do środka weszli krewni, aby po raz ostatni pożegnać zmarłą. Ściągnawszy lateksowe rękawiczki, klapnęłam na krzesło w poczekalni. Ciotka Nadia usiadła obok mnie.

- Może KMCZ nie jest dla ciebie – powiedziała.
- Co? Dlaczego?
- Wyrażasz się nieodpowiednio przy poważnej okazji.
- Mówię tylko to, co myślę.
- Właśnie czegoś takiego nie potrzebujemy – stwierdziła ciotka Nadia. – Uważam, że powinnaś dołączyć do Komitetu Społecznego. On bardziej pasuje do twojego charakteru.
- Wróciłam do domu niepocieszona.
- Wyrzucili cię z KMCZ? – zapytał Samiul. – A to dobre.
- Ciotka Nadia potrafi być onieśmielająca – odparłam. – I nie ma poczucia humoru.
- Jak już mówiłem wcześniej, zabawa nie ma wiele wspólnego z pogrzebami.
- Nie chcę, żeby to ciotka Nadia zajmowała się moim ciałem po śmierci. Umyjesz mnie, gdy przyjdzie czas?
- Nie, myślę, że będę zbyt rozpaczał, żeby myśleć o myciu – odparł Sami. – Z kolei ciotka Nadia powinna sobie doskonale poradzić.
- Ale ona będzie taka poważna i stanowcza i nie pozwoli nikomu rzucić żartu ani podważyć boskich poglądów na różne sprawy.
- I to mi się podoba!
- Obrzuciłam go spojrzeniem.
- W kobiecie, która myje ciała zmarłych – dodał.



Rok później w sobotnie popołudnie Inaya wróciła do domu z wizyty u dziadka.

- Dziadek zrobił się jakiś żółtawy – rzuciła.

Ojcu Samiula nic nie dolegało, był może trochę zmęczony, no i miał siedemdziesiąt siedem lat, choć nadal pracował jako laryngolog i alergolog. Zaraz w poniedziałek udał się do lekarza, który ustalił przyczynę zażółcenia – doszło do zatkania dróg żółciowych. Wykonano biopsję, okazało się, że zmiany są nowotworowe. Tomograf wykazał, że w grę wchodzi czwarte stadium raka, nieoperowalnego. W ciągu zaledwie kilku dni przestał być szczęśliwym, nawet jeśli nieco zmęczonym, dziadkiem jedenastu wnucząt, zamieniając się w mężczyznę z perspektywą dożycia siedmiu, może ośmiu miesięcy. Następnego tygodnia zamknął swoją praktykę lekarską. Odtąd było już tylko gorzej. Rok wcześniej rodzeństwo Samiula, Sabreena i Munir, przeprowadziło się do Reginy, dzięki czemu teraz mogliśmy być wszyscy razem, za co byliśmy wdzięczni opatrznosci.

Zanim poznał diagnozę, mój teść zamierzał zabrać wszystkie wnuczeta na mniejszą pielgrzymkę. Chciał pokazać im religijne zabytki sam, szczególnie że najmłodsza wnuczka Medyna skończyła właśnie siódmy rok życia. Zdążył nawet zarezerwować i opłacić bilety lotnicze i hotele. W wieczór, który podzielił się z nami informacją o swojej chorobie, zrozumieliśmy, że wyjazd nie dojdzie do skutku. Teść płakał bardziej z powodu tego, że nie będzie mógł zabrać wnuków na pielgrzymkę, aniżeli dlatego, że dostał raka. Wyznał nam, że była to ostatnia rzecz, jaką pragnął zrobić przed śmiercią.

- Może jednak powinniśmy pojechać? – zaproponowałam.

– Nie – odparła moja teściowa, ocierając oczy chusteczką. – Teraz najważniejsze jest, byśmy byli wszyscy razem.

Podjęliśmy decyzję, aby otoczyć go opieką paliatywną w domu, zamiast oddawać do szpitala. Wszystkie wnuki kolejno zajmowały miejsce przy jego łóżku. Starsze czytały mu Koran, szczególnie surę *Ja Sin*, tradycyjnie odczytywaną umierającym dla pokrzepienia. Młodsze rozmawiały z nim, masowały mu nogi i rozcierały dłonie, co sprawiało mu przyjemność. W końcowej fazie był zbyt słaby, żeby chodzić, korzystał więc z wózka inwalidzkiego. Mężczyźni, Samiul, Munir i Amir, mąż Sabreeny, mieli dość siły, aby go nosić, zabierali go więc do łazienki i kąpali. Teściowa ani na chwilę nie opuszczała jego boku, czytając mu ulubione modlitwy.

Gdy zaczął mieć trudności z jedzeniem, Sabreena starała się go namówić, aby spożywał płynny pokarm, dzięki któremu mógłby zachować siły, on jednak protestował, że to zwiększy poziom cukru we krwi. Tylko nad tym miał kontrolę, a nam nie chciało przejść przez usta, że teraz to już bez znaczenia. Mój teść zawsze starał się prowadzić zdrowy tryb życia.

Teściowa nalegała, żeby żyć normalnie, zaczęłam więc szykować duży posiłek z okazji końca ramadanu. Taka była od niedawna tradycja. Wszyscy w dzielnicy wyczekiwali święta Id al-Fitr i mojej nieco chaotycznej kolacji, a ja nigdy ich nie zawiodłam. Samira jak zwykle zamieściła na Facebooku zaproszenie.

Jednakże w czwartek, na dwa dni przed świętem, teść przestał jeść zupełnie. Zaniemówił też, tak że jego dzieci musiały się domyślać, czego potrzebuje. Po cichu odwołaliśmy świąteczną kolację. W piątek, aby się nie odwodnił, teściowa podała mu gąbkę nasączoną wodą ze studni Zamzam. Tamtego wieczoru, w ostatni dzień ramadanu, cztery miesiące od diagnozy, zgromadziliśmy się w jego sypialni, aby obdarować się prezentami. W naszej rodzinie obowiązuje tradycja ciągnięcia imion z miseczki wypełnionej karteluszkami, co przypomina nieco Mikołaja w ciemno, oczywiście gdyby Mikołaj był śniady, wyznawał islam i mieszkał w Mekce zamiast na biegunie północnym. Każdy kupuje wylosowanej osobie prezent, przy czym jego wartość nie może przekroczyć dwudziestu dolarów. Ponieważ teść uwielbiał tę wymianę prezentów, urządziliśmy ją tym razem w jego pokoju, zebrawszy się wokół jego łóżka w nadziei, że przynajmniej słyszy radosny śmiech swoich bliskich.

– Naprawdę? – zapytała Maysa, spoglądając na etui czytnika, które jej kupiłam. Ponieważ zażądała, aby zostało ręcznie ozdobione, kupiłam też dwie kartki okolicznościowe przedstawiające krowę i żyrafę, wycięłam rysunki i przymocowałam je z przodu i z tyłu etui za pomocą gumek recepturek.

Przekomarzaliśmy się, dyskutując o naszych prezentach, podczas gdy teść leżał w łóżku. Poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć.

Tej samej nocy, podczas gdy teściowa spała niespokojnie obok swojego męża, Munir pełniący straż na krześle przy łóżku zauważył, że jego ojciec kiwa lekką głową, po czym przestaje oddychać. Muhammad Anwarul Haque zmarł spokojną śmiercią we własnym łóżku o trzeciej nad ranem w dniu osiemnastego sierpnia dwa tysiące dwunastego roku, w trzydziesty dzień ramadanu.

Samiul, Munir i Amir umyli ciało ojca z pomocą innych mężczyzn ze społeczności po południu tego samego dnia. Starali się zorganizować pochówek na wieczór, jednakże była sobota, a cmentarz potrzebował doby na przygotowanie kwatery. Przez to pogrzeb odwłókł się o dzień, ale szczęśliwie pozwoliło to przybyć innym krewnym, w tym moim rodzicom.

Ponieważ nazajutrz było święto Id al-Fitr, *dżanaza* została odmówiona zaraz po świątecznych modłach. W Evraz Palace, dużym kompleksie okolicznościowym, modliło się tamtego dnia prawie pięć tysięcy osób. Następnie długim sznurem samochodów udaliśmy się na cmentarz.

Bardzo szybko wyszło na jaw, że zdaniem naszego imama pewni członkowie społeczności nie chcą widzieć wśród siebie kobiet na pogrzebie. Mój teść był głęboko religijnym człowiekiem i nigdy by nie zaakceptował takiej podwójnej moralności – dlatego imam usłyszał, że wszystkie krewne będą uczestniczyły w pochówku, a ci, którym to się nie podoba, nie są mile widziani na pogrzebie. Teść z pewnością by to pochwalił. Pod wieloma względami był konserwatywnym tradycjonalistą, jednakże pod innymi – zaskakująco – przejawiał nowoczesne poglądy. Przeprowadzając się z Bangladeszu do Kanady, zapisał swoją żonę aż na dwie uczelnie – McGill University w Montrealu i University of Manitoba – ponieważ nie wiedział, w której prowincji ostatecznie zamieszka, a nie chciał, aby straciła szansę na wyższe wykształcenie.

Przyglądając się, jak trumna z ciałem mojego teścia jest opuszczana do wykopanego dołu, wyobrażałam go sobie takiego, jakim był za życia, w zdrowiu, gdy doglądał swoich roślinek w cieplarni i uczył wnuki opieki nad kwiatami i warzywami w krótkie lato na dalekiej północy. Wspomniałam krzaczek jagód, który przywiózł osobiście prosto ze szkółki. Gdy choroba nie pozwalała mu zajmować się dłużej roślinami, poprosił mnie, abym roztoczyła nad nimi opiekę. Oczywiście natychmiast pozbawiłam krzaczek jagód życia, spanikowałam i prędko zasadziłam w jego miejsce uzurpatora. Potem kazałam dzieciom przynosić mu jagody.

Ciekawe, czy o tym wiedział – zastanowiłam się, kiedy trumna dosięgnęła dna. Samiul zeskoczył do grobu, otworzył wieko i delikatnie przewrócił ojca na bok, aby ten leżał twarzą do Mekki. Teść pragnął spoglądać po śmierci na północny wschód – poprosił swojego najstarszego syna, aby dopełnił ostatniego obrządku. Potem Munir pomógł bratu wyleźć z dołu.

Rozejrzałam się po cmentarzu, patrząc na nagrobki innych muzułmanów stojące równym rzędem. Tuż po przeprowadzce do Reginy mój teść wykupił kwatery dla siebie, swojej żony i trójki dzieci. Stojąc przy nich teraz u boku szwagrów – Samiry i Amira – uświadomiłam sobie, że nie ma tam miejsca dla żadnego z nas. Żeby oddać sprawiedliwość teściowi, musiałam przyznać, że w tamtym czasie pewnie nie myślał o przyszłych małżonkach swoich dzieci. Popatrzyłam zazdrośnie na pozostałe cztery kwatery.

– Powinna obowiązywać zasada: kto pierwszy, ten lepszy – powiedziałam do Samiry. Wiedziałam, że to, co mówię, jest nie na miejscu, ale buzowały we mnie tak różnorakie emocje, iż któraś po prostu musiała znaleźć ujście.

– Nie sądzę, aby to była właściwa chwila – odparła Samira, starając się ode mnie odsunąć.

Przypomniałam sobie reprimendę ciotki Nadii i do końca pogrzebu zachowywałam się już jak należy.

Nazajutrz zapytałam rodzinę, czy mogę napisać nekrolog do miejscowej gazety. Zależało mi na możliwości, aby oddać sprawiedliwość człowiekowi, którego tak dobrze poznałam i pokochałam. Napisałam o tym, że Stowarzyszenie Islamskie w Saskatchewan powstało w domu moich teściów. W tamtych czasach społeczność muzułmańska składała się tylko z garstki rodzin, a moi teściowie urządzali u siebie imprezy składkowe, dopóki nie zakupiono skromnego meczetu. Początkowo był to lokal nad salonem fryzjerskim, o którym mówiło się „meczeta u Murphy’ego”. Reszta bliskich dorzuciła swoje trzy grosze i tak powstał nekrolog, który trafił na łamy gazety.

Kilka dni po publikacji zadzwoniła do mnie reporterka „Globe and Mail”, przekonana, że mój teść był pionierem społeczności muzułmańskiej w Reginie – chciała napisać o nim dłuższy artykuł. Kobieta przeprowadziła wywiad z Sabreeną, po czym opublikowała swój tekst dwa tygodnie później. Zajmował prawie całą stronę i był najdłuższym tekstem pozeźnalnym, jaki kiedykolwiek widziałam w gazecie. Czytając go przy śniadaniu, pomyślałam, że to lepsze od mowy pogrzebowej, której mój teść się nie doczekał.

Parę dni później, kiedyśmy leżeli z Samiulem w łóżku, zapytałam:

– Jak się czujesz?

– Jestem smutny, ale wiesz, tata przeżył swoje życie w pełni, zobaczył, jak wszystkie jego dzieci znajdują sobie partnerów... niektóre bardziej szalonych od reszty... I zdążył też poznać wszystkie swoje wnuki.

Jego najstarsza wnuczka, Maysa, skończyła już osiemnaście lat i właśnie wybierała się do McMaster University, o czym jej dziadek zdążył się dowiedzieć przed śmiercią.

– Cieszę się, że nasze dzieci miały takiego dziadka i że pod koniec nim się opiekowały – powiedziałam.

Emigracja do innego kraju i niewczesna śmierć naszych własnych dziadków nie pozwoliła nam się cieszyć podobnymi więziami. Przez jakiś czas leżeliśmy oboje w milczeniu.

Śmierć mojego teścia była bardzo nagła. W pierwszej chwili nawet nie uwierzyłam, kiedy mi powiedział o swojej chorobie. Jednakże był szczerze kochany przez całą rodzinę. Miałam nadzieję, że gdy przyjdzie mój czas, czeka mnie podobny los. Śmierć uczy nas cenić życie, a ja właśnie doznałam dwu strat, które nauczyły mnie cenić bliskich i nigdy nie traktować ich jako danych raz na zawsze. Straciłam teścia, który nade wszystko kochał swoją rodzinę, i maleńką mysz, która uwielbiała cukierki.

– Wybaczam ci tę mysz – powiedziałam do zdziwionego Samiula, przytulając się do niego mocno.

Podziękowania

Pragnę podziękować Tinie Horwitz, mojej telewizyjnej agentce z agencji Vanguarde Artists Management, za to, że przedstawiła mnie Samancie Haywood, mojej agentce literackiej z Transatlantic Literary Agency. Ona z kolei przedstawiła mnie Kate Cassaday, mojej redaktorce z wydawnictwa HarperCollins. Gdyby te trzy kobiety nie wierciły mi nieustannie dziury w brzuchu, nigdy bym nie ukończyła tej książki. Chciałabym również podziękować Lennie Goodings, mojej redaktorce z wydawnictwa Little, Brown w Wielkiej Brytanii, za przypilnowanie międzynarodowej wersji niniejszej książki. Chcę też złożyć podziękowania swoim dzieciom, Maysie, Inai, Rashadowi i Zaynowi, za ich ciągłe: „Skończyłaś wreszcie?”. Mam nadzieję, że nie upokorzyłam was zbyt fizjologicznymi opowieściami. Gdy dorośniecie, będziecie mogli napisać własną wersję historii, aby naprawić szkody. Wasi dziadkowie na to liczą.

Na koniec dziękuję członkom swojej muzułmańskiej społeczności, którzy drżą ze strachu, jak przedstawię ich w następnym filmie albo książce czy innym projekcie, za który się zabiorę. Bez was nigdy bym tyle nie osiągnęła. To dzięki wam jestem tym, kim jestem.